

Krystyna Falińska

Byłam Białą Różą

Od baletu do nauki

Serce można złamać na wiele sposobów.
Historia zna wiele serc złamanych z miłości,
ale tym, co naprawdę może złamać serce,
jest pozbawienie go marzeń -
jakiegokolwiek te marzenia są...
Pearl Buck

Część pierwsza
Życie nie jest pętlą, lecz warkoczem światła.
Rozplataj go.
Nikos Chadzinikolau

Od baletu do nauki

Telefon wciąż dzwonił. Ostatnia strona korekty i koniec. Zawiążuję teczkę. Jutro książka pojedzie do wydawnictwa, a ja do Londynu. Od razu mija przemęczenie, skutki nieprzespanych nocy i stresów. Już płynę Tamizą, znowu będę z Oka Londynu podziwiać panoramę miasta z duszą. A potem opera...

Zawsze tak jest, od dwudziestu lat, jak za pierwszym razem, kiedy rozpoczęłam nowy rozdział w swoim życiu, który wciąż trwa.

O wszystkim zdecydowało pierwsze spotkanie z Mistrzem w ośrodku naukowym o światowej sławie. Byłam świeżo po doktoracie, pełna obaw, czy dam sobie radę. Po trzech miesiącach biegania po urzędach, niezbyt miłych rozmowach, bo ambasada niechętnie dawała wizy do Wielkiej Brytanii, wreszcie przybito pieczętą w paszporcie. Profesor, który mnie zaprosił, przysłał glejt, że bierze całkowitą odpowiedzialność za mój pobyt w swoim kraju i powrót do Polski. Cały czas kurczowo trzymałam kopię tego bezcennego dokumentu - i dobrze, bo surowy urzędnik z biura imigracyjnego po przeczytaniu go miło się uśmiechnął i życzył mi owocnego pobytu. Nie zadawał pytań, którymi doprowadził do szału faceta stojącego przede mną.

Byłam umówiona w punkcie informacji. Miałam narysowany plan i trafiam bez problemu, choć wielkość lotniska jest przytłaczająca, nie tylko w porównaniu z Okęciem. Czekałam przynajmniej kwadrans. Zaczęłam się niecierpliwić, przestępować z nogi na nogę, a obok mnie równie zirytowany, choć po angielsku, pan o miłej powierzchowności, z muszką, patrzył na zegarek. Równocześnie podeszliśmy do siebie. Przedstawiłam się pierwsza. Towarzyszyły temu śmiech i upomnienie, że należało trzymać różę, bo byłaby to wizytówka. Bez wielkich wstępów i grzeczności zostałam Rose. Jeszcze nie wiedziałam, że to Mistrz, prawie noblista, więc byłam swobodna, a nawet rozbawiona.

Był upalny czerwcowy dzień, samo południe. Jechaliśmy przez Londyn samochodem z odkrytym dachem, a mój przewodnik wciąż objaśniał, że jest coś interesującego na lewo, a na prawo jeszcze bardziej. Oszłomiona po Warszawie wielkością i barwnością miasta, niewiele widziałam i słyszałam, ale było cudownie.

Wyczułam, że jestem obserwowana. Nie byłam zbyt zdziwiona pytaniem z nutką ironii, czy rozpoczęłam badania w przedszkolu. No

cóż, moja drobna budowa i młodzieżowy sposób ubierania nieraz sprawiają, że mijam się z metryką.

Zaproszono mnie na podstawie znajomości artykułów z dziedziny, która w ostatnich latach znalazła się w centrum nauk przyrodniczych.

Jednocześnie dotarło do mnie, że to on jest twórcą neodarwinowskiego nurtu w nauce i że oczekiwał kogoś zupełnie innego, stąd jego obecność na lotnisku. Na pewno nie młodego doktora. Zaczęłam myśleć po kobiecemu, dlaczego nie założyłam jakiegoś szaroburego kostiumu. Na spotkanie z wielką nauką wyruszyłam w szyfonowej różowej sukience z frywolnymi falbankami i w kapeluszu z przynajmniej metrową szarfą, która radośnie powiewała, witając Londyn.

Pustka w głowie. Miałam ochotę zawrócić na lotnisku i odlecieć dokądkolwiek. Pan profesor dobrze się bawił tą sytuacją. Ja się irytowałam i o mało nie powiedziałam, że zdążyłam jeszcze być baletnicą, i żeby Mistrz odesłał mnie do diabła, ale kiedy spojrzałam w mądre niebieskie oczy, zawstydziłam się.

Zatrzymał samochód, otworzył przede mną drzwi i poważnie oznajmił:

- A teraz moja kolej na niespodzianki.

Musiałam się nauczyć angielskiego poczucia humoru.

I to był dzień cudów, prawdopodobnie podczas mojej pierwszej podróży do Londynu spotkałam złotą rybkę. Może była w drinku, bo wszystkie trzy życzenia zostały spełnione w jednym dniu: rejs statkiem po Tamizie - oboje stwierdziliśmy, że miasto z rzeki wygląda inaczej niż z ulicy. Niejednokrotnie to sprawdziłam, płynąc Wełtawą, Sekwaną, Dunajem, a także kanałami Amsterdamu. I wreszcie Wisłą, podziwiając Stare Miasto.

Wspaniały obiad - wbrew znanej opinii o fatalnej angielskiej kuchni - może dlatego, że w ogrodzie z widokiem na rzekę i dużą ilością wina oraz trzema kolegami, moimi rówieśnikami z British Museum, gdzie miałam zamieszkać w pokojach gościnnych. Krótki wypoczynek. Zmiana stroju i wyjście do opery, a w programie Romeo i Julia.

Mój nastrój zmienił się diametralnie. Chciałam uciec lub udać chorobę, ale już zajęliśmy miejsca.

- Czy jesteś zmęczona? - zapytał mój sąsiad.

- Ależ skąd - zaprzeczyłam. - To tylko nadmiar wrażeń. A w środku niepokój, czy będę mogła patrzeć na balet, za którego wykonanie na Konkursie Młodych Talentów w Moskwie otrzymaliśmy z Jankiem nagrodę i bilet na występ Mai Plisieckiej. O zobaczeniu tej artystki marzył każdy adept sztuki baletowej.

Po dziesięciu latach życia studenckiego i studiów doktoranckich - intensywnej pracy, ale już nie przy drażku i muzyce - miałam się zmierzyć z fragmentem mojego życia, z którym jeszcze się nie uporałam. Maria i Aleksander - nasi choreografowie - wyjechali do Izraela wraz z innymi, ponieważ Gomułce przyśnił się syjonizm. Tina pracowała w dyplomacji, Wojtek malował, a mnie coraz bardziej wciągała nauka.

Naszego baletu dawno już nie ma, ponieważ był kierowany przez obcych naszej kulturze artystów. Absurd. Wówczas był to wyrok dla naszych choreografów, choć przed wojną byli sławnymi tancerzami. Zostali w kraju i byli znakomitymi choreografami, lecz nagle stali się obcy, z dnia na dzień, a my z nimi. Tylko mój partner z Romea i Julii - Janek, który nielegalnie w samą porę rozstał się z ojczyzną - robi światową karierę jako tancerz. Gruzin Gaga, który przygotowywał nas do konkursu w Moskwie, zniknął bez pożegnania. Podobno robi karierę w Tomsku lub Irkucku, a może gdzie indziej, lecz na pewno w miejscu dla nas niedostępnym.

Gdy wieczorem, a właściwie w nocy zadzwoniłam do Janka i Tyny, którzy byli w Paryżu, nie interesowały ich moje wrażenia po wizycie w operze. Zapytali tylko:

- Różyczko, jak się czujesz? Jeśli chcesz, to przyjedziemy do ciebie. Dlaczego poszłaś właśnie na ten balet?

- To była niespodzianka - odpowiedziałam. - No wiesz, nie każdy Anglik zna mój życiorys, a w moim środowisku właściwie nikt próbuje żartować.

Moi przyjaciele nie dali się tak łatwo zwieść. Obsypali mnie czułościami, a ja miałam pustkę w głowie i w sercu.

Byłam obolała, jakbym sama tańczyła tego wieczora rolę Julii, więc poszłam spać. Oni przekrzykiwali się:

- Dzwon o każdej porze. Na nasz rachunek.

No właśnie, bo skąd doktor „z realnego socjalizmu” mógłby mieć dewizy? Oni to wiedzieli, Anglicy - nie.

Nalałam pół szklanki dzinu, uzupełniłam tonikiem i postawiłam przy łóżku. Przecież Królowa Matka uważa, że to dobre lekarstwo na sen. Właściwe lekarstwo w odpowiednim kraju i w wyjątkowej dla mnie sytuacji.

Gospodarze wyposażyli lodówkę we wszystko, co było mi potrzebne, a nawet więcej.

Kąpiel, tonik i odpłynęłam.

Rano bez niespodzianek. Jajka na bekonie, płatki, mleko, sok pomarańczowy.

Kolega wyznaczony na mego opiekuna wprowadził mnie w nowy świat, towarzysząc mi przy śniadaniu. W drodze omawiał program mojego pobytu, choć wszystko miałam na piśmie. Chciał mnie oswoić. Na szczęście Anglicy mało pytali i nie pouczali. Informowali i już. Kiedy mówiłam, że jestem zmęczona, wystarczało. Nie musiałam tłumaczyć dlaczego. A poza tym zawsze było świetnie. Słyszałam to wielokrotnie każdego dnia. Szybko to przyswoiłam i próbowałam przenieść na polski grunt. Bez powodzenia. Jedynym skutkiem mojego optymizmu było to, że w opinii kolegów zawsze byłam osobą, która nie ma kłopotów, nic ją nie boli i wszystko się jej udaje, bo przecież nie narzeka. Przecież rozmowy o trudnościach życiowych są naszą specjalnością, a nawet przedmiotem licytacji. Oto przykład:

- To, co cię spotkało, to nic. Ja to miałam problem.

I tu następuje szczegółowy opis skomplikowanego kanałowego leczenia zęba, przekazywany osobie, która właśnie straciła bliską osobę. No cóż, każdy ma swoją hierarchię cierpień.

Kolega pokazał mi miejsce, w którym miałam pracować, oprowadził mnie po bibliotece. Dostałam kartę wstępu, która umożliwiała mi kserowanie prac naukowych itd. Potem wędrowaliśmy od drzwi do drzwi. „To jest nasz gość z Polski, a to znany doktor, a w następnym sławny, a jeszcze dalej taki, który zadebiutował znakomicie...”. A więc wszyscy wyjątkowi. Niektórzy nawet uprzejmie informowali, że znają moje prace.

Zastanawiam się, w ilu instytutach w Polsce kolega przedstawiałby w taki sposób swoich kolegów: „wybitny”, „znakomity”, „wyjątkowy”. Może po śmierci, lecz niekoniecznie. U nas zawsze jest jakieś „ale”: „Zdolny, ale leniwy”, „Odnosi sukcesy, ale jest nieznośny”. Nasz kolega w takiej sytuacji dopowiada:

„Wybitny, ale w domu ma kosz brudnej bielizny". Zamiast śmiechu jest irytacja „wiecznie oceniających".

Wróciłam na swoje miejsce. Na stole leżały już prace, o które prosiłam. Do lunchu zostałam sama. Tego dnia miałam czas na aklimatyzację, nikt mnie na siłę nie uszczęśliwiał. Każdy robił swoje. Chyba słuchali Wojtka Młynarskiego. Miałam czas, żeby się skupić. Kolejnego dnia miało się odbyć seminarium doktorantów. Miałam się przysłuchiwać. Drugiego dnia wycieczka - niespodzianka, a trzeciego - prezentacja moich wyników.

Mistrz pojawił się w czasie lunchu i całą grupą pojechaliśmy do restauracji. Postawiono przede mną ciemne piwo. Inni dostali jasne. Mój opiekun wytłumaczył, że to piwo dla pań. Nie wiedziałam, czy to żart, czy obyczaj.

Wycieczka - niespodzianka to spełnienie marzeń studenckich, trwających aż do dzisiaj. Pojechaliśmy do domu Darwina. Znałam go z ilustracji w pięknie wydanych książkach, które promotor mojej pracy magisterskiej przynosił do pracowni. Potem godzinami opowiadał nie tylko o teorii ewolucji, lecz również o pracowitości jego twórcy, który zmienił pogląd na świat i człowieka, o jego kłopotach rodzinnych, słabym zdrowiu, licznym potomstwie. Jego listy czytało się jak sensacyjną powieść. Te „spotkania z Darwinem" niewątpliwie wpłynęły na mój wybór specjalizacji, na moje redukcjonistyczne spojrzenie w badaniach, tak inne od holistycznego, dominującego wówczas w naukach przyrodniczych.

Tak oto znalazłam się w neodarwinowskiej szkole w Anglii. Stałam wzruszona w gabinecie Darwina wśród jego książek, przy biurku z leżącą kartką, zapisaną do połowy. Obok pióro. Coś nie zostało skończone... Ale to, co pozostało, wstrząsnęło światem i wciąż powoduje powstawanie nowych hipotez i koncepcji. Potomkowie Darwina pieczołowicie konserwują skromny dom wielkiego uczonego, zachowując go niemal w pierwotnym stanie.

Upłynęło prawie dwadzieścia lat, wiele wyjazdów do Anglii i nie tylko, a ja wciąż wspominam tamten pierwszy, niepowtarzalny, choć następne były bardzo podobne, po prostu kalka: seminaria, referaty, opera i moje ukochane teatry. Mogłam oglądać sztuki Agathy Christie, Szekspira w oryginale i oczywiście - a właściwie przede wszystkim - chodzić do opery. Już nikt nie musiał kupować mi biletów. Miałam swoje funty, opublikowałam w Anglii książkę. Mogłam korzystać z

bogatego repertuaru teatrów. Radość i ulga. W końcu byłam niezależna. Choć przez kilka lat angielscy koledzy wspomagali mnie niezwykle taktowanie, nie była to dla mnie sytuacja komfortowa.

Wracam do rzeczywistości, tej po dwudziestu latach.

Kończę pakowanie, sprawdzam teczkę z maszynopisami referatu, artykułu i tezami do dyskusji na seminarium. Choć miałam to wszystko w głowie i na płycie CD, wolałam zabezpieczyć się na wypadek niespodzianek techniki i tremy. Jeszcze tylko jutrzejszy dzień w Warszawie, kosmetyczka i fryzjer oraz odbiór z pracowni krawieckiej na Chmielnej pięknego spodniomu z błękitnego dżinsu z dodatkową spódniczką i pięknie skrojonym żakiecikiem, przyozdobionym aplikacją kwiatową powtórzoną na spódnicy. Cudo. Wiele lat temu jeden z moich angielskich kolegów w czasie spaceru po Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu zachwycił się pięknie ubranymi kobietami - choć wówczas w sklepach była tylko brzydota lub nic. Powiedział:

- A w Londynie odwrotnie.

Teraz w sklepach są już ładne ubrania, ale ja chciałam mieć coś oryginalnego i praktycznego na liczne podróże.

Telefon znowu przywołuje mnie do rzeczywistości melodią z Bolera. Niestety, odbieram. Tego telefonu nie powinno być, przynajmniej dzisiaj - i raczej nigdy.

- Różyczko... - słyszę ciepły głos z cudzoziemskim akcentem.

Odkładam słuchawkę.

To nie pora myśleć

O tym, czego ci brak.

Lepiej pomyśl, co możesz zrobić

Z tym, co masz.

Siadam przed swoim ulubionym obrazem. Ile razy pytano mnie: „Czy widziałaś niebiesko - granatowy las w czerwieni?”, niezmiennie opowiadałam: „Tak”. Ten las kryje tajemnice, a kiedy jestem przygnębiona, powierzam mu własne sekrety. Tak jest i dzisiaj. Jutro mam wyjechać, powinnam być skupiona i odpowiedzialna. Czy teraz potrafię? Wiem, że to był Gaga. Tak po prostu po dwudziestu latach powiedział: „Różyczko...”. Dlaczego? Czy jeszcze raz muszę rozpaść się na kawałki, a potem zbierać je przez lata?

Jak zostałam Białą Różą

Wszystko powraca. Znowu ani czas, ani sytuacja nie są właściwe. Z Gagą zawsze tak było - albo za wcześnie, albo za późno, ale cudownie.

Przed wyjazdem na konkurs młodych talentów do Moskwy Maria i Aleksander poinformowali nas, że tancerz i choreograf, Gruzin, będzie nam pomagać w przygotowywaniu do tego niezwykłego wydarzenia. Podobno jest bardzo utalentowany, pochodzi z rodziny muzycznej: matka - śpiewaczka operowa, ojciec - kompozytor. Gruzin szuka młodej tancerki do wykonania utworu skomponowanego przez ojca, a z jego choreografią. Nie słyszeliśmy jeszcze tej kompozycji ani nie widzieliśmy Gruzina.

Nasi choreografowie zajęli miejsca na widowni. My prezentowaliśmy swoje umiejętności, a oni wraz z Gruzinem mieli wybrać tych, którzy pojedą z naszej dwunastki. Był limit. Wszystkie republiki wystawiały swoich tancerzy, także wszystkie „demoludy”, a więc i tak był tłum, choć pierwsze miejsca jak zwykle były zarezerwowane dla gospodarzy. Trzeba przyznać, że to naprawdę znakomici tancerze, zajęcie za nimi drugiego czy trzeciego miejsca było nobilitacją i zapewniało miejsce w najlepszych teatrach.

Nasza prezentacja zakończyła się i odesłano nas do domu. Maria powiedziała:

- Do jutra, moi drodzy.

Wiedzieliśmy, że coś jest nie tak, ale co... Rano się wyjaśniło. Czekaliśmy na korytarzu. Byliśmy bardzo zdenerwowani. Czyżby nikt nie przeszedł wstępnych eliminacji?

Jako pierwszą poprosili Tinę. Po chwili wybiegła i rzuciła mi się na szyję. Płakała i śmiała się równocześnie.

- Będę tańczyć Bolero... Będę tańczyć Bolero... - nuciła, podskakując.

Była to bardzo oryginalna choreografia Marii i Aleksandra, a Tina wykonywała ją znakomicie.

Poproszono Janka i mnie. Mieliśmy zatańczyć Romea i Julię. Jankowi podziękowali, a ja zostałam. Wtedy wstał Gruzin i oznajmił:

- Zatańczysz Dogonić szczęście. To będzie coś nowego. Wierzę, że temu podołasz.

Nie mogłam złapać tchu - nie tylko wskutek niezwyklej propozycji. Stał przede mną egzotyczny młody tancerz.

Spodziewaliśmy się kogoś starszego, doświadczonego. Tymczasem on był niewiele starszy od nas. Urokliwy uśmiech, ciepły głos. Mówił po polsku z osobliwym akcentem. Moje kolana zmiękły, nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Maria przyszła mi z pomocą.

- Oczywiście, że Róża zatańczy.

Wyszłam, a właściwie wybiegłam. Nawet nie wiem, czy powiedziałam „Dziękuję”. Tina i Janek byli wyraźnie zdenerwowani.

- Różyczko, co się stało? Poleciałam na ich ręce.

Pierwszy raz w życiu zemdlałam. Moja babcia Miriam, którą dziadek przywiózł z Odessy, powiedziała, że kiedy pierwszy raz go zobaczyła, zemdlała. Wiedziała, że to mężczyzna na całe życie. „To było w XIX wieku” - pomyślałam. - "A ja dużo ćwiczyłam... I jeszcze stres przed eliminacjami. Oto cała prawda".

Tina ułożyła mnie na fotelu, podała wodę i patrzyła na mnie z obawą i zdumieniem. Bo tyle razy mówiłam, że marzę o tańcu, którego jeszcze nikt nie wykonywał.

- Czy Biała Róża zasłabła? - zapytał zaniepokojony Gruzin. Już do końca mojej przygody z baletem byłam Białą Różą. - Od jutra rozpoczynamy próby - oznajmił i wyszedł z naszymi choreografami.

Dlaczego płakałam? Nie wiem. Nie były to łzy szczęścia. Intuicyjnie czułam, że nie chodzi o to wyróżnienie. Lubiłam robić coś nowego, innego, nie bałam się intensywnej pracy. Tak jest do dzisiaj. Każdy z nas marzył o takim wyróżnieniu, więc powinnam skakać z radości, a ja beczałam. Tina powiedziała: „Będzie dobrze, rozumiem twój niepokój...”, a ja: „Nie, nie...”. Postanowiłam, że wieczorem pójdę do babci Miriam. Musiałam to z nią przegadać. Niby chciałam tańczyć, ale coś mi podpowiadało, że nie powinnam, bo nowa sytuacja wywołuje we mnie tyle sprzecznych emocji. W przyszłości będę bardziej wierzyć swojej intuicji.

Babcia Miriam przekonywała:

- Dziecko, nie uciekaj od tego, co i tak nieuchronnie nastąpi.

- Babciu, miłość od pierwszego wejrzenia to dobre na filmie, ale nie w życiu.

- I ty tańczysz Julię! - skarciła mnie. - Uważasz, że sztuka sobie, a życie sobie. Mądrała. Dla dziadka rzuciłam swój kraj, rodzinę, wiarę, absolutnie wszystko.

Piłam kakao, bo babcia uważała, że to najlepsze lekarstwo na wszystko, zwłaszcza smutki.

- Gdy otoczy cię ramionami, a ziemia rozstąpi się i będziesz pędziła w dół w nieskończoność, nie bojąc się niczego, to będzie właśnie on.

I po roku tak właśnie się stało - świat odpłynął, a ja już nigdy nie mogłam powiedzieć, gdziekolwiek byłam, że to moje miejsce, choć przewędrowałam cały świat. Mówiono: „Róża tutaj pracuje, a żyje gdzie indziej, tylko gdzie?”. Tina niezmiennie odpowiadała: „W samolocie”.

Dość wspomnień. Jadę na lotnisko.

W samolocie zajęłam miejsce przy oknie i patrzyłam, jak oddalam się od ziemi. Byłam coraz bardziej u siebie. Wypiłam dżin z tonikiem, odzyskałam spokój - na chwilę.

Dlaczego nie powiedziałam do słuchawki, że to ja? Dlaczego nie zapytałam, gdzie był przez tyle lat? Związek Radziecki już dawno zniknął z mapy, a nakaz pracy w Tomsku chyba już od lat był nieaktualny. Dlaczego nie wrócił do Gruzji, tylko do Warszawy? Czy Tina, Janek i ksiądz Maciej już wiedzą, że wrócił? Niemożliwie, zorganizowaliby „akcję wsparcia”. Jakże się myliłam...

Już lądowaliśmy. Teraz będzie tylko praca, praca i praca. Jak zawsze potrafiłam oddzielić prywatne życie od tego, co teraz jest dla mnie najważniejsze. Właściwie niczego nie musiałam oddzielać, bo praca to moje życie. Reszta to młodzieńcze sentymenty.

Elitarny Kolektyw

Po powrocie z Londynu od razu pojechałam na plebanię. Tam czekała grupa wsparcia. Jednak.

Tina, Janek i Wojtek siedzieli u księdza Macieja na werandzie wśród kolorowych kwiatów. Ogrodnictwo to hobby gospodarza i naszego przyjaciela niemal od zawsze. Człowiek renesansu: pięknie grał na pianinie, miał niemal operowy głos, do tego uprawiał nowe odmiany róż, a jego powołanie nigdy nie było przez nikogo podważane, nawet kiedy był młodym, atrakcyjnym mężczyzną i przyjaźnił się z Marią i Aleksandrem, a nas, „nastolatków baletowych”, otaczał opieką. Czasem dewotki narzekały, że ksiądz jest duszpasterzem tancerek, a wiadomo, że to samo zło, i przyjacielem żydowskich choreografów. Nikt - poza nimi - nie mówił tak o Marii i Aleksandrze. Wielbiciele baletu pamiętali, jak znakomitymi byli tancerzami i jak rozsławili polski balet. Aż przyszedł czas, że zaczęto im wypominać, że nie są nasi, wybitni i kochani.

Tina ubolewała, że właśnie dzisiaj ich nie ma:

- Przecież właśnie oni najlepiej znali historię twoją i Gagi.

Już mogliśmy się odwiedzać, ale to raczej my pojedziemy do nich. Wiek robił swoje, musieli się oszczędzać. Nasi przyjaciele dobiegali siedemdziesiątki. Choć wyglądali wspaniale i promienieli radością, każdy miał jakiś problem ze zdrowiem: ksiądz chorował na serce, Maria miała nadciśnienie, Aleksander narzekał na nogi.

- A my robimy karierę - westchnął Janek - i każdy z nas przebywa w innej części świata. Coraz rzadziej się spotykamy

- Ale teraz jesteśmy razem, bo was potrzebuję.

Zawsze tak było. Jeśli jakiś członek naszego Elitarnego Kolektywu - ktoś kiedyś złośliwie nas tak nazwał i już zostało - miał kłopoty, od razu wszyscy się mobilizowali i stawiali na apel.

Tymczasem nie pytałam, czy Gaga odwiedził księdza Macieja. Dawniej był częstym gościem na plebanii. Jakie piękne koncerty nam fundowali... Obaj obdarzeni pięknymi głosami, muzycy, a przy tym mający świetne poczucie humoru.

Znowu nadziewana kaczka, wino produkcji księdza Macieja, rogaliki z różą. Na chwilę wróciła radość dawnych spotkań. Jednak niespodziewany powrót Gagi niepokoił nas, a przecież powinien cieszyć.

Ksiądz poszedł się pomodlić, bo nikt z nas nie wiedział, jak można mi pomóc... A może raczej Gadze...

- Biedaczek - zachnął się Wojtek. - Dawno mógł się odezwać albo zamilknąć na wieki. Amen.

- Skąd wiesz, że miał taką możliwość? - oponowała Tina. - Może tylko się nam zdaje, że w Rosji wszystko się zmieniło, a jego dopiero teraz odwołali z zesłania? I dali mu paszport...

- Nie mów bzdur - zirytował się Janek. - Jakie zesłanie?! Robił karierę w wielu teatrach Syberii. Dobrze o tym wiesz, przecież widzieliśmy znakomity spektakl z Nowosybirsk w Budapeszcie, choć jego tam nie było.

Mógł przesłać jakąś wiadomość, ale wołał, żeby Róża myślała, że nie żyje. A teraz wzdycha przez telefon: „Różyczko...”.

Janek zawsze był po mojej stronie. Przecież byliśmy zgranym duetem w balecie.

- Miałam przygotowywać artykuł wraz z Mistrzem. Nie muszę wam tłumaczyć, ile to dla mnie znaczy, to efekt dziesięciu lat dyskusji. Nic by mnie nie powstrzymało.

- A może już nie ma miejsca na Gagę? - zapytała Tina.

- Co wy mówicie. Przecież ona wciąż jest jego żoną. Władze Gruzji unieważniły ślub, ale tylko cywilny, nie kościelny - oburzył się ksiądz, wchodząc na werandę.

- Oboje są ateistami - roześmiał się Wojtek - a Róża jest bigamistką, czy tak? Wtedy w domu Gagi babcia i matka przygotowały piękne przedstawienie, ale nikt nie wierzył, że to jest prawdziwe.

- Ja wierzyłam - powiedziała Tina. - Przecież tam byliśmy. Czy wszystko mogło być fikcją, jeśli odbyło się w domu? W tamtym ustroju przecież władze musiały wyrazić zgodę... Jego rodzice byli faworyzowani przez system. Wtedy nikt z nas nie myślał o tym w taki sposób.

Ksiądz Maciej westchnął:

- Młodość to cudowna rzecz. Człowiek nie ma pojęcia, co może go spotkać.

Gdyby ksiądz zobaczył wówczas Gruzję - jak my - nie uwierzyłby, że to Związek Radziecki. Po szarej, smutnej Moskwie - nagle piękni i roześmiani ludzie, kwiaty, owoce, czego ani u nas, ani w Moskwie nie było. Ukwiecone góry, spadające wprost do morza,

zwłaszcza kiedy opuściliśmy Tbilisi i obok Soczi skręciliśmy w kierunku luksusowych pensjonatów i daczy, wiadomo czyich.

Tam na pewno był raj.

Nie w Taorminie, w której znacznie później kupiłam figurki Adama i Ewy, sprzedawane w każdym sklepie. Mnie z rajem zawsze kojarzyła się Gruzja.

Kiedy jechaliśmy w górach serpentynami, a Wojtek zapytał, patrząc w dół, w przepaść, czy dojedziemy żywi, Gruzin roześmiał się i powiedział, że tu spadają tylko Rosjanie, Gruzini - nigdy.

Zamieszkaliśmy w pięknym pensjonacie. W nagrodę odpoczywaliśmy w pobliżu daczy rodziców Gagi. I rozpoczęło się to, co najlepsze - piesze wycieczki w góry, picie wina ze spotkanymi Gruzinami, wyprawy statkiem po Morzu Czarnym, spacerunki wokół jeziora Rica i smakowanie kawy parzonej w tygielku w gorącym piasku przez siwowłosego Gruzina, spacerunki po Kaukaskiej Riwierze, z sanatoriami z początku XX wieku.

Zwiedzaliśmy także Gori, miejscowość Stalina, wciąż tam uwielbianego. W niemal każdym miejscu stały jego fotografie, w sklepach, u szewca, a nawet posągi w prywatnych ogrodach. Najokazalszy, pozłacany, widzieliśmy u znanego spikera radiowego. Pytałam Gagę, jak to możliwe. Dawno nie żył, o jego zbrodniach już wszystko powiedziano, ale tam nikt temu nie wierzył. Zresztą w Moskwie pod murami Kremla przy jego grobie również leżały świeże kwiaty, o które wciąż było trudno w tym wielomilionowym mieście. Jedno i drugie było dla mnie niepojęte. Gaga nie chciał o tym mówić. Przecież był Gruzinem.

W Soczi najbardziej podobała mi się aleja palm i magnolii. Jedną z nich - w Parku Przyjaźni - nazwano imieniem Gagarina.

Gaga zaprowadził mnie do pięknego teatru na tysiąc sto miejsc. Otwarto go w 1937 roku. „Tutaj będziemy tańczyć” - zapewniał.

I jeden raz zatańczyliśmy. Nawet po latach nie mogę ukryć wzruszenia, wspominając entuzjastyczne oklaski Gruzinów dla początkującej tancerki.

Przy fontannie w parku snuliśmy plany artystyczne i życiowe. Zapewniałam, że będę z radością tańczyć dla tych pięknych i muzycznych ludzi, zawsze uśmiechniętych, co było w socjalizmie rzadkością, więc urzekło.

- Róžo, czy pamiętasz swoje wesele albo coś w tym rodzaju? -
zapytał ksiądz Maciej, wyrywając mnie na chwilę ze wspomnień.

Dwadzieścia lat wcześniej

Wspomnienia dodają smaku terażniejszości. Borys Rusko

- Jakby to było wczoraj... W ogrodzie zgromadziło się wielu gruzińskich artystów, elita. Oni nie widzieli biedy wokół, a my grzaliśmy się w ciepłku komunistycznych przywilejów. Byliśmy za młodzi, żeby odrzucić tę radość. Usprawiedliwialiśmy się, że to nagroda za zajęcie wysokich miejsc w konkursie. Weranda ustrojona kwiatami i lampionami. Coś takiego widzieliśmy w filmach, ale tam, w komunizmie, to niepojęte. Może tam funkcjonowały dwa ustroje? Byłam za młoda, żeby to zrozumieć. Ojciec Gagi wyprowadził mnie, a matka - Gagę. Potem pojawił się ksiądz. Być może był w stroju regionalnym, jak wielu gości, a tego, co mówiono podczas ceremonii, nie rozumiałam, bo znałam zaledwie kilka słów po gruzińsku. Nikt mnie nie pytał, czy jestem wierząca, jaką wiarę wyznaję. A potem było dużo wina, śpiewu i tańca. Było barwnie, wesoło i trochę sentymentalnie. Nie zastanawiałam się, czy to działo się naprawdę, bo Gaga był najprawdziwszy na świecie.

- Jaką oni byli piękną parą... Ona - jasnowłosa, zielonooka, o bardzo jasnej karnacji, on - czarnowłosa, śniady, z pięknym uśmiechem... - malarsko opisywał nas Wojtek.

A potem utrwalił na obrazie, który zatrzymali rodzice Gagi. Oczywiście, zamiast walca nowożeńców zatańczyliśmy Dogonić szczęście, a kompozytor - ojciec - grał na pianinie. Wykonałam swój skok i na chwilę zatrzymałam przyciąganie ziemskie, aby płynąć w powietrzu i sfrunąć na ręce Gagi. Czułam, że wszyscy przestali oddychać, jedni z podziwu, a inni ze strachu, że spadnę i strzaskam kręgosłup. Tak było zawsze, gdy wykonywałam na scenie swój lot ku szczęściu.

To był ostatni raz.

Rano Gaga został wezwany do Tbilisi, a w południe odstawiono nas pod eskortą na lotnisko do Moskwy i pilnowano, aż samolot oderwał się od ziemi. Byliśmy zdezorientowani - przecież to się działo w kraju zaprzyjaźnionym z naszym.

Gaga - dwadzieścia lat później

Choć byłam zmęczona po podróży, uczestniczyłam we wspomnieniach, które wywołał nieoczekiwany powrót Gagi. Jeszcze chętniej słuchałam opowieści o tym, co się działo, kiedy jechałam do moich przyjaciół.

Oto ich opowieść:

„Gaga szedł w kierunku plebani przez pola, które pozostały po dawnej wsi na przedmieściach dużego miasta. Zobaczył nas wcześniej niż my jego. Na pewno przeczuwał, że go zignorujemy. Liczył na zrozumienie Macieja, jako jedyny mówił do niego po imieniu”.

Dziwne, teraz wszyscy jesteśmy w takim wieku, że to nie powinno mieć znaczenia. Ksiądz Maciej zbliża się do sześćdziesiątki, a my, piękni czterdziestoparoletni, ludzie sukcesu, jak mówili o nas Maria i Aleksander. Teraz na werandzie piję słynną nalewkę Macieja i słucham wersji Tiny:

„Zbliżył się do werandy, Maciej podał mu kieliszek swojej nalewki.

- Syberia ci służy, wyglądasz znakomicie.

- A Róża? - zapytał.

- Chodź, zobacz, mamy zdjęcia sprzed miesiąca. Róża w kwiatkach i wygłaszająca referat na konferencji. Jest szczęśliwa.

Westchnął. Czuliśmy, że go zabolowało.

- Ale czy naprawdę jest szczęśliwa? Chyba w to wątpił. Chciał wątpić. Ksiądz Maciej roześmiał się.

- Jej nie zadaje się takich pytań, już raz goniła szczęście. I wystarczy. Wciąż poszukuje swojego miejsca na ziemi. I ciągle mówi: »To nie tutaj«. Woli być w nieustannej podróży.

- Obaj wiemy, że jej największym marzeniem była podróż dookoła świata. Teraz to realizuje w trochę inny sposób, ale zalicza kolejne kontynenty. Gdyby została ze mną, mogłaby nawet nie zwiedzić wszystkich republik.

- Czy wiesz, że ona prowadziła badania w tajdze syberyjskiej, sto kilometrów od Nowosybirsk? Była nawet tam w teatrze, a gdyby to był twój teatr...?

- Uciekłbym - jak ona teraz. To by niczego nie zmieniło. Tam znalazłem swoje miejsce.

- Szybko się pocieszyłeś. Dlaczego w takim razie chcesz się z nią zobaczyć? Żeby jej powiedzieć, że nie wierzyłeś, że kiedykolwiek

stamtąd wyjedziesz, więc robiłeś karierę? Może warto było się odezwać, kiedy skończył się Związek Radziecki...?

- Marzyłem o Teatrze Bolszoi, więc byłem posłuszny. Nie wierzyłem, że nastąpią tak znaczące przemiany polityczne, a ja dostanę paszport.

- A wiesz, że Róża jeszcze dwa razy była w Moskwie? Widziała Maję Plisiecką w Damie z pieskiem i oklaskiwała ją do północy. Potem wracała przez miasto bosą, trzymając w rękach szpilki, których nie mogła wcisnąć na nogi, opuchnięte po dwugodzinnych brawach na stojąco przy rampie. Artystka nie oszczędzała się, bisowała i bisowała na scenie pełnej kwiatów. Tłum pod sceną, a ona wciąż tańczyła i tańczyła z niepowtarzalnie pięknie wygiętą szyją i niezwykle ułożonymi dłońmi, co w czasie konkursu wszyscy podziwialiście w Umierającym łabędziu... »Opisywanie tańca jest sprawą beznadziejną. To są sekundy piękna, zawarte nie tylko w linii ciała, lecz i w duszy artystki, a odbierane przez nas wygięcia rąk, nóg, piruety i skoki pozwalają je chłonąć, przeżywać i zatrzymywać jak najdłużej. To obraz muzyki i wdzięku« - tak po powrocie Róża przekazała nam swoje doznania artystyczne.

- Róża idąca bosą przez Moskwę... To musiało być piękne - roześmiał się Gaga. - Chciałbym to zobaczyć, bo któż inny by się odważył...

- Rosjanie też radośnie reagowali na jej wyczyn. Szła bosą w wieczorowej sukni. »Brawo, krasawica« - wołali. Była w Soczi, gdzie odpoczywała po doktoracie, czyli po dziesięciu latach od waszego występu w Tbilisi. Chodziła znanymi jej drogami, odwiedzała miejsca, które miały być jej miejscem życia, przynajmniej na jakiś czas. Dlaczego nie mogła kontaktować się z tobą przez twoją rodzinę? Podobno twoja matka kochała ją jak córkę, ale nie chciała się z nią spotkać...? - pytał ksiądz Maciej.

- To dla dobra Róży, ale na pewno w to nie uwierzysz, Macieju, bo nie znasz naszej mentalności, tej prawdziwej i tej narzuconej. Nawet teraz, gdy mamy coś w rodzaju wolności, niewiele się zmieniło. Moja rodzina chroniła Różę przez lata, nawet nie wiesz, co jej wówczas groziło. Mogliście więcej jej nie zobaczyć. To nie są sentymentalne banały. Dzisiaj to wszystko wydaje się irracjonalne, ale tylko tutaj - Gaga spojrzał na Macieja. - Oni ze mną nie porozmawiają, a Róża opóźni swój przyjazd z Londynu, żeby mnie tu

nie spotkać. Czy tak to będzie wyglądać? Wierzę, że by mnie zrozumiała. Jestem tego pewny, choć odłożyła słuchawkę.

- Znasz inną Różę. Ta, którą byś zobaczył, zadziwiłaby cię, a może nawet rozczarowała. Nie chodzi o wygląd, bo pod tym względem niewiele się zmieniło. Ona wie, czego chce, świadomie zmierza do celu, bez względu na trudności. Osiąga to, co zaplanuje, zwłaszcza jeśli chodzi o pracę, o mężczyzn zresztą też. Zna swoją wartość. To już nie jest twoja Różyczka, tylko Róża - nowa odmiana, której już nie poznasz.

- Ale ty ją znasz, prawda? Zawsze ze wszystkim biegła do ciebie, bo tylko ty ją rozumiałeś, choć była ateistką. Wspierałeś ją nawet wtedy, gdy postępowała wbrew zasadom chrześcijańskim.

- Mylisz się. Ktoś, kto kocha i rozumie przyrodę oraz ludzi, sam nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że kocha ich stwórcę.

- Nie, nie o to mi chodzi. Miałem na myśli tylko to, że z każdym, kłopotem, radością i wątpliwościami biegła do ciebie, a potem obwieszczała: »Ksiądz Maciej tego nie akceptuje«. I koniec dyskusji. Podejrzywałem, że to ciebie naprawdę kocha. A ja jestem egzotyczną przygodą.

- Wieloletnia przyjaźń także jest miłością - i to pełniejszą niż każda inna. Jak myślisz, dlaczego oni z różnych stron świata przyjechali właśnie dzisiaj tutaj i warują na werandzie, podsłuchując? - ksiądz Maciej podszedł do pianina i zanucił: - »Nie żałuj czasu na przyjaźń - to droga do szczęścia. Nie żałuj czasu na marzenia - to pojazd unoszący cię do gwiazd...«. Ale mogę cię pocieszyć, że Róża kiedyś zwątpiła również we mnie. Przyjechała do mnie zmartwiona i ucieszona, zmęczona i głodna. Otrzymała Nagrodę Ministra za pracę doktorską, co było rzadkie, bo takie wyróżnienie przyznawano za większe zasługi dla nauki. Opublikowała doktorat w liczącym się czasopiśmie naukowym i okazało się, że nie ma dla niej etatu. Tłumaczono, że to wakacje, bo Róża miała obronę w czerwcu. Byliśmy tam wtedy wszyscy. A potem przyszedł wrzesień i październik - i nic. A Róża pracowała, prowadziła badania, przygotowywała artykuł do druku. Nie użalała się nad sobą, nie narzekała na niesprawiedliwość, po prostu pracowała, mimo iż On z satysfakcją powtarzał jej, że inni też uważają, że jej miejsce jest gdzie indziej, nie w nauce.

- Ale dlaczego Róża z nim jest?

- Nikt tego nie wie i nie rozumie. Może to była odtrutka na ciebie. On jest twoim przeciwieństwem. Może miała dość romantyzmu i wybrała ekstremalny realizm. Na szczęście czekając na etat, wydała przewodnik turystyczny, za który dobrze jej zapłacono. Miała na badania i życie. Jednak oszczędności się kończyły i musiała coś ze sobą zrobić.

- Biedna Różyczka - Gaga się wzruszył, ale nie na długo, bo to, co usłyszał, nie było dla niego miłe.

- Na korytarzu spotkała rektora, nazywanego złośliwie Dygnitarzem, który zapamiętał ją z uroczystości, na której odbierała nagrodę. Potem pogawędzili przy lampce wina. Okazało się, że pochodzą z jednego miasta, mają stamtąd dużo miłych wspomnień. Powiedziała, że musi zmienić uczelnię, bo tu dla niej nie ma etatu. »To dla kogo jest, jeśli nie dla wyróżnionej pani doktor? Proszę jutro o jedenastej przyjść do mojego gabinetu, a ja porozmawiam z dziekanem i dowiem się, dlaczego nie zależy mu na rozwoju kadry naukowej«. »Bo pani dziekan uważa, że powinnam zostać spikerką w telewizji« - odpowiedziała. »Niezła myśl, mógłbym panią doktor oglądać codziennie, a nie liczyć na los szczęścia« - był rozbawiony. Na następnych spotkaniach Róża przekonała się, że jest obdarzony ogromnym poczuciem humoru i opowiada świetnie dowcipy żydowskie i góralskie. A wiesz, że ona lubi się śmiać jak mało kto. Kiedy mu wspomniała, że jej babcia jest z Odessy, od razu opowiedział dowcip: »W Odessie 50% to Żydówki, a druga połowa - Żydzi, oczywiście«. Nie obraziła się, tylko zaczęła śmiać. Była nim zauroczona - chyba ze wzajemnością. Czułem, że znowu pakuje się w kłopoty. A potem wszystko potoczyło się jak kula śniegowa. Róża dostała etat wstecz z poleceniem natychmiastowej wypłaty, a więc za kilka miesięcy. Pierwszy raz miała tyle pieniędzy, a w pani dziekan zyskała wroga na wieki. Równocześnie wydawnictwo wznowiło jej przewodnik, który cieszył się ogromną popularnością, a w telewizji miała promować przewodnik i film z własnym komentarzem. Jak na jeden dzień było tego sporo, więc wieczorem przyjechała do mnie, zamiast pójść do teatru. Pobyt w Warszawie przed wyjazdem do Osady zawsze kończyła wyjściem do opery, na koncert lub do teatru.

- Może z tobą? - Gaga znowu zareagował zazdrością.

- Czasem jej towarzyszyłem. Ale tego wieczoru wysłuchałem jej jak zwykle i dałem kieliszek wina. Usiadła w swoim ulubionym

fotelu, a ja grałem na pianinie. Zasnęła. Gospoia od razu postawiła diagnozę: »Cały dzień nic nie jadła i miała za dużo wrażeń. Niech śpi, zaraz ugotuję kakao i zrobię ciepłe bułeczki. Postawimy ją na nogi« - zdecydowała. Siedziałem z gospoią w kuchni i coś mnie niepokoiło. To, że Róża dużo tego dnia przeżyła, nie było niczym nadzwyczajnym. Właściwie dla niej to normalne, że niczego nie jadła. To zawsze był Tadek Niejadek, przecież sam wiesz. Zastanawiałem się, co tak naprawdę zważyło ją z nóg. Nie mogłem rozwikłać tej zagadki. I nagle pomyślałem o Dygnitarzu, bo od pierwszego spotkania z nim coś się z nią działo, ale nie chciała o tym mówić.

- Jeśli tobie nie powiedziała, to był naprawdę zły znak.

- Nakarmiona, ubrana przez gospoie w flanelową koszulę nocną - o trzy numery za dużą - i z filiżanką herbaty z melisą odzyskała spokój. Była północ. Byłem już w pidżamie. Zajrzałem do niej, bo się niepokoiłem. Gdy spojrzała na mnie, w jej oczach było przerażenie: »Boże, tylko nie to«. »Wszystko w porządku?« - zapytałem trochę speszony jej strachem. Kiwała głową, podciągając koc pod brodę. Wtedy zrozumiałem, że z tym zaufaniem to nie było tak, jak myślałem. Zważyła we mnie.

- Nie żałowałeś, że jej nie pocieszyłeś? No, nie patrz na mnie z politowaniem.

- Gdybym uległ jej urokowi, straciłbym na zawsze ją i naszych wspólnych przyjaciół, a to by było najgorsze, co mogłoby mnie spotkać. Oni są moją rodziną. Jej świat by się zawalił. Wystarczyło, że ty odebrałeś jej zaufanie do ludzi. Musiała na kimś polegać - i to byłem ja".

- Wiesz, Rózo, że słuchaliśmy o tym wielce zdumieni, nawet ja o tym nie wiedziałam - powiedziała Tina.

- Nigdy z nikim nie rozmawiałam o tym epizodzie. Zachowałam się tak głupio, beznadziejnie...

- „Czy jest to przyjaźń, czy to jest kochanie..." - zanucił Janek.

Kontynuowali opowieść:

„I wtedy zadzwoniłaś, przerywając wspomnienia w najciekawszym miejscu, bo Gaga chciał wiedzieć o tobie wszystko. Ksiądz Maciej pytał cię, jaka jest pogoda w Londynie, czy referat wzbudził zainteresowanie i dyskusje.

- Byłem pewny, że będziesz dobra i niepotrzebnie się denerwowałaś. Wracasz później, to znaczy kiedy? W piątek, ale prosto do mnie - mówił.

- Są problemy - usprawiedliwiałaś się - z pisaniem artykułu z Mistrzem. Ja jestem za zweryfikowaniem terminów i pojęć za pomocą nowych metod w genetyce, a Mistrz uważa, że powinny pozostać te, które się przyjęły i są stosowane od dwudziestu lat.

- Przecież w nauce wszystko się zmienia, dlatego jest postęp - dziwił się ksiądz Maciej.

- Powstaną dwa artykuły. Zostaną opublikowane równocześnie w jednym czasopiśmie.

- Świetne rozwiązanie - pochwalił pomysł. - Ale weekend spędzisz z nami. Elitarny Kolektyw już jest na miejscu, właśnie podsłuchują i podziwiają moją nową odmianę róży. Jest awantura, jak ją nazwać. Wszyscy żałujemy, że nosisz właśnie takie imię, bo byłoby łatwiej. Ależ ja cię nie obwiniam! Nazwę ją złośnicą - na twoją cześć - twój śmiech było słychać aż na werandzie. - Do zobaczenia, Różyczko. Napisz piękny artykuł.

- Ja innych nie piszę.

- Jak zwykle skromna... Może nazwę nową odmianę »Skromna Róża«? To będzie adekwatne do treści i formy.

Śmiejąc się, oznajmiłaś, że właśnie idziesz z kolegami do pubu na pożegnalny wieczór.

- Do zobaczenia - nagle skończył rozmowę, kiedy Gaga podszedł do telefonu.

- Zrobiłeś to specjalnie. Gdybyś był przyjacielem, od razu oddałbyś mi słuchawkę.

- I co byś jej powiedział?

- Nie wiem.

- Ale ja wiem, że wtedy by nie przyjechała, a teraz to właśnie ona najbardziej nas potrzebuje".

Ot i koniec opowieści. Weszliśmy do pokoju

- Chce spędzić z nami sobotę i niedzielę - poinformował nas ksiądz Maciej. - Gaga odjechał, a ty przyjechałaś.

I znowu pieczona kaczka, pyszne wino, rogaliki i rozmowy do północy. Wojtek malował, ksiądz Maciej grał. Gospościa poszła spać.

- Czy niepokoi cię przyjazd Gagi? - pytał Wojtek

- Nie wiem.

Wyszłam na werandę i słuchałam o sobie.

- Trudno nadażyć za Różą. Przecież jej przyjaźń z Dygnitarzem o mało znowu nie skomplikowała jej życia, a zwłaszcza pracy, chociaż wiem, że to nie był romans - broniła mnie Tina, choć bez przekonania.
- Nie tylko na wsi plotkowali. Może komuś na tym zależało, ale pojawił się skandal, którym zainteresowały się władze centralne. Ona go uratowała. Wyjechał za granicę na pół roku. Dostała wcześniej tę propozycję, ale nie była nią zainteresowana. Jakoś ucichło, lecz nie został ministrem, choć podobno już wszystko było pewne.

Tina wspominała, że gościła nas w Paryżu. Moje sympozjum i jego konferencja odbywały się w tym samym czasie, więc był to świetny pretekst, abyśmy spędzili ze sobą trochę czasu - bez wścibskich spojrzeń.

- Zaprosiłam ich na obiad do domu pod Paryżem. On był naprawdę uroczy, dawno nie spotkałam człowieka, który miałby w sobie tyle ciepła i humoru. Ich rozmowy przypominały odbijanie piłeczki pingpongowej. Przerzucali się dowcipami, a radość krążyła między nimi w nieskończoność. Patrząc na nich, myślałam: „Dwie połówki jabłka. Znowu. Po prostu trzeba mieć w życiu fart, żeby dwa razy spotkać swoją połówkę”. Wtedy nikt z nas nie wiedział, że stanie się to jeszcze trzeci raz. To wydawało się niemożliwe - dziwiła się Tina.

Wojtek miał swoją teorię:

- To były połówki fałszywki, krótkotrwałe. Prawdziwą połówką jabłka Róży jest Maciej.

Tina oburzyła się:

- Nie powtarzaj bzdur z magła. Janek również zareagował:

- Nie wiesz, o czym mówisz.

- Wiem, wiem, chociaż gdyby nie błąd w twoich genach, może to ty byłbyś jej przeznaczony. Ale ona niestety nie przypomina chłopca. To kwintesencja kobiecości, dlatego pociągają ją silni mężczyźni. I vice versa - droczył się Wojtek.

- Muszę wam powiedzieć, że od czasu, kiedy Róża była z Gagą, nie widziałam jej tak promiennej - tłumaczyła Tina. - Znowu miała błyszczące oczy, a wkrótce przygotowała swój najlepszy podręcznik, który miał trzy wydania.

- To teraz już z miłości nie pisze się wierszy, tylko prace naukowe - Wojtek nie odpuścił. - A przez rok nie spotkała się z nami i nawet nie odwiedziła księdza Macieja.

- Dość tego.

Weszłam do pokoju i opowiedziałam im o symposium, referacie, artykule i oczywiście o operze. Wreszcie zobaczyłam Toscę. Zawsze się z nią mijałam - jak gdzieś przyjeżdżałam, okazywało się, że właśnie skończyli ją grać. Tak było w Londynie, Paryżu, a nawet w Warszawie. I wreszcie ją zobaczyłam.

On

Po wizycie u księdza pojechaliśmy do Osady, aby odpocząć na wsi w lesie, bo każdy z nas miał za sobą pracowite miesiące.

- On wyjechał? - zapytała Tina. Tak mówili o moim mężu: „On”.
- Oczywiście. Wyjeżdża, kiedy tylko wracam z Anglii.

On nigdy nie należał do naszego Elitarnego Kolektywu, nawet na studiach. Włożył dużo pracy w to, żeby wyrwać mnie z tego gniazda zła: Janek gej, Wojtek prowadzi życie godne przedwojennej bohemy, Tina - komunistyczna dyplomatka, a ksiądz Maciej to po prostu kler. Nie wierzył w jego i moje czyste sumienie. O Gadze nic nie wiedział, bo rozpoczęłyby krucjatę do ostatniej kropli krwi, po grób. Poza moimi bliskimi przyjaciółmi nie spotkał ludzi z tamtego mojego świata - i dobrze - a oni też go ignorowali. Spotykaliśmy się, jeśli mogłam. Janek się buntował:

- Jesteś służącą, która musi prosić o wychodne? Tina dodawała:
- Jeszcze gorzej.

Nikt nie rozumiał tej sytuacji. Niby stanowiliśmy małżeństwo, ale nie byliśmy razem ani w chorobach, ani w radościach. On lekcewał moją pracę, a gdy byłam chora, wyjeżdżał na jakieś sympozjum czy konferencję, bo rezygnacja z nich zrujnowałaby jego karierę. Uczni nie rozmieniają się na drobne i nie marnują czasu na kaprysy. Zwłaszcza urlop to był jego przywilej. Choroby pracowników i rodziny były nieistotne, normalne zjawisko...

Kiedy zaczął się przy mnie kręcić na studiach, profesor - mój promotor - mówił:

- Dziecko, ty w tym związku nie będziesz miała czym oddychać. On ma bardzo silną osobowość, a ty jesteś kruszyna.

- Dam sobie radę.

- Gdybyś została na uczelni w moim zakładzie, twoja sytuacja byłaby stabilna, a ty jedziesz gdzieś na ścianę wschodnią, już samo to jest okropne. Ty nie potrafisz żyć poza wielkim miastem, nie wiesz, na co się narażasz. Bez przyjaciół i rodziny... On to wykorzysta.

Babcia Miriam dzień przed wyjazdem do Osady wręczyła mi walizkę z cudeńkami: haftowane koszulki, szlafroczyki, bluzeczki, kilka sukienek. W torbie - worku były obrusy, serwetki, zasłonki, makatki. Wszystko wyhaftowane, wydziergane szydełkiem przez babcię.

- Masz tu trochę radości i ładnych drobiazgów, bo czuję, że tam tego nie będzie.

Jak się okazało, były to prorocze słowa.

Spotkanie z Osadą

Przekonałam się o tym już pierwszego dnia, kiedy stanęłam na dworcu w upalny lipcowy dzień. Środkiem brukowanej drogi szły krowy wraz z hałasującymi muchami i czymś tam jeszcze - nie był to zapach lasu.

Po mojej twarzy płynęły łzy. Stałam w białym płaszczyku, kapelusiku i z haftowaną torebką od babci Miriam. Wojtek nazwałby to surrealistycznym obrazem. Te dwa światy nigdy się we mnie nie połączyły. Tutaj pracowałam, a żyłam gdzie indziej.

Najgorsze było przede mną - mieszkanie w drewnianym domu ze studnią i wygodami na podwórku. W piecach paliło się drewnem, które w dużych palach trzeba było przynosić z komórki i ciągle wrzucać do nienasyconej paszczy pieca. Mieszkanie było bardzo zimne, a ja do życia potrzebuję ponad dwudziestu stopni. W mroźne dni przy nieustannym dorzucaniu drewna do pieca było zaledwie siedemnaście, a rankiem dwanaście stopni, jeśli nie wstałam w nocy, aby podtrzymać ogień. Moje zmagania z piecem rozpoczynały się w październiku i trwały do maja.

Oczywiście, nie miałam zajęcia, choć kiedy zrezygnowałam z propozycji profesora, On zapewniał mnie, że etat czeka. Sam rzucił się w wir pracy, wciąż był nieobecny, a ja próbowałam przetrwać. Jedynym miejscem, w którym mogłam żyć, czytać i pisać, była kuchnia, a w niej duży stół. I piec, na którym stał kocioł z wodą, zawsze gorącą, moje centralne ogrzewanie i zasilanie łazienki w ciepłą wodę. Była nią duża drewniana balia, która stała za „ruskim piecem”. Wieczorem urządzałam kąpiele w ziołach. Macierzanka, rumianek i mięta - skarby z torby babci. Zamiast założyć pięknie haftowaną koszulkę, pakowałam się w barchanową ciepłą koszulę. Dobrze, że była niebieska. To mój ulubiony kolor. Babcia Miriam wyczuwała, że marzłam, choć nie narzekałam. Przesłała mi koszulę i szlafrok z pięknej kolorowej flaneli, przybranej kokardkami i pomponikami. Chciała mi umilić tę ciężką zimę. Płakałam, właściwie szlochałam, choć troska babci sprawiała mi radość - tak lubię piękne rzeczy. Kuchnie dekorowałam zasłonkami, makatkami i serwetkami, darami babci. To było jedyne ładne i ciepłe miejsce w tym nieprzytulnym mieszkaniu.

Nie chciałam prosić go o pieniądze, więc chwytalam się każdej pracy: przepisywałam profesorowi teksty na maszynie, miałam dyżury

w świetlicy w domu kultury, byłam przez trzy godziny sekretarką w instytucie. Utrzymywałam kontakt z profesorem, u którego dostałam etat po studiach i zrezygnowałam, bo On twierdził, że czeka na mnie praca w Osadzie. Profesor przysyłał mi nowości naukowe i namawiał, żebym pisała artykuły popularno - naukowe, aż moja sytuacja się wyjaśni. Zabrałam się do tego z ochotą. Profesor poprawiał mi teksty, podsuwał problemy i rekomendował w odpowiednich czasopismach. Może przetrwam. A On mnie pouczał:

- Zaczynij żyć normalnie, a nie złudzeniami.

Pytałam:

- Jak?

Nie odpowiadał.

Oczywiście, później, właściwie już po doktoracie, mogłam zmienić miejsce pobytu i pracy, być z kimś innym, ale tego nie zrobiłam. Nikt nie rozumiał, jak można się samemu biczować, chyba że to był sposób na tworzenie. Wojtek musiał cierpieć, żeby malować, Janek tworzył nową choreografię, kiedy porzucał go tancerz - partner, a on wyglądał, jakby za chwilę miał się znaleźć w szpitalu. Tak tłumaczyłam swoje postępowanie. To nie była prawda. Moi przyjaciele sądzili, że On mnie bije.

- Dlaczego masz połamane żebra i siniaki na rękach? - zapytała Tina.

Wytłumaczyłam:

- To zdarzyło się tylko raz, kiedy wróciłam z konferencji, na której złapałam wirusa. Kiedy przyszedł do mojego pokoju, powiedziałam, że padam z nóg. Popchnął mnie na tapczan, a potem szkoda gadać - lepiej by było, gdyby uderzył. W nocy zabrało mnie pogotowie. Dostałam krwotoku, miałam połamane żebra. Na szczęście wtedy jeszcze pracowałam w Warszawie i od razu przyjechałam do szpitala. Lekarz powiedział ci, że straciłam dużo krwi, a ponieważ mam rzadką grupę, długo poszukiwali dawców. Z Osady przyjechali wszyscy naukowcy, jednak tylko jeden miał tę grupę - zero Rh minus. „Jestem zdrowy, bierzcie, ile potrzeba, ona musi żyć” - powiedział. Potem mówiłam do niego: „Jesteśmy spokrewnieni”. To prawie cud. Lekarz całą noc przesiedział ze mną, choć nie miał dyżuru. Po trzech dniach zabrałam mnie do Warszawy. „Trzeba jeszcze wykonać specjalistyczne badania. Nie wierzę, że spadła pani ze schodów” - powiedział lekarz, dając mi kopertę z wynikami.

- A On? - pytała Tina.

- Wyjechał jeszcze w nocy. Nie wezwał pogotowia. Zrobiła to sprzątaczką, bo dowlokłam się do telefonu na korytarzu i tam przeleżałam do szóstej rano.

- Dlaczego nie odeszłaś? Już na studiach zauważyliśmy, że ma sadystyczne skłonności - oburzała się.

- W środowisku miał dobrą opinię - poza tym, że był zarozumiały i miał zapędy dyktatorskie. W naszym przypadku rozwód był niemożliwy. To bardzo skomplikowana sprawa. I tak nie zrozumiecie - wyjaśniałam swoim przyjaciółom.

Ale wtedy w pewnym sensie odzyskałam minimum wolności. Krok po kroku realizowałam swoje marzenia. Wkrótce, choć towarzyszyły temu wyjątkowe zdarzenia, byłam po doktoracie. Z czasem uzyskałam jeszcze więcej niezależności. Jednak dopiero po habilitacji, której On był przeciwny i wiele zrobił, żeby zakłócić mi spokój w okresie ostatnich przygotowań. W nocy przed kolokwium habilitacyjnym nie pozwolił mi zasnąć, choć wiedział, że mogę nie jeść, pracować czternaście godzin prawie bez odpoczynku, lecz przynajmniej siedmiogodzinny sen był niezbędnym do funkcjonowania mojego organizmu. Jego brak pozbawiał mnie energii i entuzjazmu.

Kolokwium wypadło bezbarwnie, więc były głosy wstrzymujące, a nawet przeciwne. Uratowały mnie liczne artykuły publikowane w dobrych czasopiśmie i monografia bardzo dobrze oceniona przez wybitnych i wiarygodnych uczonych z różnych ośrodków naukowych. I wnioski o wyróżnienie jej nagrodą Polskiej Akademii Nauk. Profesorowie znający mnie jako entuzjastkę dyskusji byli nie tyle rozczarowani, co zdziwieni, a nawet zmartwieni. Promotor mojej pracy doktorskiej, a teraz jeden z recenzentów rozprawy habilitacyjnej, odprowadził mnie na bok i zapytał:

- Co się stało?

- Nie mogłam spać, a jak pan profesor wie, to w moim przypadku warunek istnienia.

On stał obok. Był roześmiany i rozdyskutowany. Profesor nieco zirytowany powiedział:

- Dlaczego nie zapewnił jej pan chociaż doby spokoju? Wzruszył ramionami.

- Nie jestem niańką - odpowiedział i poszedł.

A ja cieszyłam się potencjalną samodzielnością. Jak to później mówiono: „Wywalczyła swój kawałek podłogi”. Wróciłam do Osady. On zostawił mi fraszkę:

Jak każda żona:

Na ulicy docent,

W domu docentowa.

Zamierzałam przenieść się do innego instytutu. Przyjaciele wspierali mnie w tym, nawet nie wiedząc, że ratują mi życie. Miałam zorganizować w Osadzie samodzielną pracownię, aby zrealizować zaplanowane dwudziestoletnie badania. Reszta nie miała znaczenia. Stwarzaliśmy pozory: dwoje zdolnych naukowców często pokazywało się razem na sympozjach krajowych i zagranicznych. Mieli wspólnych przyjaciół. Nikt tego swoistego węzła gordyjskiego nie rozwiązał, choć niektórzy podejrzewali, że dzieje mi się krzywda. Szczególnie jedno zdarzenie poruszyło kolegów.

Przyjechałam z Londynu i miałam zreferować na sympozjum w Warszawie nowości w nauce, czego wówczas wszyscy byliśmy ciekawi, bo wyjazdy do niektórych krajów były bardzo utrudnione. Takie spotkania cieszyły się zainteresowaniem. Do Warszawy przyjechało około stu naukowców z różnych ośrodków w wielu miastach.

Nagle On zaproponował, aby przed referatem przeprowadzić wybory i głosowanie nad składem zarządu sekcji naukowej, której był przewodniczącym. Wówczas bardzo szanowana pani profesor powiedziała, że wszyscy przyjechali na referat, wybory zajmą dużo czasu, a większość przyjezdnych ma ekspresy o piętnastej. Nie będą mogli zostać, choć chcieliby go wysłuchać, a nie są zainteresowani wyborami. Jej wniosek poparł mój szef z Krakowa, który wiele razy ratował mnie z opresji, a to była niezwykle niezręczna sytuacja. Odezwały się głosy z sali, że goście chcą najpierw wysłuchać referatu.

Udało się. Ponieważ byłam przyzwyczajona do tego typu trudności, z entuzjazmem zaczęłam dzielić się z kolegami wiedzą, którą zdobyłam w „neodarwinowskiej szkole”. Dyskusja była żywa i interesująca, trwała do czternastej. Na wyborach zostali tylko zainteresowani. Ja z wieloma kolegami kontynuowałam dyskusję na korytarzu i pokazywałam najświeższe artykuły z tej nowej dziedziny. Od razu zaproponowano, by w Osadzie i w Krakowie zorganizować

seminaria, na których miano przedyskutować jeszcze wiele problemów.

Nie chciałam myśleć, co mnie czeka po powrocie do Osady. On nie uczestniczył w dyskusji.

Krakowskie czwartki

Na „krakowski czwartek” nie pojechał. Nie tylko Król Staś miał „czwartki”. My również - naukowe. Piękna, długa tradycja. W Krakowie odbyła się bardzo interesująca dyskusja, która prowokowała mnie do wygłaszania koreferatów do własnych wystąpień. Znacznie przekroczyłam czas referatu, więc zapytałam przewodniczącego, bardzo dostojnego krakowskiego profesora, czy mogę kontynuować.

- Ile pani zechce - uprzejmie udzielił mi pozwolenia, choć z reguły przestrzegał czasu wystąpień.

Jeden z kolegów powiedział, że największym moim osiągnięciem było to, że profesor nie zasnął, co mu się zdarzało na „czwartkach”.

Potem udaliśmy razem do restauracji, w której podawano najlepszą solę na świecie. Całe lata zebrania, konferencje i sympozja w Krakowie kończyliśmy rybą i winem. Czasem na Kazimierzu, w Arielu, rybą po żydowsku przy muzyce klezmerów. Oczywiście, nie zabrakło wypadów do teatru, a od niedawna do opery.

Kraków zawsze będzie mi się kojarzył z wielką nauką, przyjaźnią i teatrami. Przede wszystkim jednak zapamiętam to, że właśnie przyjaciele z Krakowa umożliwili mi rozwój naukowy, zwłaszcza w pierwszym okresie mojej pracy. W czasach, kiedy niełatwo było dokonywać przenoszenia pracowników naukowych z jednego ośrodka naukowego do drugiego - szczególnie z uniwersyteckiego do Polskiej Akademii Nauk - tuż przed i po stanie wojennym. Zwykle łączono to z polityką. W PAN - ie znajdowali schronienie profesorowie, których usuwano z uczelni z powodu ich działalności politycznej. Wówczas wymagało to odwagi, ale to po prostu Kraków.

Moi przyjaciele uratowali mnie, nie wiedząc nawet, przed czym. Nie mieli pojęcia o mojej prywatnej wojnie. Co za ulga.

Przenosiny przypadły na okres, kiedy podróżowanie było utrudnione, ponieważ często było się legitymowanym, także w pociągach. Byłam zameldowana w Osadzie, legitymację służbową miałam już z instytutu krakowskiego, a delegacje z Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

Pewnego dnia po wypełnieniu formularza w hotelu w Warszawie przygotowywałam się do snu, bo rano jechałam do Krakowa, kiedy zadzwoniono, abym zeszła do recepcji. Stali w niej wojskowy i milicjant. Wciąż powtarzali, że to niemożliwe: mieszkam na jednym końcu Polski, pracuję na drugim, a delegacje mam jeszcze skądinąd.

- Za tym zawsze się coś kryje - stwierdził wojskowy, oglądając dowód, legitymację i delegację.

Rzeczywiście, trudno to zrozumieć, nawet w środowisku naukowym sytuacja ta budziła zdziwienie.

- Rano to wszystko będzie można wyjaśnić - tłumaczyłam.

- Tylko bez pouczeń, bo jest pani podejrzana o ukrywanie się. To absurd być związanym z trzema miejscami, i to tak odległymi.

W duchu przyznałam mu rację. Tłumaczyłam, że to bardzo proste, że w Osadzie są instytuty kilku uczelni z różnych miast, no, takie filie. Próbowałam przybliżyć mu specyfikę Osady. A delegacja z Warszawy, bo władze PAN - u mieszczą się w Pałacu Kultury. To łatwo sprawdzić.

Niespodzianka. Rano dokumenty były do odebrania w hotelu, więc udałam się do Krakowa. Po latach dowiedziałam się, komu zawdzięczałam pomyślne i szybkie załatwienie sprawy, bo w tamtych czasach można było mieć kłopoty przez bardziej błahe sprawy. Oczywiście, mojemu niezawodnemu Dygnitarzowi.

Minął stan wojenny, a każdy mój wyjazd do Krakowa był poprzedzony absurdalną wojną - domową. Niektórzy koledzy to dziwne zachowanie wobec mnie tłumaczyli następująco:

- On to czyni z miłości i zazdrości, uważając cię za swoją wyłączną własność.

Nie wiem. Może. Tina nie rozumiała, że rzadko kto zauważał moją trudną sytuację naukową i życiową, choć niektóre zachowania mojego męża były karygodne. Według niej naukowcy to dziwne towarzystwo. Prawie każdy jest zajęty sobą i woli nie wiedzieć, co się dzieje wokół.

- Może to specyfika zawodu, choć to artystów uważa się za egocentryków - rozważała.

Tłumaczyłam jej, że nikomu się nie zwierzam, a trudno być jasnowidzem. W nauce czułam się świetnie, ale w środowisku naukowców - nie za bardzo, a w Osadzie wręcz fatalnie. Mało kto akceptował moje niekonwencjonalne stroje, zachowanie i wiele innych rzeczy. Sprawdziło się wszystko to, o czym mówił promotor mojej pracy magisterskiej:

- Ty nie potrafisz żyć na prowincji, a On wypełni całą przestrzeń i nawet nie będziesz miała czym oddychać. Będziesz żyła w windzie, i to sama.

I tak się czułam. Jednak nikt nie wiedział, jak bardzo potrafię być konsekwentna, kiedy mi na czymś zależy. Poza rym kto by przypuszczał, że te czterdzieści cztery kilogramy w kruchej obudowie ma pancerz doświadczeń, z którym nawet On sobie nie poradzi, choć wszystkich pouczał... Musiał się poddać, choć trwało to długo, zbyt długo. Wywalczyłam, przy pomocy przyjaciół, zwłaszcza krakowskich i Dygnitarza, warunki do pracy, o jakich marzyłam. Na resztę nie zwracałam uwagi. Bardzo go dotknęło, że już nic od niego nie zależało, i trochę spasował. Ksiądz Maciej miał rację, kiedy powiedział mi:

- Jesteś wyjątkowa, nie zmarnuj tego.

Miałam wtedy piętnaście lat. Nie zmarnowałam, bo przyrzekłam.

Moje ucieczki i zwycięstwa

Nie próbuj więzić tych, których kochasz. Borys Russko

Uciekałam z Osady trzy razy. Pierwszy raz, kiedy po studiach przyjechaliśmy do pracy i okazało się, że nie ma dla mnie etatu, a On mi o tym nie powiedział, gdy zrezygnowałam z pracy u swego profesora. On zaplanował, że będę jego laborantką i sekretarką.

Byłam przerażona. Wszystko wokół było obce, niezrozumiałe i jeszcze nie miałam pracy, która od zawsze była dla mnie najlepszym lekarstwem. Przyjechałam z gotowym projektem badawczym, miałam zapewnione konsultacje profesora, bo to była kontynuacja pracy magisterskiej.

Nie byłam w stanie pojąć, jak mogłam być tak naiwna - mimo tylu ostrzeżeń przyjaciół, a zwłaszcza babci Miriam. „Nie mam pracy ani mieszkania, jestem ubezwłasnowolniona. Co robić?” - myślałam. Pojechałam rowerem do lasu, aby złapać oddech, bo zdawało mi się, że za chwilę rozpadnę się na kawałki. Po raz drugi zabierano mi marzenia. Pierwszy raz z powodu polityki, drugi - z wyrachowania. On wyjaśniał mi, że gdy nie będzie się zajmował drobiazgami, osiągnie w nauce to, co tylko jest możliwe, i że to dla naszego wspólnego dobra, a obowiązkiem żony jest przecież pomagać mężowi w osiąganiu sukcesu. Powinnam więc być szczęśliwa, że zajmę się laboratorium i domem.

- Jak na blondynkę to i tak dużo - ironizował, może dowcipkował.

Jeszcze niedawno prosiłam profesora, żeby przyjął go do pracowni magisterskiej. Nikt go nie chciał, bo nie umiał pracować w zespole i wszystko już wiedział, więc po co mu opiekun naukowy. Nikt nie wątpił w jego zdolności, lecz wiadomo było, że nie potrafi współpracować.

Jego stolik postawiono obok mojego i zaczęłam łagodzić konflikty.

Na studiach każdy musiał zajmować się pracą społeczną, więc ja organizowałam wspólne wyjścia studentów do teatrów. Nazywano je kult - pochodami. Wówczas studiowało dużo młodzieży ze wsi i małych miasteczek. Wiele osób nigdy nie było w teatrze, a nawet w kinie. Wyszukiwałam sztuki. Na początku łatwiejsze, potem coraz trudniejsze, organizowałam spotkania z aktorami, a nawet z pisarzami. W tym świecie czułam się znakomicie. Wyczuwano to, dzięki czemu

wielu studentów mogło spotykać się z aktorami. Nie byli w stanie uwierzyć, że będą rozmawiać z Andrzejem Szalewskim, Marią Malicką, Leonem Niemczykiem czy Krystyną Jamroz. Wiele razy musiałam ratować sytuację, bo onieśmieleni nie potrafili zadawać pytań. Aktorzy bardzo mnie wspierali, czuli, że nie jest to świat dla mnie całkiem obcy.

W pokoju kult - pochodów, tak nazywaliśmy miejsce, w którym rozdawałam bilety, On prosił o miejsce obok mnie. Potem odprowadzał mnie i gawędziliśmy o sztuce. Też lubił teatr. To było miłe. Wtedy jego bufonada gdzieś się ulatniała. Wszyscy zauważyli, że z czasem łagodnieje i nawet można z nim podyskutować, choć oczywiście nie na takich samych warunkach.

Życie jak poker karmi się ryzykiem. Borys Russko

Praca naukowa naprawdę go interesowała. Wykonywał ją z pasją. W kwestii tego, co niepokoiło profesora i mnie, on nie miał wątpliwości: to ma być tak, tamto inaczej, to jest dobre, a to nic niewarte itd. Oczywiście, najlepsze było to, co On powiedział, a interesujący problem to ten, który został przez niego zauważony. Podczas seminarium profesor niejednokrotnie wychodził pod pretekstem zapalenia fajki, bo był to człowiek łagodny i nie chciał wszczynać awantury ze studentem, a niestety tak kończyła się każda dyskusja, kiedy ktoś z nas miał inne zdanie niż On. Profesor wiele razy skarżył mi się:

- Rózo, przecież On mi rozbije zespół... Żadnej pokory, jaka jest w nauce niezbędna.

- Może będzie wielkim uczonym, bo jak jesteśmy sami, to mówi bardzo mądrze... Może jeszcze nie wyrósł z dziecięcej przekory? Może to bunt? - rozważałam.

I zaczęło się. Pracę magisterską obroniłam jako pierwsza, i to celująco, otrzymałam Nagrodę Rektora, a On otrzymał stopień dobry, ponieważ na egzaminie też się buntował.

Teraz byłam sama z nim w obcej mi Osadzie. Miałam zostać za wszystko ukarana. Zastanawiałam się, jak się z tego wszystkiego uratować. Jadąc rowerem przez las, przysięgałam przed czterystuletnim dębem, że drugi raz nikt nie zabierze mi moich marzeń, nawet On. Dodawałam sobie odwagi, cytując znaną sentencję:

Nie istnieją marzenia niemożliwe do spełnienia.

Istnieje tylko nasze ograniczone poznanie tego, co możliwe.

Rozpoczęłam długą, kilkuletnią walkę, którą On musiał zakończyć kapitulacją. Po habilitacji byłam samodzielna naukowo, choć musiałam przeżyć wiele przykrości i upokorzeń. Jednak osiągnęłam cel. Stało się to po wielu latach. Gdyby wiedział, że od dziesiątego roku życia godzinami stałam przy drążku, jako nastolatka potrafiłam kilka dni poświęcić na ułożenie ramion czy piękne skrzyżowanie nóg, a przy tym musiałam mieć bardzo dobre stopnie w szkole, bo to był warunek pozostania w balecie, nie rozpoczynałby tej beznadziejnej walki. Poza tym miałam przyjaciół - Elitarny Kolektyw, który również wypowiedział mu wojnę. Lekceważył ich - i to był błąd.

Po roku, wciąż nie mając etatu, wyjechałam z Osady, ale przedtem wywołałam skandal - wdałam się w romans z młodym przystojnym gitarzystą, który pisał dla mnie piosenki. Śpiewał je, grając na gitarze, przy każdej okazji. Ja, zraniona, demonstrowałam więcej, niż było trzeba. Wiedziałam, że w takiej małej miejscowości wszystko zostanie pomnożone przez dziesięć i będzie romans stulecia. Ale byłam również przekonana, że On pozwoli mi wówczas wyjechać, bo jego ambicja zostanie poddana ciężkiej próbie. A przecież był najlepszy.

Wyjechałam do małej uczelni, w której polecił mnie mój promotor. Pomógł mi opublikować pracę magisterską, a wcześniej artykuły popularno - naukowe. Po roku pracy dostałam stypendium doktoranckie - zwyciężyłam w konkursie organizowanym przez Ministerstwo Nauki. Mogłam wybrać instytut i profesora.

Promienna wróciłam do Osady, bo to było miejsce, w którym mogłam zrobić coś nowego i realizować swoje marzenia.

Co dwa tygodnie musiałam jeździć na seminaria i wykłady do Warszawy, co ułatwiało mi spotkanie się z przyjaciółmi. Wieczory spędzałam w teatrze i u księdza Macieja - nie mogło być lepiej. To wszystko przeszło moje najśmielsze oczekiwania: mogłam pracować naukowo, korzystać z dóbr kultury i ciepła mojego Elitarnego Kolektwu, choć zdekompletowanego.

I wreszcie obrona rozprawy doktorskiej. Mój promotor - znakomity uczony. Nazwiska recenzentów również budziły szacunek. Wśród nich byli wybitny genetyk i wschodząca gwiazda nauki - krakowski profesor. Potem przez wiele lat byli oni dla mnie wsparciem, gdyż zajmowałam się raczkującą dziedziną. Genetyk

wielokrotnie później przyjeżdżał do Osady, aby przedyskutować celowość i założenia teoretyczne moich eksperymentów. Z rozbijającą szczerością mówił:

- Niezupełnie rozumiem tę koncepcję, ale niech się pani jej trzyma.

Profesor krakowski więcej wiedział o tej dziedzinie, bo mimo ówczesnych trudności wyjeżdżał za żelazną kurtynę do znanego ośrodka w Szwajcarii, a tam już dokonywano podobnych eksperymentów.

Wkrótce w Londynie ukazała się książka z teorią i metodologią, wytyczająca nowe drogi w tej dziedzinie. Ku mojemu zdziwieniu były tam cytowane wyniki moich badań.

U Mistrza w Anglii wiele razy bywałam na stażach i uczestniczyłam w seminariach. Jednak wszystko to zawdzięczam krakowskiemu profesorowi, który wspierał i propagował tę niepopularną wówczas u nas dziedzinę. Dzięki niemu i warszawskiemu genetykowi opublikowałam niejedną pracę w liczących się czasopismach. Tylko oni byli wówczas kompetentnymi recenzentami. Przede wszystkim jednak byli odważni. Takich ludzi teraz brakuje w nauce. Byli autorytetami.

Potem w publikowaniu w wydawnictwach zagranicznych, zwłaszcza angielskich, wspierał mnie Mistrz - twórca tej dyscypliny.

A oto moja obrona rozprawy doktorskiej. Nie prezentowałam na niej żadnych ilustracji, bo dziekan na propozycję pokazania przeźroczy odpowiedział, że Rada Wydziału to nie kino. Teraz na obronach doktorskich z laptopa płynie cała praca, barwnie i w takim tempie, że z trudem przebija się główne zadanie badawcze, a poznanie indywidualności autora to poszukiwanie ziaren cukru w worku siana. Na jednym z doktoratów, już jako recenzentka, zaproponowałam, że może doktoranci będą nam przysyłali płyty, bo umiemy czytać. Niestety, potraktowano to jak żart. Mój promotor twierdził, że jeśli ktoś nie potrafi w trzydziestu minutach przedstawić założeń pracy, metod i wyników z ich interpretacją, to znaczy, że nie wiedział, co badał. Dodał:

- Żadnych kartek, żadnych obrazków, ma pani przekonać wielu specjalistów Rady Wydziału, że to interesujący problem i że został przez panią rozwiązany.

Wreszcie obrona. Stawili się na niej moi przyjaciele, Tina i Wojtek, który to wszystko później namalował, ksiądz Maciej po cywilnemu - i przede wszystkim babcia Miriam, która przykuwała uwagę wszystkich. Piękna, szczupła, w czarnej sukni, z medalionem uzupełniającym ten surowy strój. Z czarnymi, lekko przyprószonymi siwizną włosami. Dzisiaj powiedziano by: mistrzowski balejaż.

Została babcią, nie mając nawet czterdziestu lat. Teraz mogła być obecna na debiucie naukowym trzydziestoletniej wnuczki - tak jak dziesięć lat wcześniej na baletowym pokazie Dogonić szczęście i Romea i Julii.

Słuchała w skupieniu mojego wystąpienia i bardzo żywej, interesującej dyskusji. Wiedziałam, że znowu była dumna ze swojej wnuczki. Przede wszystkim imponowała jej moja umiejętność walki z trudnościami.

Egzotyczna uroda babci Miriam przyciągała uwagę. Wszystkie komplementy pod moim adresem podsumowała następująco:

- Urodę Róża ma słowiańską, ale charakter po mnie. Od Ado Z.
- Prawda - potwierdzili przyjaciele.

Uroczy profesor genetyk dopatrzył się jednak również fizycznego podobieństwa: oczy, zadziorne odrzucanie głowy do tyłu, prawdopodobnie upór, figura i sposób chodzenia - jakby przy muzyce. Wymieniłyśmy z babcią spojrzenia, ale nie zdradziłyśmy swoich tajemnic.

Przeszłam jednogłośnie, choć na tej radzie było to raczej rzadkie. Wystąpiono o Nagrodę. Ministra. Ja i moi przyjaciele byliśmy zadowoleni. Wiedzieli, jak długą drogę przeszłam, by znaleźć się w tym miejscu. Wierzyli, że w końcu będę miała normalne warunki do pracy. Uroczystość „oblewania doktoratu” odbyła się na plebani. On był za granicą. Nie pogodził się z tym, że coś stało się wbrew jego woli.

Śpiewaliśmy, ksiądz grał na pianinie z babcią na cztery ręce - improwizowali. Ja i Tina, choć bez Janka, też improwizowałyśmy figury baletowe. Potem dołączyła do nas babcia. Od razu było widać, że kiedyś tańczyła, choć temu zaprzeczała.

- Czy ktoś w tym sztywnym świątku miał taką imprezę po doktoracie?! - zawołał Wojtek tubalnym głosem.

- NIKT!!! - odpowiedzieliśmy chóralnie. Tęskniliśmy za Jankiem, Gagą, Marią i Aleksandrem.

Wiedzieliśmy, że gdyby nie ta idiotyczna polityka, byłibyśmy razem. Ale kiedyś będziemy. Tina mówiła ze śmiechem:

- Róžo, nie wiem, jak ty to robisz, ale im bardziej ktoś chce ci dokopać, tym większą oddaje ci przysługę. To się nie udaje nawet twoim przyjaciółom, choćby bardzo się starali.

Wspominaliśmy naszą wspólną katastrofę, czyli zlikwidowanie baletu od razu po powrocie z Moskwy, gdzie otrzymaliśmy wysokie nagrody. Zespół Marii i Aleksandra rozwiązano, a my liczyliśmy na to, że w końcu rozpocznie się prawdziwa praca. Było tyle wspaniałych planów i pomysłów. Nasi choreografowie nie mogąc znaleźć jakiejś racjonalnej przyczyny, uznali, że to na pewno przez Gruzina, więc trzeba gdzieś mnie ukryć, bo panowie w szarych płaszczach skupią się na mojej osobie.

Jankowi udało się wyjechać nielegalnie do Francji, Tina i Wojtek rozpoczęli studia. Mylili się nasi choreografowie. Jak się okazało, to oni byli przyczyną naszej eksmisji z Gruzji i ponieśli konsekwencje sukcesu. Nie tylko u nas nastąpił czas usuwania Żydów z kultury i nauki. Podobnie było w ZSRR. Gaga, który współpracował z Marią i Aleksandrem, też został ukarany. Zamiast Teatru Wielkiego dostał syberyjski.

Nim nasi choreografowie wyjechali, wymyślili coś dla mnie. Na Mazurach organizowano Zespół Pieśni i Tańca. Poszukiwano w nim instruktorów. Moje referencje zachwyciły organizatorów, jednak mieli wątpliwości, gdyż byłam za młoda na nauczycielkę tańca. Maria zapewniała ich, że dam sobie radę. Nazwiska jej i Aleksandra były w tej branży najlepszą rekomendacją.

Ruszyłam w drogę do Olsztyna, a potem do Węgorzewa. W okolicy tego miasta znajdowała się niewielka wioska z dużym dworem, nietkniętym przez wojnę. Można w nim było tańczyć, śpiewać i ćwiczyć z muzykami. Drugi budynek zamieniono na internat dla uzdolnionej młodzieży. Obok znajdowała się szkoła. Nad samym jeziorem stało kilka małych białych domków. Były one przeznaczone dla instruktorów i nauczycieli.

Mazury - miłość od pierwszego wejrzenia

Mój wyjazd do Kamiennej Góry jest warty opisanie. Kiedy przyjechałam do Węgorzewa, okazało się, że dalej nie dostanę się żadnym środkiem lokomocji, ale przed stacją stoi furmanka, którą mam udać się do miejsca przeznaczenia. Tak poinformował mnie zawiadowca.

Rzeczywiście, furmanka była, a lejce trzymał Kozak - tak nazwałam go w myślach, bo niedawno widziałam film Cichy Don. Wskazał mi miejsce obok siebie. Miałam małą walizkę, resztę rzeczy wysłałam pocztą.

Byłam w niebieskiej plisowanej sukience i w słomianym kapeluszu przybranym kwiatem. Miałam też delikatne czółenka i płaszczyk przewieszony przez walizkę. Babcia Miriam twierdziła, że w każdej sytuacji trzeba być damą.

Młody człowiek, czyli furman, był rozbawiony.

- Jasna panienko, kareta czeka - zapraszał.

Tylko jak to zrobić? Stałam bezradna.

Kozak zszedł, położył walizkę na słomie. Chwilę stał przede mną, a potem wziął mnie na ręce i posadził na wygodnej skórzanej ławeczce z miękkim oparciem.

- Radzę zdjąć kapelusik i proszę okryć się moją kurtką, bo wieje od jeziora.

Dopiero wtedy zobaczyłam wodę po horyzont.

- Mamry - westchnęłam. - Jak pięknie... Albo pływać, albo malować.

- Patrzymy czy jedziemy? - zapytał.

- Jeszcze chwilkę, jeśli można.

- Ależ proszę bardzo - roześmiał się. Uświadomiłam sobie, że rozmawiam nie z furmanem, tylko z inteligentem. Spojrzałam na niego, a on uprzedził moje pytanie:

- Tutaj lepiej nie pytać, kto kim jest i skąd... Każdego dnia przez jakiś czas będzie pani zaskakiwana, podobnie zresztą jak wszyscy, kiedy zobaczą, kogo przywiozłem - potem zaczął na serio: - Rany boskie, co takie dziecko tutaj robi? Czy pani wie, jaka tu jest zbieranina od wschodu do zachodu? Można by powiedzieć: „z wszelkich pól bitewnych”. I nie wszyscy wyszli z salonów i są spragnieni sztuki, ale ładnych dziewcząt - to tak.

Jednak gdy po paru dniach do Węgorzewa przyjechała Mieczysława Ćwiklińska ze sztuką Moralność pani Dulskiej, sala teatralna przy garnizonie wojskowym była nie tylko wypełniona, ale przepełniona. Artystka okazała się znana i oklaskiwana, a publiczność elegancka - jak na siermiężne czasy i miasto przy granicy, a więc na końcu świata.

Pomyślałam, że w tej właśnie sali za parę miesięcy wystąpi Mazurski Zespół Pieśni i Tańca. Kozak zrzędził:

- Jak Maria mogła mi to zrobić...

- Może nie będzie tak źle - pocieszałam, tylko nie wiem kogo, uświadomiwszy sobie jednocześnie, że on zna Marię. O nic jednak nie pytałam.

Jechaliśmy truchcikiem. Mieliśmy przed sobą jezioro jak morze.

- Teraz trzymaj się mocno! - zawołał i galopem wjechaliśmy w ciemny wąwóz. Po chwili Kozak gwałtownie zatrzymał wóz. Przed nami były rozległe pola, jezioro okrągłutkie, lekko wypukłe jak bochenek chleba, a wokół pagórki obwieszane białymi domkami z czerwonymi dachami, wyglądające jak grzybki. Nie mogłam złapać tchu. Czy to możliwe, że na świecie są takie miejsca? Zakochałam się w Mazurach od pierwszego wejrzenia.

To było na jakiś czas moje miejsce. Poczułam się u siebie, choć wszystko było jeszcze przede mną.

Zamieszkałam w jednym z domków. Moje wysłane pocztą paczki już tam były, choć wątpiłam, czy w ogóle jeszcze je zobaczę, a jeśli już, to nieprędko. A tu miła niespodzianka.

Zagospodarowanie odłożyłam do jutra. Miałam w walizce wszystko, co było mi potrzebne pierwszego dnia pobytu.

Kozak jeszcze mi wyjaśniał, że ośrodek ma własny system kanalizacji, więc jest woda i toaleta, ale wioska nie, tylko ten dwór z dodatkami. Gdy zobaczył moje zdumienie, odjeżdżając, zawołał:

- Niemiec miał fantazję, a wioska szczęście, że leży na uboczu przysłonięta wzgórzami. Ominęła ją wojna i szabrownicy.

Pożegnania z tańcem

Rano spotkałam się z dyrektorem całego przedsięwzięcia i przedstawiłam mu plan pracy oraz repertuar taneczny, który przygotowałam jeszcze z Marią i Aleksandrem. Pokazał mi salę do ćwiczeń i przedstawił młodzież, która została wybrana do zespołu. Byli niewiele młodszy ode mnie, ale na pewno życiowo bardziej doświadczeni. Przeszli długą wędrówkę, nim się tutaj znaleźli. Teraz ja chciałam znaleźć drogę do nich, po prostu musiałam im pokazać, że umiem tańczyć i że mogę ich tego nauczyć.

- Chciałabym zobaczyć, jak się poruszacie. Dyrektor pokazał pianino i przedstawił kolegę, który miał grać na próbach, dopóki zespół muzyczny nie będzie gotowy.

- O trzynastej, w porze obiadowej, przedstawię pani pozostałych kolegów i ustalimy harmonogram ćwiczeń.

Poprosiłam o muzykę, a młodzież o przejście w jej takt wokół sali, prawdopodobnie kiedyś balowej. Dwanaście dziewcząt i dwunastu chłopców poruszając się rytmicznie, okrążyło ją dwukrotnie, a ja próbowałam wypatrzeć tych, którzy najładniej się poruszają i czują muzykę. Moją uwagę zwróciły dwie piętnastolatki i o rok starszy chłopiec. Poprosiłam ich na środek sali i razem z nimi zademonstrowałam, jak należało się poruszać. Potem pokazałam jeszcze dodatkowe kroki, które Ala, Danuta i Tadek powtórzyli przed pozostałymi, a potem jeszcze raz wszyscy ruszyli, zataczając koło. Potem siedząc na podłodze, rozmawialiśmy o tym, jak zdobyć stroje, które umożliwiają swobodę ruchów w czasie tańca. Trzeba było coś wymyślić.

- Czy ktoś z was ma w rodzinie krawcową? - podniosły się ręce. - Świetnie, zostaniecie więc na chwilę. Tymczasem muszą nam wystarczyć podkoszulki i spodenki gimnastyczne.

Wyjaśniłam im, jakie stroje byłyby najwygodniejsze, i zaproponowałam, żeby następnego dnia każdy przyniósł coś, co było zgodne z moimi oczekiwaniami. Potem ustaliłam z tymi, których mamy były krawcowymi, że spotkają się ze mną nazajutrz.

Udałam się do dyrektora z zapytaniem, czy mamy możliwość zakupienia strojów do ćwiczeń lub ich uszycia. Usłyszałam odpowiedź twierdzącą.

Zaczęłam działać. Po dwóch tygodniach moja grupa nie wyglądała już, jakby szykowała się na zawody gimnastyczne.

- A kiedy będą kostiumy? - dopytywali się.

- Jak będziemy potrafili zatańczyć kujawiaka i mazura, czyli niedługo - żartowałam.

A mnie się marzyło, aby oprócz kujawiaka i mazura opracować taniec, który wywodziłby się z tego regionu.

- Dziewczyno, daj spokój - mówili koledzy. - Wszyscy uznają, że będzie niemiecki...

O tożsamości mazurów niewiele wiedziano.

- Ale kilka rodzin autochtonów zostało w okolicy. Może pokażą mi, co dawniej tańczono na weselach? - oponowałam.

- Nie wiem, czy będą chcieli z tobą rozmawiać.

- Spróbuję - postanowiłam.

Nawet ze mną rozmawiali, ale o tańcach nikt niczego nie wiedział. Przyśpiewki, owszem, znali, lecz o płaśaniu ani słowa.

Po pół roku zaprosiłam wszystkich, którzy pomagali nam szyć, dziergać, haftować. Nie tylko rodziców, ale i wielu sympatyków. Mówili:

- Panno Rózo, wreszcie coś się dzieje.

Mój zespół jeszcze nie w strojach ludowych, lecz stylizowanych, dziewczęta w kolorowych szerokich i krótkich spódnicach, a chłopcy w bardzo wąskich czarnych spodniach. Wszyscy w białych koszulach i bluzkach imitujących ludowe, pięknie haftowane.

Tancerze przygotowali się, a zespół muzyczny oraz chór zajęły miejsca na podwyższeniu. Wtedy rozsunęliśmy drzwi do pomieszczenia, w którym siedziała nasza pierwsza publiczność. Powitano nas gorącymi brawami, a moi tancerze płynnym, prawie dostojnym kujawiakiem rozpoczęli występ. Potem nagle zachwycili ognistym mazurem. Dziewczęta fruwały w powietrzu, chłopcy z przytupem okręcali swoje partnerki.

Uśmiechnęłam się. Jeszcze kilka miesięcy uczyłam ich chodzić w rytm muzyki, a oni pytali, kiedy będziemy tańczyć. Dzisiaj wirowali na scenie, jakby tańczyli od dawna.

Brawom nie było końca. Rodzice płakali i śmiali się. Coś takiego... coś takiego, przecież to ich wspaniałe dzieci. Gdyby nie Kozak, zostałabym zaduszona w uściskach rodziców i ich pociech.

- Panno Rózo, jeśli coś trzeba uszyć, ufarbować, coś zdobyć, to my chętnie pomożemy.

Jeszcze nikt nie wiedział, że szykujemy niespodziankę, ale pokażemy ją dopiero na próbie generalnej. Nie wiedziałam, że był na niej obecny wojewódzki sekretarz partii. Przysporzył mi wiele kłopotów i przykrości. Potem zaś wiele radości, a nawet czegoś więcej, ale wtedy był moim wrogiem - tak myślałam.

Podszedł. Nie wyraził żadnej opinii o występie, tylko był zdziwiony, skąd taka zażyłość z całą wsią i licznymi koloniami wokół Kamiennej Góry.

- Kiedy zwołujemy zebranie, przychodzi kilku działaczy. Nawet nie wiedziałem, że jest tu tylu mieszkańców. A dlaczego nie ma żadnego tańca rosyjskiego?

- Mamy w planie kozaka, lecz brakuje nam odpowiednich butów. Bez nich trudno go wykonać - wyjaśniłam. Czułam się winna.

- O, przy takiej zażyłości z mieszkańcami na pewno gdzieś na strychu znajdują się oficerki - i to z dobrej skóry.

W tonie i w oczach tego człowieka było coś, co sprawiło, że zaczęłam się bać, i to nie tylko o siebie.

Wieczorem naradzałam się z Kozakiem, co robić.

- On chce cię wystraszyć, a potem zacznie się zalecać. Na razie smakuje cię oczami, ale będzie chciał więcej, tym bardziej że ty też patrzysz na niego jak kot na mysz.

- Żartujesz... Facet trzęsie całym województwem! Popełniłby taki błąd? Przecież on marzy o KC i nie zaryzykowałby niczego, co mogłoby zniszczyć jego karierę. Na pewno zna moje pochodzenie i przeszłość. Może sprawdzić, nawet jeśli nie posiada żadnych dokumentów. Ma odpowiednie służby...

- Ale jest zakochany jak diabli, choć partyjny - roześmiał się Kozak. - Wcześniej czy później zapomni o karierze i będzie chciał tylko ciebie. Proszę cię, pilnuj się. Dałam słowo Marii.

Często przyjeżdżał na próby niezapowiedziany. Wtedy dyrektor wpadał w panikę, a my ćwiczyliśmy, traktując to jak kontrolę naszej pracy i troskę, czy zdążymy na 1 Maja.

Gdy skończyliśmy próbę, młodzież poszła odrabiać lekcje, a ja usiadłam na werandzie i z nogami na stołku piłam mleko. Odpoczywałam. Jednak nie sama - coraz częściej przychodził Sekretarz na pogawędkę. Rozprawiał o tym, jaką mamy zdolną młodzież, która w kilka miesięcy tyle się nauczyła. Ale był sztuczny,

wiedziałam, że to temat zastępczy. Jego oczy go zdradzały. Był spięty. Dziwne, onieśmielałam go - takiego ważniaka.

- A dlaczego towarzysza nie należy do partii? Mogę zarekomendować.

Pomyślałam: „Tino, dyplomato, gdzie jesteś? Na takie pytania nie ma dobrej odpowiedzi”.

Wpadł dyrektor. Był bardzo zdenerwowany.

No, przynajmniej tego dnia miał u mnie plus. Był bardzo nie lubiany, służalczy i nieszczerzy. Przy nim milkły wszystkie rozmowy.

Sekretarz wstał i patrzył na mnie pytająco. Poszedł w stronę samochodu, a za nim biegł dyrektor z wyjaśnieniami i ukłonami. Miałam spokój. Niezupełnie, dyrektor udzielił mi nagany.

Kozak stwierdził:

- Rajfur.

Wizyty Sekretarza były coraz częstsze. Stało się to denerwujące dla wszystkich. Niektórzy mieli pretensje, że to przeze mnie, inni dodawali otuchy:

- Trzymaj się, dziewczyno.

Po zakończeniu ćwiczeń siadał ze mną na werandzie i pozornie miło gawędził o Mazurach, obiecywał, że pokaże piękne miejsca, bo nie tylko jezioro Mamry jest urzekające.

- Jestem urodzonym turystą i dlatego wybrałem ten piękny region.

Dałam się wciągnąć w tę rozmowę i wysłuchiwałam opowieści o Mikołajkach, Rucianem, Giżycku. Wymieniał mniej znane miejsca: Kruglanki czy uroczy zakątek - Przystań. Nie zdradziłam się z tym, że Kozak już mi pokazał niektóre mało znane miejsca: Guje, Brzozowo i nadgraniczną Perłę oraz urocze Jezioro Dobe.

Słuchałam, zastanawiając się, czy był szczerzy, czy może to był sposób na zwrócenie mojej uwagi.

Czasem przyjeżdżała Tina, ale spotykałyśmy się w Olsztynie. Tam nasi koledzy z teatru, którzy pomagali mi rozwiązywać wiele trudności z prowadzeniem zespołu, pokazali nam okolice. Wieczorem teatr, który w tym czasie rozkwitał, miał znakomity program i aktorów. Niektórych później widywałam na warszawskich i łódzkich scenach. Obdarowywałam ich kwiatami na premierach.

Zawsze będę wzruszona, wspominając Mazury.

Na pożegnanie przed moim wyjazdem z Kamiennej Góry zorganizowano spływ kajakowy Krutynią. Wówczas było to jeszcze bardzo spokojne miejsce i w ciszy mogliśmy przeżywać swoje spotkanie z przyrodą.

Sekretarz wciąż kusił mnie różnorakimi propozycjami. Mówił o tym, co chciałby mi pokazać, a ja nie zdradzałam, że już znałam te miejsca.

- Słyszałem, że często jeździsz do Olsztyna. Tłuczesz się trzy godziny pociągiem z przesiadką w Kętrzynie i wracasz nocą, a właściwie rano, bo o trzeciej. Wędrujesz przez pustkowia dwa kilometry sama. To niebezpieczne.

Nie wiem, czy bardziej byłam zaskoczona tym nagłym przejściem na ty, czy dokładnymi informacjami o moich wyjazdach i spotkaniach. A już wpadłam w przerażenie, gdy padła propozycja:

- Mogę ci to ułatwić - powiedział i pocałował moją rękę. O chwilę za długo. Maniery miał nienagane, choć podobno rządziła klasa chłopsko - robotniczo. On raczej nie należał do żadnej z nich - wskazywały na to jego nazwisko, wygląd i zachowanie.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - odpowiedziałam grzecznie - ale teraz trwają finalne próby i na razie muszę zrezygnować z przyjemności, nawet w niedziele.

- Mam nadzieję, że wrócimy do tej rozmowy - odparł i z uśmiechem wsiadł do samochodu. Bardzo pewny siebie i cholernie przystojny. Działał na mnie jak magnez. A ja się broniłam. Byłam dezorientowana.

Wiedziałam, że mój sąsiad po przekątnej - Kozak - obserwuje tę sytuację ze swojej werandy. Spotkaliśmy się nad jeziorem od strony wąwozu, w miejscu niewidocznym ze wsi. Opowiedziałam mu wszystko trochę przestraszona.

- No to mamy przedostatni etap „Akcji Róża” - wyjaśnił. - Jeszcze niespełna dwa miesiące do 1 Maja, może uda się jakoś uniknąć tych zalotów - pocieszał, a ja nie wiedziałam, czy tego chcę. - Staraj się, aby przy tych rozmowach ktoś był lub wpadał na chwilę.

- Wątpię, żeby to się udało. Wszyscy się go boją.

Na ostatnie próby przysłali instruktorkę z Olsztyna, która miała nadzorować całość, głównie dbać o to, by wszystko było ideologicznie w porządku. Nie ufali mi, więc zapewnili wtyczkę.

Zosia była miła i energiczna, dobrze radziła sobie z wszystkim: chórem, zespołem muzycznym i tanecznym. Wiedziała, kiedy i kto miał wyjść na scenę, gdzie stanąć.

Dotychczas ćwiczyliśmy indywidualnie, a teraz trzeba było złożyć wszystko w całość na akademię. Nikt z nas tego nie umiał, więc Zosia zabrała się do roboty. Trzeba przyznać, że znała się na rzeczy.

Wszystko wskazuje na to, że wiele razy przygotowywała taką imprezę.

Sekretarz był zachwycony, a Zosia zalotnie odrzucając koński ogon, patrzyła mu w oczy, deklarując:

- Na mnie zawsze można liczyć.

Odjechali razem do Olsztyna. Ulga, a jednak bolało, choć intuicja podpowiadała mi, że chciał wzbudzić we mnie zazdrość.

Przyroda przyszła nam z pomocą. Po kilku wiosennych dniach bez uprzedzenia wróciła zima. Mróz, śnieg sypał bez przerwy. Kamienna Góra była odcięta od świata, od Sekretarza także. Trwało to trzy tygodnie, a my ćwiczyliśmy bez przerwy, bo wieś był samowystarczalna i dziwnie beztroska, choć żeby się odwiedzać, trzeba było brnąć w śniegu. Po kilku dniach wydeptaliśmy dróżki od domu do domu i było fajnie. Mieliśmy swoją małą wyspę, tylko naszą.

Zima wreszcie nas pożegnała

Tydzień przed 1 Maja wróciła piękna wiosna. Za dwa dni mieliśmy rozpocząć próby w teatrze w Węgorzewie. Dostaliśmy autobus, który miał nas dowozić do teatru. Przyjechali Tina i Wojtek - jak zwykle z rysownikiem. Będzie udawał mojego chłopaka, gdyż zaczęło się pojawiać coraz więcej takich, którzy chcieli uratować mnie przed samotnością. Kozak, Tina i Wojtek postanowili nie odstępować mnie na krok pod pretekstem mojego zmęczenia i nadwątłego zdrowia.

Wybraliśmy się na generalną próbę do Węgorzewa. Na miejscu były już wszystkie możliwe władze, Sekretarz również. Ja i Wojtek trzymając się za ręce, wyszliśmy z autobusu. Tina obserwowała Sekretarza. Był zirytowany. Przywitała się z nim.

- Nie wiem, czy mnie pan pamięta...?

- Kto to jest? - zapytał, patrząc na Wojtkę.

- Jej chłopak.

Weszliśmy do teatru. Jak na takie małe miasto sala była imponująca. Wojtek od razu znalazł sobie - jak zwykle - najlepsze miejsce do rysowania. Mógłby pracować w amerykańskim sądzie, świetnie oddaje sytuacje, charaktery ludzi. Ile mamy rysunków z okresu istnienia naszego baletu - tego nikt nie zliczy.

Wiedzieliśmy, że wykona portret Sekretarza i kręcących się wokół niego lizusów. Zniknęłam ze swoim zespołem za kulisami. Tego dnia miał się odbyć prawdziwy występ w kostiumach. Czułam atmosferę podniecenia, znaną mi od dawna.

Rozpoczęła się próba akademii, którą prowadziła instruktorka Zosia. Wszystko przebiegało sprawnie. Brawurowy kozak wreszcie rozruszał nadętych dygnitarzy powiatowych i wojewódzkich. Przed tancerzami, którzy rozsunęli się i stanęli z boku, pojawiły się dziewczęta. Tancerki w zwiewnych białych sukienkach, przybranych kwiatami, płynęły, unosiły się i radośnie witały wiosnę. Powiało magią. Dziewczęta stanęły w półkolu, w którym przy nagle zmieniającej się muzyce chłopcy zaczęli wykonywać, skoki, podskoki, przerzuty z nóg na ręce i odwrotnie, hołubce z przysiadu, a wszystko w nadzwyczajnym tempie. Bito brawo, bisowano. Moi tancerze zdobyli oficjalną publiczność - na akademii mogło być tylko lepiej.

Jeszcze trwały próby, jeszcze dopasowywano stroje, jeszcze pojawiały się wątpliwości, czy „powitanie wiosny” jest naprawdę słowiańskim tańcem, czy płasami z zachodnich wzorców - było boso, zwiewnie i tak jakoś obco dla niektórych. Instruktorka Zosia, sprawdzona ideologicznie, zapewniła odpowiednie władze, że jest to słowiański taniec, a połączony z kozakiem - mądry zabieg - daje świadectwo polsko - radzieckiej przyjaźni. Tak naprawdę choreografia była wzorowana na tańcu Isadory Duncan. Na szczęście nikt o tym nie wiedział. Trochę domyślali się nasi koledzy z teatru z Olsztyna, ale także potwierdzali słowiański charakter tańca.

Zbliżał się 1 Maja. Sądzieliśmy, że moje kłopoty z władzą zakończyły się, ponieważ instruktorka Zosia z wielkim zaangażowaniem zajmowała się Sekretarzem.

Wieczorem przed 1 Maja przyszedł Kozak i podzielił się z nami podejrzeniami. Coś się szykowało, tylko nie wiedział co. On zaproszenia nie miał, ale twierdził, że będzie obecny pod teatrem - podobnie jak wielu ludzi, bo akademia będzie transmitowana przez

głośniki. Tylko rodzice występującej młodzieży, nauczyciele i instruktorzy dostali zaproszenia. Pozostałe miejsca mieli zając członkowie partii i różnych organizacji.

Udałam się za kulisy, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i złagodzić zdenerwowanie młodych artystów przed pierwszym występem. Jeszcze pamiętam, co się wtedy czuje. Zatrzymała mnie instruktorka Zosia. Powiedziała, a raczej rozkazała mi, żebym wróciła na widownię, bo będę tylko przyczyną zdenerwowania młodzieży.

- Czy zespół wie o tym? Przecież będą zdezorientowani, może potrzebują mojego wsparcia? - oponowałam.

A więc dlatego było wolne miejsce koło Tiny i Wojtka oraz kolegów z teatru z Olsztyna...

- To jest polecenie służbowe, a nie przedmiot do dyskusji - odparła i wyprowadziła mnie zza kulis.

Ktoś z rodziców podszedł do mnie:

- Oni tam na panią czekają. Dlaczego jest pani tutaj?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo w tym momencie podniosła się kurtyna, a instruktorka Zosia zaczęła powitalną litanię nazwisk i pompatyczną zapowiedź, z jakiej to ważnej okazji się zgromadziliśmy. Potem były liczne przemówienia, na szczęście krótkie. Wszyscy byli zniecierpliwieni. Czekali na część artystyczną, zapowiedzianą przez Zosię.

A potem już była radość, chór pięknie śpiewał, zespół muzyczny grał jak trzeba, a tancerze rozgrzali publiczność i byli gorąco oklaskiwani. Na koniec wszyscy pięknie się ustawili, chór, orkiestra, tancerze, aż trudno było uwierzyć, że to dzieje się na głębokiej prowincji, zasiedlonej przez ludzi wypędzonych, przepędzonych, a nawet zesłanych przez historię nietworzoną przez nich.

Kiedy myśleliśmy, że to już koniec ukłonów i oklasków, na scenę wyszedł węgorski sekretarz partii. Podziękowania rozpoczął oczywiście od sekretarza wojewódzkiego, któremu to wszystko zawdzięczamy. Potem skierował słowa wdzięczności w stronę instruktorki Zosi, że tak pięknie to przygotowała, i pogratulował młodzieży zdolności i pracowitości. Jeszcze raz oklaski.

Nagle nastąpiło coś, czego władza nie przewidziała, bo na pewno by zabroniła: ze sceny zeszli Danka i Tadek. Podeszli do mnie i wprowadzili na scenę. Wtedy się zaczęło. Wszyscy rodzice,

przyjaciele z Węgorzewa i Olsztyna oszaleli, klaskali, krzyczeli. Władza sznurowała usta, a młodzież wręczała kwiaty nam - instruktorom. Potem zaczęło się ściskanie i całowanie, a publiczność szalała. Ktoś krzyczał: „Spuścić kurtynę!!!”. I nic.

- Chłopcy, zatańczcie kozaka - poprosiłam. Wycofaliśmy się za kulisy. Muzyka zagrała, a chłopcy rozpoczęli niemal akrobatyczne popisy. Kurtyna. Wreszcie koniec. Instruktorka Zosia była blada jak ściana.

- Przepraszam - powiedziałam. - O niczym nie wiedziałam, ale popełniście kardynalny błąd. Młodzież ma wrodzone poczucie sprawiedliwości.

- To miał być sukces partii, a nie jednostki - warknęła. Już nie udawała miłej koleżanki. Teraz była urażoną działaczką.

Tina pociągnęła mnie do tylnego wyjścia, gdzie czekali Wojtek i Kozak.

- Wiejmy szybko, może być gorąco.

Na sali trwały oklaski, kiedy my na furmance Kozaka opuszczaliśmy Węgorzewo polnymi drogami. Do jutra może wszystko zamieni się w sukces partii.

- Ale nie wiem, czy to koniec twoich kłopotów, bo mogą ci zarzucić, że zorganizowałaś polityczną demonstrację. Nie uwierzą, że to spontaniczny odruch młodzieży i wdzięczność rodziców. Łatwo zamienić to w politykę. Wszystko zależy od Zosi i Sekretarza - martwił się Kozak.

Wbrew naszym obawom wszystko przebiegło tak, jak sama bym to planowała. Rano wezwał mnie dyrektor i oznajmił, że jestem zwolniona, a ponieważ byłam zatrudniona na tych samych zasadach co nauczyciele, przysługiwały mi dwa miesiące wakacji - już od tego dnia.

- Instruktorka Zosia będzie prowadziła zajęcia dwa razy w tygodniu, bo teraz młodzież musi nadrobić zaległości przed końcem roku szkolnego. Nie chcę żadnych demonstracyjnych pożegnań. Powie pani, że wyjeżdża na wakacje, bo jest przemęczona, co zresztą widać - kiedy byłam przy drzwiach, dyrektor powiedział: - Panno Rózo, to była świetna robota - odwzajemniłam uśmiech. Po raz pierwszy. - Do końca czerwca jeszcze proszę pozostać, tak mi polecono - rozłożył ręce.

Odpoczywałam, chodząc na długie spacery lub odbywając wieczorne konne przejażdżki, ale sama. Miałam ulubione miejsce nad jeziorem, o którym nikt nie wiedział - tak przynajmniej myślałam.

Było późne popołudnie, rozgrzane trawy pachniały, a wzgórza porastały dzikie róże, rumianki i macierzanka, której zapach otumaniał mnie. Przypominał mi kąpiele z dzieciństwa z naparem rumianku lub macierzanki. Teraz też korzystam z tego wynalazku Babci Miriam - i wielu innych - aby mieć jedwabistą skórę i piękne włosy. Ale teraz po długiej wycieczce pachniałam moją kobyłką, więc położyłam się na pachnącej rozgrzanej trawie, aby pozbyć się tego zapachu. Usiadł przy mnie swobodnie, jakby to było miejsce towarzyskich spotkań. Nie byłam zaskoczona, przecież czekałam, kiedy przyjedzie się pożegnać.

- Myślałaś, że pozwolę ci wyjechać bez pożegnania? Ja też opuszczam Mazury, więc oboje żegnamy to miejsce. Ja z żalem, a ty?

- Ja też.

Patrzyłam mu w oczy. Zbyt długo. Nie wiem, kiedy znalazłam się w jego ramionach, a on obcałowując mnie, niemal krzyczał:

- Moja cudna, wytęskniona, moja, tylko moja, mój skarb!

Skarb, już nagi, pieszczony, przyjmował go z westchnieniem, aż w dwugłosie zabrzmiał okrzyk radości i wyzwolenia. Wtulona w to czułe i namiętne ciało, wypoczywałam. Wiem teraz, co mnie do niego przyciągało - pożądanie. Od pierwszego podania ręki, kiedy poczułam dreszcz. Wzięłam to za strach. A teraz szeptałam, wzdychałam i wciąż go pragnęłam. A on mnie dręczył, całował każdy centymetr ciała i nie zważał na moje prośby:

- Chodź już do mnie.

Świat już dawno ode mnie odpłynął. Słońce zaszło, nastąpiła noc, a my wciąż połączeni, nierozzerwalni i złaknieni siebie. Tak długo czekaliśmy na takie spotkanie.

- A kto mnie dręczył tyle miesięcy? - wspominał i całował, obdarzając nieznanymi pieszczotami.

A kiedy już złączyliśmy się, gdzieś wdali rozległ się śpiew. W kościele biły dzwony, a wody jeziora obmywały nasze stopy. Nastąpiła noc.

- Nikomu cię nie oddam, jesteś moja, tylko moja. Bóg stworzył cię specjalnie dla mnie.

I wszystko zaczęło się od początku, choć zdążyłam jeszcze pomyśleć: „Skąd taka wiara u sekretarza partii?”. Ale tutaj każdy jest kimś innym, niż oficjalnie wiadomo. . Kiedy już leżeliśmy nasyceni i szczęśliwi, zapytałam:

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Powinienem już być w podróży, ale zwariowałbym, gdybym cię nie zobaczył. A ty?

- Ja za tydzień.

- Postaraj się studiować w Warszawie, bo mam szansę wykładać w szkole przy KC. Nie chcę cię stracić. Nikomu cię nie oddam, jesteś moim cudem.

Słuchałam i nagle uświadomiłam sobie, że wcale tego nie chcę. Przygoda - tak, ale ja wciąż czekałam na Gagę.

Wreszcie zakończyliśmy pożegnania i o świcie znalazłam się w pokoju. Wzięłam prysznic, wtarłam oliwkę w ciało, nieco posiniaczone, nałożyłam krem na twarz, spłukałam włosy naparem rumiankowym. Nawyki z baletu - trzeba dbać o ciało, nawet kiedy jest się zmęczonym.

Wieś budziła się, a ja szłam spać. Spokojna i zadowolona. Kot złapał mysz, na którą długo polował. Uśmiechnęłam się, bo właśnie tak zinterpretowałyby to zdarzenie Kozak. Zasnęłam.

Rano włożyłam swoją piękną, zwiewną sukienkę w chabry, poprawiłam loczki wokół twarzy i poszłam na spacer swoim szlakiem przez wzgórza wokół jeziora.

Było cudownie. Za parę dni miałam wyjechać i o wszystkim zapomnieć. Ale czy on zrezygnuje? Bałam się. Ja tylko dowiedziałam się czegoś o sobie, a on za bardzo się zaangażował. Tęskniłam, ale nie za nim. On tylko złagodził ból, dając mi chwile radości.

Kiedy wracałam do domu, na schodach siedział Kozak.

- A jednak nie dotrzymałem obietnicy złożonej Marii - powiedział, patrząc na mnie. - Wyglądasz cudownie. Nie muszę pytać dlaczego. Wróciłaś rano... Boje się spytać, kto cię tak uszczęśliwił, bo jeśli ten, co myślę, to wpakowałaś się w poważne tarapaty.

Milczałam. Nie będę się tłumaczyć z tego epizodu, jakże fascynującego.

Minęły dwa dni. Burza szalała cały dzień, więc nie wybrałam się na spacer. Późnym wieczorem pod moje okno podjechał na rowerze Sekretarz. Wybiegłam, wciągnęłam go do domu.

- Jeszcze ktoś cię zobaczy - denerwowałam się.

- Musiałem cię zobaczyć. Jutro muszę wyjechać, i to daleko, nie do Warszawy. Chyba zwariuję, rzucę wszystko, to nie dla mnie. Ja chcę tylko ciebie.

- Już zwariowałeś.

Nie pytałam, co rzuci i co nie jest dla niego. On też nie był dla mnie. Mimochodem rzucona informacja uspokoiła mnie. Nie musiałam szukać wykrętów.

Woda spływała z niego i zalewała podłogę. Pomogłam mu ściągnąć mokre ubranie. Był w dresie.

- Przerzuciłeś się na sport? A gdzie limuzyna i ochrona? - żartowałam. - Wchodź, wariacie, pod prysznic, bo dostaniesz zapalenia płuc.

Wyglądał strasznie. Był zdenerwowany i zrozpaczony. „Gdzie się podział ten władczy kacyk?” - pomyślałam przez chwilę.

Zgasiałam światło, aby nikt go nie zobaczył. Zaprotestował:

- Chcę cię widzieć, napatrzeć się, zabrać twój obraz ze sobą.

Zapaliłam świece. Może nie zauważy kształtu świecznika, który dała mi Babcia Miriam ze słowami:

- Niech cię strzeże w moim imieniu.

- Boże, kto cię wyrzeźbił? - zapytał, a ja myślałam, że nawróciłam sekretarza partii. Sukces.

Siedział nagi na łóżku. Też mogłabym zapytać: „Kto cię stworzył?”, bo był piękny jak diabli. Mógłby być tancerzem. W świetle świeczek wykonałam najpiękniejszy piruet, jaki tylko umiałam, i wylądowałam przed nim. Przytulił twarz do mojego ciała i buntował się:

- Nie zostawię cię, nie zostawię, nie oddam nikomu, niech wszystko szlag trafi.

Musiałam go przekonać, że wszystko będzie dobrze. Kłamałam, bo wcale nie zamierzałam dotrzymać obietnicy, ale on musiał wyjechać i wierzyć, że to krótkie rozstanie, bo inaczej sprowadziłby na siebie i na mnie nieszczęście.

Burza się rozszalała, biły pioruny, a my mieliśmy swoją przystań w małym pokoju na poddaszu.

O świcie był wtulony we mnie i musiałam go namawiać, żeby wyruszył do Węgorzewa, bo za chwilę będzie dzień. Wyprowadziłam go tylnymi drzwiami.

- Nałóż kaptur, żeby cię nikt nie poznał, skręć w lewo, wzgórza cię zasłonią aż do szosy - wydawałam mu instrukcje, bo on całkiem się rozkleił. Stracił swoją partyjną ostrożność.

Otworzyłam pozostawioną przez niego śliczną szkatułkę. Rozbrzmiało Pożegnanie Elizy, a ze środka wyskoczyła baletnica. A więc wiedział, potwierdził tylko moje przypuszczenie. Zatrzymał się jeszcze chwilę pod oknem i słuchał tej melodii razem ze mną. Wreszcie odjechał, powtarzając setny raz, jak będziemy się kontaktować.

Wróciłam do pokoju i sprzątnęłam łóżko, po którym przeszło tornado. Zmieniłam pościel, wzięłam prysznic i poszłam spać, nasycona i obolała.

W południe zeszłam do kuchni, bo byłam głodna jak diabli. Kucharka posmarowała mi smalcem ze skwarkami pajdę jeszcze ciepłego chleba, a ja zajadałam i popijałam pyszną ziołową herbatą, którą tylko ona potrafiła zrobić. Puszczając do mnie oko, powiedziała:

- A może to lubczyk? - roześmiałyśmy się. - Pannie Róży to niepotrzebne, bo dzisiaj wygląda, jakby zeszła z obrazka.

- Ale chyba nie ze świętego... - stwierdziłam.

- Na pewno nie, raczej z ramion kochanka.

- To dobrze, prawda - przekomarzałyśmy się. Tylko z panią Kasią prowadziłam takie rozmowy na granicy poprawności.

Naszą pogaduszkę przerwało wejście Kozaka, który rzucił na stół pół cielaka. Był zmęczony, bo takie operacje przeprowadza się w nocy, i to w gronie zaufanych. Wiedział, że pani Kasia nie zapyta, skąd ma mięso.

- Siadaj, zaraz dam ci to samo co pannie Róży. Zobacz, jak pałaszuje, aż chce się gotować.

Kozak przyglądał mi się przez chwilę. Odwrócił głowę w stronę pani Kasi i prowadził z nią żartobliwą rozmowę, a do mnie ani słowa, jakby mnie nie było. To znaczy, że wiedział, z kim spędziłam noc. Miał podwójny żal - że nie dotrzymał słowa Marii i że to partyjny kacyk mnie zainteresował, ostatni człowiek, który powinien się przy mnie znaleźć. Był rozczarowany, że nie byłam wierna Gadze. Miał rację. Przeszłam przez burzę hormonów, ale moje serce w tym nie uczestniczyło. Ale nie czułam się podle. „Nieszczęścia muszą być zbilansowane szczęściem, choćby chwilowym” - usprawiedliwiałam się przed sobą.

Wróciłam do pokoju. Gdy usiadłam na brzegu wanny, zobaczyłam rewolwer pod umywalką. „Co mam zrobić? On dzisiaj wyjeżdża do Warszawy... Czy już wie, że zgubił broń? Czy domyśla się gdzie? Dlaczego nosi rewolwer w czasie wycieczki rowerowej?” - dziwiłam się.

Wiedziałam, że nie mogę nikomu o tym powiedzieć, nawet Kozakowi.

Włożyłam broń do koszyczka, przykryłam szalem i usiadłam na werandzie. Byłam pewna, że się coś się zdarzy, bo sprawa była poważna.

Na motorze podjechał pod werandę jego kierowca. Kiedyś mi powiedział, że to jedyna osoba, której może ufać. Jednak.

Przywitałam go z uśmiechem i pokazałam koszyczek. Niczego nie musiałam wyjaśniać. Pochylił się, wyjął broń i szybko ukrył ją w kieszeni kurtki. Jednocześnie prowadziliśmy rozmowę, że po burzy jest piękna pogoda na przejażdżkę motorem. zaproponował, że podwiezie mnie nad jezioro Mamry, a potem wrócę spacerem, tak jak lubię.

Wiedziałam, że ta propozycja jest uzasadniona. Przy szosie stał pusty samochód. Kierowca minął go i wysadził mnie na cypelku. Tam na pieńku siedział Sekretarz. Zdenerwowany i przygnębiony. Usiadłam obok i powiedziałam:

- Już dobrze. Nikt niczego nie widział i nic nie wie. Spojrzał mi w oczy z wdzięcznością. I nie tylko.

- Do widzenia - powiedział z wysiłkiem i szybko poszedł do samochodu, jakby bał się, że za chwilę będzie to niemożliwe.

Odjechali. Westchnęłam. Miałam nadzieję, że to było ostatnie spotkanie. I tak było. Dlaczego mu nie współczułam? Tyle dla mnie ryzykował, a ja myślałam tylko o tym, jak zapobiec jakimkolwiek kontaktom. Byłam przezorna, nie dałam mu żadnego z moich adresów, nie powiedziałam, w jakim mieście będę studiowała. W moich papierach też było niewiele informacji. Ale on mając władzę, mógł mnie odnaleźć, ale był na to za ambitny. Jeśli się nie odezwę, a dał mi aż trzy możliwości, uzna, że moje serce wciąż jest gdzie indziej. Dlatego nigdy mnie nie zapytał, czy go kocham. Wiedział, co bym odpowiedziała. Czekał. Po prostu czekał. A ja milczałam.

Opuszczałam Kamienną Górę, tak jak ją powitałam - na furmance Kozaka. Przed wąwozem zatrzymaliśmy się. Podniosłam się i

spojrzałam na jezioro okrągłe i wypukłe jak bochenek chleba, wzgórze obsypane kwiatami, otoczone domkami - grzybkami. Pokochałam to miejsce.

- Siadaj! - krzyknął Kozak i ruszył gwałtownie. Zatrzymał się nad brzegiem jeziora Mamry. Chwilę popatrzyliśmy i skierował konie w stronę stacji. Zgodnie ze zwyczajem posiedzieliśmy jakiś czas w milczeniu.

W tej samej sukience, tym samym płaszczyku i kapelusiku z małą walizeczką stałam w wagonie przy oknie. Kozak był wzruszony:

- Zegnaj, jasna panienko. Wyślę ci rzeczy, nie martw się. Tylko raz pojawiła się tęcza nad Kamienną Górą.

Dopowiedziałam:

- Ale może kiedyś, w lepszych czasach, jeszcze raz ją zobaczymy.

Pociąg ruszył. Znowu coś zakończyłam i miałam zacząć nowe życie. Jak na dwudziestolatkę sporo tych zmian. Wtedy nie wiedziałam, ile jeszcze mnie czeka takich pożegnań.

Po dwunastu godzinach, trzech przesiadkach wpadłam w ramiona Tiny, Wojtka i księdza Macieja.

- Jaka jesteś mizerna... - pogłodził mnie po twarzy.

- Już wszystko dobrze - zapewniałam, ale jakaś moja część została na Mazurach.

Już tęskniłam. Nad jeziorem Mamry zakończyłam ostatecznie moją przygodę z tańcem - i nie tylko. Jednocześnie cieszyłam się, że wkrótce rozpocznę studia, tyle po nich oczekiwałam. Jeszcze ostatnie wakacje u cioci Broni nad Nidą, gdzie przez wszystkie szkolne lata spędzałam lato, przeprowadzając codziennie przez rzekę kilkoro koni na pastwisko. Popołudniami uczyłam się jazdy konnej, bo u cioci instruktor wynajmował przez dwa miesiące pokój, a jego klienci kupowali konie od niej. Miałam z tego profity - bezpłatne lekcje jazdy konnej od dziecka.

W Kamiennej Górze daleko poza wsią Kozak przyprowadzał dla mnie spokojną kobyłkę i odbywaliśmy wycieczki po bezludnych okolicach. To była nasza tajemnica.

Okolice jeziora Mamry z konia wyglądały pięknie. Ale nigdy mi nie powiedział, skąd tak dobrze zna wioski, które mijaliśmy: Guje, Perły, Brzozowo i Przystań. Do końca mojego pobytu pozostał osobą

nieodgadnioną. Kiedyś zapytałam Marię, która powierzyła mnie jego opiece:

- Kto to był?

Odpisała, że miałam szczęście poznać kogoś takiego jak Igo.

Dopiero wtedy poznałam jego imię, bo dla mnie był Kozakiem.

Wiele razy powracałam do Kamiennej Góry, lecz jego już tam nie było. Pozostały piękne wspomnienia o moim przewodniku po Mazurach, towarzyszu jazdy konnej i przyjacielu, na którego mogłam liczyć. Był moim prawdziwym ochroniarzem, spełnił prośbę Marii.

Jeszcze raz go zobaczyłam, kiedy na ostatnim roku studiów otrzymałam karteczkę: „Będę na lotnisku we wtorek o osiemnastej - Kozak”. Mróz okropny, blisko trzydzieści stopni, ja w kożuchu „furmańskim”, długim i kudłatym, jeszcze kupionym w Węgorzewie wraz z Kozakiem na targu, bo akurat trafiłam na zimę stulecia. Złapałam taksówkę i popędziłam na Okęcie, mając w sercu i w oczach Mazury. Tak jest do dzisiaj.

Oniemiałam. Przede mną stał przystojny, elegancki, po prostu piękny mężczyzna, niegdyś mój furman i ochroniarz. Teraz był inny, nie z tego świata, który zapamiętałam.

- Och, jasna panienska - naśladował akcent i sposób mówienia furmana, który wyjechał po mnie do Węgorzewa. - Warto było zobaczyć tę minę - roześmiał się. - A w tych oczach zobaczyć jeszcze raz Kamienną Górę, konne wycieczki brzegami Mamry i twoich niechcianych zalotników.

Nie ukrywam, że byłam wzruszona.

- Różo, mam dwie godziny do samolotu. Pogadajmy przy kawie.

To był uroczy wieczór, a kiedy zapowiedziano jego samolot, poszedł do kwaciarni i wykupił wszystkie białe bzy, moje ulubione, którymi były otoczone nasze domki w Kamiennej Górze. Z naręczem bzu na tle kożucha patrzyłam, jak znika po drugiej stronie - już niedostępny, zresztą zawsze taki był. Moja osobista ochrona przez rok. Mróz, kożuch i biały bez - tak zapamiętałam pożegnanie z Kozakiem - Igo.

Osada - dla przyjaciół: miejsce Róży

Zbliżaliśmy się do Osady. Skręcaliśmy w leśną drogę. Za chwilę mieliśmy zobaczyć ani wieś, ani miasteczko, ulice z domami drewnianymi, murowanymi w stylu letnich rezydencji lub amerykańskich farm, a nawet eleganckie hotele.

Niewiele pozostało z wioski, którą przed laty witałam łzami i z nadzieją, że to tylko na kilka lat, do doktoratu, może habilitacji, ale nie dłużej. Teraz w Osadzie osiedlają się artyści i poeci. Na szczęście ich domy są ozdobą tej nie zawsze gustownej nowoczesnej architektury. Sympatyczne małżeństwo zdolnych filmowców, z którymi można dość przegadać, bo jest o czym. Swoje siedlisko zbudowali na skraju wsi. Tworzą przepiękne filmy, na które tak zasługuje przyrodnicze otoczenie Osady. Teraz wieś jest sławna. Przyjeżdżają naukowcy i turyści z całego świata, a miejscowość bogaci się i rozwija. Instytuty naukowe mają nowoczesne siedziby, laboratoria i kontakty z wieloma innymi na całym świecie.

Ja też mam swój wkład w prestiż instytutów - zostałam pierwszym profesorem kobietą w Osadzie. Dołączyłam do trzech osobników płci przeciwnej. W tym zawodzie dominacja mężczyzn była normą. Kobiety mogły tylko pomarzyć o parytetach, bo musiały być dwa razy zdolniejsze i pracowitsze, a czasem bezwzględne. Nierzadko były zmuszone poświęcić rodzinę, by potraktowano je poważnie. Informacja podana przez Polską Akademię Nauk potwierdziła to: tylko 17% kobiet, które się doktoryzowały, uzyskało tytuł profesora. W przypadku mężczyzn jest to 65%. W organizacjach decydujących o polityce naukowej panów było 95%.

Upłynęły trzy lata od naszego ostatniego spotkania. To było najdłuższe rozstanie naszego Elitarnego Kolektywu. Bardzo nam brakowało naszych rozmów i bliskiej obecności. Tina wyjechała na placówkę dyplomatyczną do Tokio, Wojtek do Stanów, a po wystawie w Nowym Jorku jego obrazy wystawiono w wielu znanych galeriach. Miał wielu nabywców, po prostu się bogacił. Janek ze swoim bardzo oryginalnym męskim baletem objechał cały świat, a ja znowu pracowałam nad książką swego życia. Telefony i karteczki musiały nam wystarczyć.

Wreszcie podjeżdżaliśmy pod werandę. Krzysztof Cugowski, nasz ulubieniec, śpiewał: „A jeśli drugi widać brzeg, muzyka to najlepszy lek...”. Jeszcze chwilę słuchaliśmy go w samochodzie.

Pierwszy raz zobaczyliśmy i usłyszeliśmy Budkę Suflera w Opolu, gdzie publiczność oszalała, my też, gdy popłynął niezwykle Sen o Dolnie. Wtedy ktoś nazwał Cugowskiego lubelskim Pavarottim. Może przesadził, jednak faktycznie był to głos niezwykle. Teraz wzruszaliśmy się, słysząc: „Martwe morze stoi wokół nas i nadziei brak na wiatr”. Potem zamartwialiśmy się, że Cugowski przestał być solistą Budki, lecz wrócił jeszcze w lepszej formie. Każda nowa piosenka to przebój. Ile razy było to możliwe, byliśmy na koncertach Budki Suflera, aby zdążyć na koncert tego zespołu w Sali Kongresowej, skróciliśmy pobyt we Włoszech o dwa dni. Warto było. Stał przed nami dojrzały mężczyzna, nie młody chłopiec z zalotnym loczkiem na czole. Ile trzeba przeżyć, aby tak śpiewać, a ile my musiałyśmy wycierpieć, żeby rozumieć te słowa i muzykę...

- Nie wiem, jak można zachwycać się operą i Budką Suflera - dziwił się Janek.

- Jerzy Waldorff mówił, że nie ma muzyki lekkiej i poważnej, jest zła albo dobra - Tina broniła naszych różnorodnych zainteresowań.

Jeszcze chwilę siedzieliśmy, wspominając. Niepokoiliśmy się o naszą przyjaźń. Czy trzy lata mogły coś zmienić?

- Książdz Maciej martwi się o ciebie, mówi, że bardzo się zmieniłaś. Nawet z nim nie utrzymujesz stałego kontaktu. - Twierdzi, że coś w tobie pękło, ale nie zna przyczyny. A jeśli on nie wie, to jest naprawdę niedobrze - westchnęła Tina.

Przed wejściem do domu rozplakałam się. Byli bezradni. Nie pamiętam, czy ktoś z nich widział mnie w takim stanie, a powodów do płaczu życie dostarczało mi aż w nadmiarze.

Wreszcie weszliśmy na werandę. Wszystko było jak dawniej. Przez parę dni mieliśmy opowiadać o naszych radościach i smutkach, usprawiedliwiać się, dlaczego tak zaniedbaliśmy nasze spotkania.

Byliśmy tak daleko od siebie. Każde z nas robiło karierę. Nasza przyjaźń okazała się jednak bezwarunkowa, wszystko usprawiedliwiała. Nawet jeśli nie zawsze wszystko było dobrze, znajdowaliśmy usprawiedliwienie dla każdego z nas osobno i razem. Jak to mówił w swoim wykładzie o przyjaźni profesor Kołakowski, nie jest to wymiana usług: coś za coś. Ale kiedy ktoś z nas był w potrzebie, stawialiśmy się na ratunek, lecz także dzieliliśmy radości, premiery Janka, wernisaże Wojtka, awanse w służbie dyplomatycznej

Tiny i moje - naukowe. Wszyscy stawili się przed Belwederem, kiedy odbierałam dyplom profesora, a potem w Bristolu zafundowali mi wspaniałe przyjęcie i wszystkie możliwe kwiaty, jakie były w kwiaciarni hotelu. Oni już byli bogaci, a ja wciąż byłam skazana na budżetówkę. Potrafiliśmy się śmiać, płakać i wspierać, gdy któreś z nas zostało skrzywdzone. Tak było i teraz.

Ze stołu w kuchni zabrałam maszynopis poprzedzielany kolorowymi kartkami, który zostawiłam na kilka godzin, wyjeżdżając po Elitarny Kolektyw.

- Dużo tego - zauważył Wojtek.

- Sześćset stron - wyjaśniłam.

- Ale ty nigdy nie pracowałaś w domu. Miałaś pracownię obok. Tutaj było miejsce na muzykę i inne przyjemności - dziwiła się Tina, obserwując mnie. - Ksiądz Maciej miał rację. Coś się w tobie zmieniło.

Ale na wszystko będzie czas. Tymczasem rozłożyliśmy na stole moje ulubione smakołyki - owoce morza i wspaniałe francuskie wina, na których najlepiej znał się Janek.

Opowiadaliśmy o swojej pracy, przekomarzaliśmy się, nie brakowało też złośliwości. Wojtek zwrócił się do mnie:

- Wyobraź sobie, że Janek do swego baletu zatrudnił, o zgrozo, baletnicę!

- Pojawiła się tylko na chwilę - usprawiedliwiał się - w balecie opartym na biografii Czajkowskiego. Aby móc w pełni ukazać jego rozdarcie wewnętrzne, należało wprowadzić postać jego żony. W tamtych czasach trzeba było wiele zrobić, aby inność nie stała się klęską - wzdychał. - Teraz też nie jest łatwo. Trzeba się nauczyć nie zauważać spojrzeń, złośliwych uśmiechów, a czasem aroganckich zaczepki.

- Myślałam, że brak tolerancji to nasza polska specjalność - zmartwiłam się.

Tina oznajmiła, że znowu przeniesiono ją do Warszawy, z czego się cieczy, bo nie polubiła Japonii. Wojtek użalał się, że stracił węgę twórczą.

- Bo stałeś się groszrobem. Nabierz dystansu, popatrz na świat i ludzi, a wszystko wróci do normy. Ja to wiem - pocieszałam go.

Wzięli wino i poszli obejrzeć wieczorne wiadomości, aby zobaczyć, co się dzieje w kraju. Za granicą niewiele się mówi o

Polsce. Jedną z pierwszych wiadomości była ta o nagłej śmierci ministra. Jego życie znacznie wcześniej legło w gruzach. Musiał opuścić uczelnię niemal w tajemnicy, bo za kilka dni może byłoby jeszcze gorzej, przynajmniej takie były pogłoski. Wszystko, co postkomunistyczne, było do wyrzucenia, Janek nagle trzeźwo oceniając to z perspektywy życia w innym świecie, stwierdził, że należałoby zdymisjonować 80% społeczeństwa, bo ci ludzie też budowali komunizm.

Niespełnienie

Ludzkie losy jak drogi rozmiągają się na rozstajach życia. Borys Rusko

Tak niedawno go widziałam. Koleżanka, która jako jedyna w Osadzie polowała, namówiła mnie, abym choć raz zobaczyła to widowisko.

- Nie wiem, czy będę mogła patrzeć na zabijanie zwierząt - broniłam się.

- Ale to będzie wyjątkowe - przekonywała mnie.

Rzeczywiście, nie mogłam patrzeć na przerażone zwierzęta, szukające drogi ucieczki. Wróciłam do leśniczówki. Usiadłam przy ognisku. Pojawił się nagle i usiadł koło mnie jak przed laty w ogrodzie botanicznym.

- Głupio postąpiłam - powiedziałam. - Zapomniałam, że przyjeżdżasz tutaj na polowanie, teraz już z byłymi ministrami.

- Twoje środowisko odrzuciło mnie, nawet ci, którzy dużo mi zawdzięczają.

- Ja nie, ale nie należało w czasie stanu wojennego usprawiedliwiać w telewizji poczynań Jaruzelskiego, gdy twoi koledzy siedzieli w więzieniu lub byli internowani. Trzeba było ich bronić.

- A może postępowałem zgodnie ze swoimi przekonaniem? Nie bierzesz tego pod uwagę?

- Nie, jesteś zbyt inteligentny, pochodzisz z dobrej rodziny, jako nastolatek byłeś w Szarych Szeregach, po wojnie zdałeś eksternistycznie maturę celując, jesteś autorem świetnego podręcznika. Nie mów mi, że brak ci zdolności i kręgosłupa.

- Ale jestem czerwony - dodał. - Nie każdy tak jak ty może zamknąć się w laboratorium, w szklanej wieży, i pracować dla swojej sławy, gdy inni dbają o to, żebyś mogła realizować swoje marzenia. Nieprawdaż?

- Mogłeś wybrać taką samą drogę, ale kochałeś władzę. Mój przyjaciel kiedyś powiedział, że odkąd został dyrektorem, sukcesywnie psuje mu się charakter, więc szybko pozbył się władzy. Wtedy odzyskał spokój i przyjaciel A teraz jest wybitnym uczonym. Ty nie mogłeś żyć bez władzy, natomiast bez nauki - tak. Znalazłeś więc sprzymierzeńców w partii, a nie wśród uczonych.

- Oczywiście, ty miałaś luksus nie należeć do partii albo jakiegokolwiek organizacji politycznej. Widziałem twoją ankietę, gdy ubiegałaś się o profesurę. Strona „Organizacje, stowarzyszenia, partie itd.” była pusta, jedno wielkie Z.

- Dlatego musiałam nieco poczekać. Przeżyłam i pracuję, jak widzisz, choć czasy były paskudne.

- Nie każdy ma długie nogi i ładne oczy, których nie można zapomnieć i nie da się im niczego odmówić.

- Nie przesadzaj, w nauce była to raczej przeszkoda. Moja babcia Miriam mówiła, że każdego dnia człowiek staje przed przynajmniej dwojgiem zamkniętych drzwi. Tylko od niego zależy, które otworzy. Pomagają mu w tym doświadczenie, intuicja, a przede wszystkim szczęście.

- To czego mi zabrakło według teorii twojej babci? Intuicji czy szczęścia?

- Babcia powiedziała, że wszystkiego, ale trzeba jeszcze raz zacząć wszystko od początku. Nawet wbrew sobie i innym.

- Niechętnie muszę się zgodzić z twoją babcią. Jednak dla mnie jest już za późno, dużo za późno. Napijesz się ze mną? Wiem, wiem, ty nie pijesz wódki, tylko francuskie i włoskie wina, ale dla mnie sławna profesor Róża może zrobić wyjątek. Prawda?

Zrobiłam, choć nie cierpiałam wódki, którą pije się na polowaniach. Zresztą żadnej nie lubiłam.

- Czy wiesz, że od lat nikt ze mną tak nie rozmawiał, nawet po ogłoszeniu grubej kreski oddzielającej komunistyczną przeszłość? Zdumiewa mnie w tobie, że przyjaźnisz się z księdzem, żydowskimi artystami, gejem i tolerujesz czerwonego kaczyka. Takich ludzi na ogół się unika, a przeważnie lekceważy, nierzadko nienawidzi. Skąd w tobie tyle odwagi?

- Może to dlatego, że jestem mieszańcem przynajmniej trzech narodowości, moi przodkowie wyznawali tyleż religii. Jestem też wykwittem ateizmu, który krąży w rodzinie od trzech pokoleń. A poza tym w przyjaźni nie stawia się warunków, nie oczekuje, że przyjaciel będzie akceptował wszystko, co robimy. On ma tylko wspierać. Trzeba było słuchać wykładów profesora Kołakowskiego, a nie zmuszać go do wyjazdu z kraju.

- I teraz to robisz, bo ja tego potrzebuję? Wyglądał na ciężko chorego człowieka i rozgoryczonego. Ale nie czas było umierać. Teraz bym mu zacytowała:

Nie to jest ciężkie, co widzisz, lecz to, co dźwigasz Borys Russko - Teraz odejdziesz - jak wtedy, w ogrodzie botanicznym?

- Nie - stanęłam na placach i ujęłam jego twarz w dłonie. - Wtedy musiałam, pół godziny później miałam zawał. Gdybym została, musiałbyś wezwać pogotowie i wiesz, co by było. Dwoje wagarowiczów z konferencji w ogrodzie. Dobrze, że ból ostrzegł mnie w odpowiedniej chwili.

- Różo, dlaczego to takie trudne?

- Dzisiaj będzie łatwe - powiedziałam i przytuliłam się do niego.

Pocałował moje oczy, wytarł łzy. Gdyby nie ostrzegające głosy, zbliżające się do leśniczówki, zobaczono by piękny widok: panią profesor i ministra tarzających się w śniegu przy ognisku.

Odchodząc, spojrzał na mnie i powtórzył to, co powiedział, kiedy spotkał mnie pierwszy raz:

- Twoje oczy zebrały całą zielność lasów...

Biegłam przez las na skróty. Był już na werandzie. Przytulił mnie. Usadowiliśmy się na jednym schodku. Nie byłam zdziwiona jego obecnością.

- Nie mogłem wyjechać, bo nie wiem, kiedy i czy w ogóle jeszcze się zobaczymy.

Mróz, iskrzący śnieg i uśmiechnięty księżyc. A może to we mnie były i radość, i smutek, więc uśmiech podałam wyżej. A on powiedział:

Dziś, proszę, zauważ,
Jak księżyc nam sprzyja.

Więc, proszę, ulegnij,
Bo czas nam sprzyja.

Przytuliłam się, wiedząc, że za chwilę odejdziesz

- Postanowiłem zniszczyć twoje listy, aby zatrzeć resztę wspomnień, lecz zacząłem je czytać i nim się spostrzegłem, ożyło wszystko, co przed laty nas łączyło, co zrodziło się między nami. Jestem wytrwały w swoich postanowieniach, ale pierwszej nauczę się na pamięć twoich listów.

Lubiłam jego sposób mówienia. Wplatanie wierszyków i fraszek. Podał mi niebieską kopertę, mówiąc:

Nie wiem, czy te fraszki przyjmiesz łaskawie.

Począłem je w sercu, więc sam się bawię.

- Pisałem je po naszych rozmowach, niezakończonych, pełnych niedopowiedzeń. Musiałem to z siebie wyrzucić. Uwierz, o mało nie zostałem poetą, ale nie napisałem ładnego wiersza, tylko przekazałem ci cząstkę siebie. Weź ją - położył mi kopertę na kolanach.

Miałaś być życia mego ozdoba,

A ty pożegnałaś mnie płochym gestem.

Siedzieliśmy w milczeniu, ale nigdy nie byliśmy sobie tak bliscy jak w tę mroźną noc. Bez słów.

Samochód zatrafił. Minęła darowana nam przez los godzina. Ostatnia.

O Rózo, moja miła,

Coś z ty ze mną uczyniła.

A to wszystko z tej przyczyny,

Żem usłyszał od dziewczyny,

Co to mieszka gdzieś za lasem:

„Nie chcę kochać cię i basta”.

- Wiesz, kiedy to napisałem? Gdy miałem wręczyć ci kwiaty po odebraniu nagrody ministra za rozprawę doktorską. Stałem i patrzyłem w twoje oczy, a minister już wręczał następne dyplomy. Powinienem gratulować dostojnym profesorom, tymczasem przede mną były tylko oczy na całą twarz i rude loki. Uwierzyłem, że jesteśmy tylko we dwoje.

Roześmiałam się.

- Wywołałaś skandal. Nawet nie wiesz, na ile sposobów to opisywano. „Kto to jest?”. Twój przyjaciel odpowiadał: „Dziewczyna z lasu”. Traktowano to jako żart. "Wtedy niewiele wiadano o Osadzie. Przez miesiąc musiałam się ukrywać, bo każdy chciał mnie zobaczyć. Przecież byłam świeżo upieczonym doktorem - nieznanym, kruchym i niewielkim.

Przytulił mnie i szeptał:

Róża nie musi być duża,

Róża nie musi być słodka.

Byle Róża została Różą,

Kiedy mnie spotka.

Zegnamy się, wciąż przyrzekając sobie, że coś zmienimy, ale tak, żeby zostało jak dawniej, w naszych najlepszych czasach.

Przypadkowe spotkania, ucieczki i powroty, przekazywane wierszyki, karteczki, uśmiechy i spojrzenia, które były tylko nasze.

Jeszcze przy furtce zatrzymał się i powiedział nasz ulubiony wierz Juliana Tuwima:

Zakochanemu tak szczęśliwie,
Tak nieszczęśliwie, jak ja umiem,
Najlepiej noc spędzić w zadumie.
Ale nad czym? Nad niczym. Ale tkliwie.
Między zachodem i jutrzeńką...

- A jednak... - przyciągnął mnie, i trzymał tak mocno i blisko, jakby za chwilę miał pojechać na drugi koniec świata, na zawsze.

I pojechał.

Przecież to wszystko, co się między nami zdarzyło, było tak dawno, po doktoracie, kiedy posadzano nas o romans. Zaczęło się od patrzenia w oczy, mówienia sobie wszystkiego bez słów - i tak się zakończyło. Tylko bez widowni. Bo wcześniej każde spojrzenie było śledzone przez wiele par oczu i komentowane, rzadko życzliwie.

Na pewnej konferencji poświęconej zagadnieniom dydaktyki, a przede wszystkim wynikom ankiety, w której studenci wyrazili opinię, że wykłady są nudne, profesorów na dyżurach często nie ma, konsultacje prac magisterskich i doktorskich są odkładane i rzadkie, dyskusja była jałowa, więc zaproponowałam wprowadzenie systemu angielskiego. Wykładowcy byłiby obecni w obowiązujących godzinach pracy, a na grafiku umieszczono by sale i godziny ich wykładów oraz dyżurów. Między wykładami byłiby dostępni dla każdego studenta - czyli od godziny dziewiątej rano do osiemnastej lub dziewiętnastej - z przerwą na lunch, ale studenci też by ją mieli. Jeśli byłyby zażalenia, że w czasie dyżuru lub na wykładzie doktor lub profesor jest nieobecny, i gdyby taka sytuacja by się powtarzała, umowa z danym wykładowcą zostałaby rozwiązana. Nie każdy lubił dydaktykę, więc mógłby pracować w placówkach naukowych, tak jak u nas - w Polskiej Akademii Nauk. Byłby więc wybór. Po co na siłę trzymać pracowników, którzy nawet studentom mówią, że nie lubią dydaktyki, że ich nudzi?

Wsadziłam kij w mrowisko.

- A kto ma te czystki przeprowadzać, kto ma o tym decydować? - odezwały się głosy oburzenia.

Wskazałam na ankiety:

- Nasz klient.

Jednak nie doszliśmy do żadnej konkluzji. Nie wiem, czy w ogóle komuś na tym zależało. Bo w zasadzie sprawa była prosta: należało przestrzegać godzin pracy, przygotowywać się do wykładów i nie lekceważyć studentów. Moja propozycja była dziesięć lat za wczesna, choć w kuluarach i przy wspólnym obiedzie odbyła się już bardzo rozsądna dyskusja. Nie rozumiem, dlaczego nie w sali konferencyjnej.

Ktoś zaproponował, by może wzorem lemingów odprowadzić do morza osobniki szkodliwe. Wówczas znany z poczucia humoru profesor zapytał:

- Czy wiecie, kogo by odprowadzono?

Rozległ się śmiech, bo wiedzieliśmy, kogo by odprowadzono - jak zawsze nie tych, co trzeba.

Nie wiem, kto o tym zdecydował, ale siedziałam przy stole obok Dygnitarza. Byliśmy bardzo skrępowani i prawie nie rozmawialiśmy ze sobą. Nawet on, który prowadził zawsze błyskotliwe rozmowy i opowiadał znakomite dowcipy, milczał. Pisał coś tylko w notesie. Kiedy obiad się zakończył, powiedział:

- To chyba pani serwetka - i podał mi ją z uśmiechem, tym ciepłym i chwytającym za serce. Na moment nasze oczy się spotkały. I wszystko było jasne.

Mam nawet teraz tę kartkę i czytam: Dzień z tobą.

Czy dotąd nikt nie spostrzegł,

Czy nikt nie powiedział,

Żem dziś przy najpiękniejszej

Milcząco przesiedział.

Krążące plotki nie ułatwiały mi życia w kręgach uniwersyteckich. Każdy uśmiech, spojrzenie, pocałunek w rękę były komentowane. Na jakimś ważnym zjeździe witając znakomitych gości, dopowiedział nagle, że dziedzina ta jest mu obca, lecz bliska sercu. W moją stronę powędrowało wtedy niejedno spojrzenie.

Byłam opalona, w znakomitej formie po trzymiesięcznym pobycie we Włoszech, gdzie w Gargano prowadziłam badania nad wyjątkowym gatunkiem. Wędrówki po górach, całe dni w słońcu, wieczorem kolacje nad morzem z ulubionymi królewskimi krewetkami sprawiły, że czułam się znakomicie w kostiumie Chanel i z piękną włoską biżuterią.

Przerwa na kawę. Wyszłam. Kiedy w ogrodzie botanicznym znalazłam się w rosarium, poczułam ucisk w klatce piersiowej. Z trudem łapiąc powietrze, stałam w miejscu podobnym do ogrodu księdza Macieja. Postanowiłam, że wreszcie do niego pojadę i pozbędę się tego ciężaru.

Usiadł koło mnie. Nawet nie pytałam, skąd wiedział, że będę właśnie tam. Milczeliśmy, choć z natury byliśmy gadułami. Lubiliśmy się śmiać i opowiadać dowcipy.

- Przenoszę się na inną uczelnię. Zaproponowano mi znakomite warunki: laboratorium, współpracę z genetykami i fizjologami. Będę mogła rozwijać moją dziedzinę, prowadzić studia doktoranckie, a więc kształcić młodych naukowców w nowej dyscyplinie, u nas raczkującej. Jak wiesz, to moja pasja. Tutaj nie mam szans - wyrzuciłam to z siebie, bojąc się, że zawaham się i stchórzę.

- A jeśli się nie zgodzę? Przecież to ja decyduję o losie docentów...

- Nie zrobisz tego, jestem pewna - odparłam i poszłam w kierunku wyjścia. Na końcu alejki odwróciłam się i popatrzyłam na niego ostatni raz. Ból niespełnienia powrócił. Może to moja połówka jabłka? Ten silny, przystojny i pogodny mężczyzna w moim typie wyglądał wtedy na bezradnego. Nie był w stanie podjąć decyzji, czy powinien zostać, czy wstać.

Chciałam zawrócić, przytulić go i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze - jemu, uznanemu przez lata za dyktatora, decydującemu o ważnych sprawach. Teraz był bezsilny. W polityce zachodziły niekorzystne dla niego zmiany, a ja nie mogłam mu pomóc.

Nie zawróciłam, pamiętając, co mówiła babcia Miriam:

- Różyczko, nigdy nie romansuj z żonatymi mężczyznami. Pamiętaj, że na nich w domu czekają żony i cierpią. Na szczęście prawda była zupełnie inna, co przynosiło mi ulgę i radość z każdego spotkania, bo tylko ja zdradzałam.

Babciu, teraz jesteś tam, w innym, może lepszym świecie. Daj mi znak, co mam zrobić ze swoim cierpieniem...

Weszłam do pierwszej prywatnej kliniki i poprosiłam o wykonanie EKG. Po chwili leżałam w sali szpitalnej ze diagnozowanym zawałem serca.

- Taka młoda kobieta - dziwił się lekarz. - Przecież to choroba mężczyzn, i to znacznie starszych, na pewno nie czterdziestoletnich kobiet.

Teraz, po latach, wspominam tamte dwa pożegnania. Czy wobec dramatu śmierci nie żałuję, że wyrzekłam się tego uczucia?

Tina przyszła do kuchni, gdy tylko usłyszała tę wiadomość. Objęła mnie.

- Odpocznij, a ja pozmywam.

Panowie prowadzili dyskusje polityczne. Łatwo im osądzać czy usprawiedliwiać, bo cały czas żyli w innym świecie, a Janek dopiero od niedawna mógł przyjeżdżać do kraju. Jego spojrzenie na wiele spraw wciąż nas zadziwia.

Inna rozmowa

To nie była jedyna rozmowa na temat mojego przeniesienia do innej uczelni. Odbyła się również taka, o której chcielibyśmy nie pamiętać. Bo wtedy, w ogrodzie botanicznym, tylko wspomniałam o takiej możliwości, która wynikała z rodzącej się bliskości między nami, zwłaszcza po wspólnej zabawie po Nocy Kabaretowej w Sopocie, zakończonej o wschodzie na sopockiej plaży. Wymazałam z pamięci tamtą noc, przyrzekając sobie, że to się nigdy nie powtórzy.

Uciekałam z Osady, wyjeżdżałam na zagraniczne staże, lecz przez cztery lata nie dostałam etatu docenta, choć wydałam monografię, dobrze przyjętą i nagrodzoną, wypromowałam kilku magistrów i dwóch doktorów, a więc spełniałam warunki otrzymania tego stanowiska. Ale nie pisałam skarg i odwołań, ponieważ jako doktor habilitowany mogłam realizować samodzielnie zadania badawcze, wspierana przez mojego promotora pracy doktorskiej i recenzenta rozprawy habilitacyjnej, a później inspiratora dalszego rozwoju naukowego. Jednak z przepisy stanowią, że taki stan może być utrzymywany przez pięć lat, a potem albo otrzymanie etatu docenta, albo przeniesienie.

Po powrocie z sympozjum w Budapeszcie zastałam pismo, że otrzymałam etat docenta w nowo powstającej uczelni. Jednocześnie powiadomiono mnie, że wraz z innymi dziesięcioma naukowcami mam spotkać się z władzami w celu omówienia warunków naszej pracy. Kiedy zobaczyłam na tym zebraniu wybitnego profesora - opozycjonistę - i jeszcze czterech znanych uczonych, którzy nie zgadzali się z polityką prowadzoną na uczelni, nie mogłam zrozumieć, dlaczego znalazłam się w takim zacnym gronie. Powinnam być zaszczyczona, że idę na banicję właśnie z nimi. Wszyscy byliśmy zaskoczeni tym, że wcześniej nikt z nami nie rozmawiał. Niektórzy protestowali, że zostali potraktowani jak przedmioty, które ktoś przestawia z jednego miejsca na drugie, zamiast zachęcić, żeby podjęli trud organizacyjny nowych instytutów. Zacny profesor, wsparty na lasce, wygłosił mocne przemówienie. Powiedział, że ten system rządzenia nieuchronnie się kończy, a władza tylko to przyspiesza. Zakończono to zebranie, mówiąc, że od habilitacji podlegamy ministrowi i to on decyduje o tym, gdzie dostaniemy etat. To prawda. Jednak obyczaj akademicki był inny. Dotychczas nikt na żadnej

uczelnii nie podjął takiej decyzji bez rozmowy i negocjacji z zainteresowanymi.

Wszyscy wyszli. Zatrzymał mnie przy drzwiach, oznajmiając, że otrzymał z instytutu z Krakowa pismo z prośbą o przeniesienie mnie za porozumieniem stron.

- Już wspominałam, że mam zgodnie z moją specjalnością przenieść się do instytutu, który zapewni mi dalszy rozwój naukowy. Tutaj jest to niemożliwe.

- Ale to ja o tym zadecyduję.

- Niewątpliwie, tylko chciałabym wiedzieć, czy w tym jest jakiś sens. Mój przedmiot będzie wykładany dopiero na trzecim roku, to znaczy, że będę na liście płac, nie pracując, bo pracowni też nie ma i długo nie będzie.

- Pani docent nie będzie mnie pouczać o tym, kto i gdzie jest potrzebny.

- Próbuję zrozumieć...

- Tu nie ma nic do rozumienia. Trzeba tylko pogodzić się z decyzją - wygłaszał tonem Dygnitarza.

„Teraz wiem, dlaczego tak o nim mówiono. Wszystko się sypie, naukowcy i studenci protestują, a on podejmuje takie fatalne decyzje” - myślę zaskoczona.

- Panie rektorze, na uczelni wrze, teraz już nie da się tego załatwić pałowaniem studentów, będzie lawina za kilka tygodni, a może miesięcy, ale na pewno wkrótce nastąpią zmiany - mówiłam do jego pleców, bo nie patrzył na mnie.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Dwa tygodnie później zapowiedział swój przyjazd do Osady z bardzo ważnymi gośćmi. Nie było to nic dziwnego, bo premierzy, ministrowie, rektorzy i wielu wybitnych uczonych urozmaicali czas swoim gościom wycieczką do puszczy i zabawą przy ognisku.

On miał spać w gościnnym pokoju instytutu, do którego budowy znacząco się przyczynił. Za dwie godziny miałam wyjechać na sympozjum do Pragi, więc poszłam zostawić w jego pokoju bukiet niezapominajek - jak zawsze. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam go w drzwiach. Zabrakło mi tchu, a przed oczyma tańczyły ciemne plamy. Posadził mnie na fotelu i podał wodę. A ja myślałam tylko o tym, żeby nie powtórzyła się sytuacja z ogrodu botanicznego.

- Przepraszam, wyprzedziłem gości, bo wiedziałem, że wyjedziesz.

Mimo wcześniejszej strasznej rozmowy czułam, że nie umiem się na niego gniewać.

- Pójdziemy do ogrodu. Dotlenisz się i znowu opowiesz mi o fantastycznych eksperymentach, a ja niedługo zostanę przyrodnikiem, choć wcześniej była to dla mnie dość obca dziedzina.

Szliśmy sobie spokojnie po ścieżkach ogrodu, a w końcu usiedliśmy. Opowiadałam, jak wiele oczekuję od wyników, że prawdopodobnie pomogą mi zweryfikować ważką hipotezę. On patrzył i uśmiechał się.

- Lubię patrzeć na twoją radość z pracy. Skąd ty masz tyle siły? Cały czas żyjesz w trudnych i stresujących warunkach. Nawet ja dostarczam ci zmartwień.

- Moja babcia Miriam mówiła, że entuzjazm to moje paliwo przy słabej kondycji. Powtarzała mi: „Kryniu, każda trudność jest do pokonania. To tylko od ciebie zależy”.

- „Krynia” - pięknie, ale nie pasuje do twego imienia.

- Babcia nie uznała mojego pretensjonalnego imienia i mówiła do mnie Krynia... Kryniecinka... Nie wiem, czy to imię, czy pieszczotliwy zwrot z jej kraju.

- Czy ktoś jeszcze tak do ciebie mówił?

- Nie, nawet nikomu o tym nie mówiłam, tylko tobie.

- Dziękuję. Czy mogę tak do ciebie mówić? Całował moje ręce, a ja płakałam.

- Nie chcę stracić twojej przyjaźni. Okazało się, że teraz jest wokół mnie pusto, choć przed kilkoma miesiącami był tłok. Ale ty jesteś inna, niezależna, bezinteresowna. Nigdy mnie o nic nie prosiłaś.

- Gdziekolwiek będziesz i cokolwiek się stanie, zawsze będziesz mile widziany w Osadzie, bo przyjaźń nie ocenia, tylko próbuje zrozumieć, co nie znaczy, że pochwała.

- Moja droga Krynia... Kryniecinka... Jak zawsze wyrozumiała. Nie bój się, już nigdy cię nie zawiodę, tak bardzo jest mi teraz potrzebna twoja przyjaźń. Świat stał się obcy.

Nie chciałam rozmawiać o tym, dlaczego tak się stało. To był jego świat, który odchodził. Czy bezpowrotnie?

Poszliśmy na chwilę do mojej pracowni. Założył mi bransoletkę z zielonymi kamieniami, które zmieniały kolor w zależności od poruszania ręką.

- Tak jak twoje oczy - mówił, zapinając ją. - Noś zawsze, bo prawdopodobnie jest to mój ostatni pobyt w Osadzie. Ona będzie ci o mnie przypominać.

Zdjęłam mu zegarek z ręki i założyłam bardzo oryginalny pasek, przywieziony ze Szwajcarii specjalnie dla niego. Byłam tam na trzymiesięcznym stażu.

- Jestem interesowna. Ile razy będziesz sprawdzał godzinę, jest szansa, że pomyślisz o mnie.

Byliśmy wzruszeni. Trzymaliśmy się za ręce jak nastolatki. Nasza przyjaźń przetrwała, mimo że polityka i wiele innych okoliczności dzieliły nas.

Kolejne pożegnanie w moim życiu. Nie ostatnie.

Wróciłam z Pragi po bardzo udanym sympozjum - merytorycznie i towarzysko. W ciągu dnia gorące dyskusje, a wieczory - wesołe, przy piwie i knedliczkach. Oczywiście, podziwianie Starego Miasta z rzeki. Koledzy znali moją słabość do wędrowania statkiem wokół miast. Nieraz przekonywałam ich, że jest to zupełnie inne spojrzenie na miasto i krajobraz. Potem w wielu wędrowkach po świecie zawsze będzie taki punkt w programie mojego pobytu w każdym kraju.

Sympozjum skończyliśmy w przepięknej karczmie ze świetną muzyką i tańcami, którym jak zawsze oddawałam się bezgranicznie - po północy już bosy.

Po powrocie z Pragi skończyłam eksperyment i opracowałam wyniki. Niedługo potem otrzymałam telegram z Krakowa, że zostałam przeniesiona za porozumieniem stron - tuż przed powstaniem Solidarności. Jego już nie było na uczelni, choć zdążył jeszcze podpisać dokumenty. Przeżywałam sprzeczne uczucia - radości i żalu.

Widziałam go jeszcze kilka razy, po raz ostatni - tuż przed jego śmiercią. Zostałam profesorem, tym razem bez żadnych kłopotów, które towarzyszyły mi od pierwszego dnia, kiedy rozpoczęłam przygodę z nauką. W myśl zasady „Nie bójmy się wrogów, strzeżmy się przyjaciół...”.

Wszystko złe i piękne, co zdarzyło się dawno, a trwało od mojego doktoratu aż do jego śmierci, a nawet dłużej, teraz tak boli.

Tina przytuliła mnie:

- Bądź dzielna, Różyczko. Zachowaj jego uśmiech, energię, radość i te cudowne, błyskotliwe rozmowy.

Jesteś, jednak

Powinłam pamiętać jego oczy, uśmiechnięte lub smutne, a czasem zachwycone, osiagające głębię błękitu, kiedy brał mnie w ramiona. Teraz siadając przed grobem, widzę spiętą twarz i oczy pełne bólu, gdy otwiera przede mną drzwi w milczeniu i nie mówi nawet „Do widzenia” lub „Zegnam”.

Rozmowa była okropna. Właściwie był to jego monolog o mojej niestosownej prośbie, o kapryсах, których inni docenci nie mają, co ja sobie wyobrażam, że więcej mi wolno i mogę się przenosić, dokąd chcę i kiedy chcę.

Przybrał pozę wysokiego urzędnika za biurkiem, ale nie naprzeciwko mnie, moje krzeselko stało z boku. Bał się spojrzeć na mnie. Wykrzykiwał, że nie będzie żadnych przywilejów, że ma dość gadania, że mnie wszystko wolno, a on nie będzie tego tolerował.

A jednak plotki dotarły do niego. Milczałam. Nagle też zamilkł i spojrzał na mnie trochę przestraszony, bo z mojej strony nie było żadnej reakcji. Nie miałam siły wytłumaczyć mu, że zostanę w Osadzie, a w Krakowie będę tylko na etacie. Po otrzymaniu pisma z instytutu z prośbą o moje przeniesienie wściekł się, bo nie powiedziałam mu o mojej ostatecznej decyzji, choć wcześniej wspominałam o takiej możliwości. Chyba nie traktował jej poważnie. Teraz udzielał mi reprimendy, i to ostrej.

Ale ja już nie słuchałam. Zaczynałam mieć trudności z oddychaniem. „Obym nie zemdlą, wtedy naprawdę byłoby o czym mówić”. Już raz miałam przez niego zawał, i to jako niespełna czterdziestolatka.

Wstałam i zaczęłam iść w kierunku drzwi. Nie wiedziałam, że są tak daleko. Nagle wstał i otworzył je w milczeniu. Spojrzałam w jego oczy. Były pełne bólu. Mówiły co innego niż te straszne słowa. Może gabinet był na podsłuchu, bo teraz każdy chce mieć coś na niego? Przemiany polityczne sprzyjają szukaniu czegoś na kogoś. Bronił mnie czy siebie? Po co wezwał mnie do stawienia się w gabinecie? Czemu wygłosił wszystko na jednym oddechu?

Czułam, że nie powinłam nic mówić. On chyba też na to liczył. Na szczęście to nie było ostatnie spotkanie, bo takie rozstanie po wielu latach ciepłej przyjaźni byłoby nie do zniesienia. Były jeszcze i dobre spojrzenia, i ciepłe słowa.

Chciałam jak najszybciej się przenieść, bo rok 1980 był coraz bardziej burzliwy. Nie wiadomo, co będzie za miesiąc, gdzie on będzie, gdzie ja, a moja sprawa pozostanie w zawieszeniu, bo będą ważniejsze problemy.

Nie bacząc na poprzednią rozmowę, zgłosiłam się przez sekretarkę, drogą służbową, na wizytę. Też na jednym oddechu, nie usiadłszy, powiedziałam, że to rozwiązanie z Krakowem jest najlepsze z wszystkich możliwych - młoda uczelnia przyjmie na zwolniony etat kogoś, kto na miejscu będzie organizował zakład naukowy i dydaktykę. Ja im tego nie zapewniam. Jestem malowanym docentem, raz na jakiś czas dojeżdżałam sto kilometrów. Traktowano mnie jako uprzywilejowaną. Inni ciężko pracowali przy organizacji nowej uczelni, a ja przyjeżdżałam robić dobre wrażenie. Nie chciałam specjalnych względów. A przede wszystkim zostanie spełnione polecenie ministra, że małżonkowie powinni pracować osobno, a więc ja będę w PAN - ie, a On na uczelni. Nie będę pracować w takim stresie, bo dłużej nie wytrzymam ani fizycznie, ani psychicznie.

- To trzeba było sobie wybrać łatwiejszy zawód albo zostać w balecie - trzasnął piersią w biurko, roztrzaskując szkło, które go pokrywało.

Na chwilę przestałam oddychać. „A więc wykorzystał to, co powiedziałam mu w tajemnicy. Miał nigdy o tym nie mówić, na uczelni tylko on o tym wiedział. Teraz mnie zadziobią. Stracił moje zaufanie. Bezgraniczne”.

Był mi już obojętny etat docenta, Kraków, w którym mogłam realizować swoje naukowe plany, a także to, że tylu kolegów zaangażowało się, aby mi w tym pomóc, a ja zawałam, bo uwierzyłam w przyjaźń Dygnitarza. A sprawa była właściwie prosta i korzystna dla wszystkich zainteresowanych stron, tylko brakowało jego podpisu.

Wyszłam. Sekretarka podała mi szklanekę wody. Popiłam lekarstwo, niedawno miałam stan przedzawałowy. „Więc niech jeszcze raz zafunduje mi drugi zawał” - stojąc przy schodach, myślałam, że może taki koniec byłby najlepszy, bo dwoje dorosłych ludzi nie umiało zrobić tego, co należało uczynić. Niech natura to rozwiąże.

Jeszcze schody... Schody w nieskończoność. I, o ironio, kroczyłam z wysiłkiem po czerwonym dywanie.

- Może panią docent podwieźć? - zapytał. - Sekretarka powiedziała, że pani zasłabła

Szłam dalej bez słowa. Otworzył drzwi do samochodu. Wsiadłam. Było mi wszystko jedno.

- Dokąd podwieźć?

- Na koniec świata.

- Dobrze, jest mi po drodze.

Uśmiechnęłam się... Tak lubiłam jego poczucie humoru.

Nie wiem, jak długo jechaliśmy, czy straciłam świadomość, czy zasnąłam. Kiedy otworzyłam oczy, byliśmy w lesie, a ja leżałam przykryta jego płaszczem. Patrzył na mnie tak jak dawniej. Był zmierzch, a więc spałam kilka godzin. Pogłaskał mnie po twarzy.

- Przepraszam, moje ty trudne szczęście.

I już wiedziałam, że będą kolejne gorące przeprosiny i następne pożegnania, nawet trudno policzyć, które z kolei. Pierwsze, to po doktoracie, przyplącałam zawałem, przedostanie - stanem przedzawałowym. „Może teraz wreszcie pęknie mi serce, bo jestem coraz bliżej wieku, w którym wzrasta prawdopodobieństwo, że zakończę ten ból ze zmęczenia”.

Póki co byłam przepraszana - gorąco i namiętnie. Korony drzew zamieniły się w karuzele, a ja odbywałam szczęśliwe podróże w głąb ziemi. Wracaliśmy, by po chwili wędrować jeszcze głębiej i dłużej...

Moja połówka jabłka. Gdzie tak długo się błąkała, by mnie odnaleźć? W niczyich ramionach nie byłam tak bezpieczna, tak spełniona w krzyku, który biegł przez las i wracał, aby zastąpił go kolejny, nowy. Nie wiem, dlaczego wówczas nie nastąpił koniec świata - tyle miłości, tyle rozpacz, tyle tęsknoty powinno wywołać trzęsienie Ziemi, a nie tylko nasze prywatne, za to jedyne w swoim rodzaju.

To była piękna noc. Pachniały sosny, śpiewały ptaki, a my zapomnieliśmy, na jakiej planecie jesteśmy, bo nie chcieliśmy wracać do rzeczywistości.

Kiedyś zagubiłam się i zapomniałam nawet o babci Miriam. Pragnęłam wtedy, żeby zabrał mnie zawał. Tymczasem zabrał jego - przedwcześnie. To takie niesprawiedliwie... Dlaczego on mnie zawsze ratował, a ja jego - nie? Być może do innych stresów dołożyłam jeszcze jeden. Dlaczego dowiedziałam się o tym nagłym odejściu z telewizji? To mnie przerosło.

Teraz, kiedy już go nie ma, budzę się z krzykiem w nocy i opowiadam, jak trudno jest żyć. Mówię wszystko to, czego mu nie powiedziałam, a powinnam, bo on na to czekał. Opowiadam mu wszystko, jak zawsze stawiając niezapominajki na zimnej płycie. Wierzę, że słyszy. Tylko ja do niego przychodzę, więc nie ma wyboru.

Kiedy odbierałam dyplom profesora w Belwederze, zjawił się na korytarzu - już jako minister. Chwilę popatrzyliśmy sobie w oczy. Pogratulował oficjalnie, lecz kiedy trzymał mnie za rękę, drżałam, patrząc na jego podkrążone, puste oczy, zmęczoną twarz. Nie bacząc na nic, wręczył mi bukiet fiołków - w październiku. Oczy mi zwilgotniały. Nie mogłam przestać patrzeć mu w oczy, które znowu odzyskały życie, i za długo trzymałam jego rękę.

Co bym wówczas zrobiła, gdybym wiedziała, że ma przed sobą kilka miesięcy życia? Może udałoby się nam uciec - mnie: od licznie przybyłych przyjaciół, jemu: od ochrony - do naszego ulubionego sosnowego lasu, którego tak mi brakowało w Osadzie. Jego jeszcze bardziej. Jeszcze się spotkamy.

I znowu były jedyne w swoim rodzaju pożegnania. Wtedy nie wiedzieliśmy, że te były ostatnie. Po nocach śnią mi się jego uśmiechnięte oczy i usta, które całowały jak żadne inne. A kiedy siadam przed zimną płytą grobu, widzę, nie wiem dlaczego, twarz ściągniętą bólem, smutne oczy i drzwi otwierane przede mną w milczeniu. Pierwszy raz chcę, aby tam, po tej drugiej stronie, było coś, co pozwoliłoby mi powiedzieć to, czego nie mogłam tutaj, na ziemi. Modłę się, by słyszał moje myśli, kiedy kładę mu białą różę. Zawsze obdarowywał mnie tymi kwiatami oprócz fiołków. Ja kładę tę różę, której już nie może mi dać. Co tydzień mam świeży bukiet niezapominajek i białą różę, niezależnie od pory roku. Dopiero teraz mówię mu, że dzięki niemu dowiedziałam się, czym jest szczęście, choć trudne, przez lata, na raty, ale intensywnie przeżywane. Może rzeczywiście władza to afrodyzjak, bo my zawsze mieliśmy dwadzieścia lat, mimo upływu czasu. Nawet zdarzało się, że nie widzieliśmy się rok, a wtedy wypominał mi, że wolę podróże i pisanie książek niż spotkanie się z nim. Wiedział, że to nieprawda.

W czasie stanu wojennego nie widzieliśmy się aż trzy lata. Widywałam go w telewizji, a potem płakałam i krzyczałam z bólu co noc. Dlaczego? Ale kiedy znowu wziął mnie w ramiona, wiedziałam, że zawsze będę na niego czekać, do końca. Pragnęłam jednak, żebym

to ja odeszła pierwsza. Zapewniał mnie, że na pewno umrzemy razem, bo oboje zaliczyliśmy zawały. Ja przeżyłam dwa, on - tylko jeden. Teraz kładę niezapominajki, zapalam świeczkę w jego ulubionym kolorze i pytam:

- Dlaczego nie dotrzymałeś słowa? Zawsze ratowałeś mnie z opresji, opiekowałeś się mną, dawałeś mi szczęście, znosiłeś moje kaprysy... Dlaczego teraz pozwalasz mi cierpieć? Czy tam nie masz żadnej władzy? Gdyby nie ksiądz Maciej, który mnie w tym czasie wspierał, bo o twoim nagłym odejściu dowiedzieliśmy się razem, oglądając telewizję, może trzeci zawał wreszcie by mnie zabrał. Znowu podawał mi leki, okładał czoło lodem, smarował skronie cytryną. Kilka dni mieszkałam na plebani. Byłam półświadoma. Nie mogło być gorzej. Ksiądz modlił się za ciebie i za mnie, żebym przetrwała bez mojej połówki jabłka. On to rozumiał, choć nie pochwalał tego. Mimo wszystko bardzo cię lubił, bo troszczyłeś się o mnie.

Moja ulubiona rozmowa to ta, od której wszystko się zaczęło, choć iskrzyło między nami prawie od roku, od mojego doktoratu. Po konferencji czekaliśmy na pójście na wspólny obiad. Ja, on i parę osób w niewielkim saloniku umilaliśmy sobie czekanie żartami. Siedział w milczeniu, ale nie spuszczał ze mnie wzroku. Byłam rozpromieniona. Nagle powiedział:

- Mąż powinien częściej wyjeżdżać.

To miał być żart, ale wcale tak nie zabrzmiał.

- Czy mogę wiedzieć, jakie są przesłanki takiego wniosku? - zapytałam roześmiana.

- Tajemnica służbowa - próbował zażartować, choć wiedział, że to jego obecność tak mnie rozświeślała.

Kiepsko to wychodziło. Próbowałam go ratować:

- Taki stan filozofowie nazywają radością duszy. To jest dar genetycznie uwarunkowany - albo się go ma, albo nie. Czasem jest niewidoczny, a niekiedy się ujawnia.

- Kiedy? - zapytał.

- Gdy dusza zostaje wypuszczona ze złotej klatki - odpowiadam.

- A jeśli nie ma się duszy? - wątpił.

- Każdy ma. Oczywiście, nie mówię o duszy w sensie religijnym, tylko o osobowości danej nam przez geny.

Uczestnicy tej rozmowy powoli wymykali się z saloniku, bo czuli, że są świadkami osobistej rozmowy. Wiedzieliśmy, że też musimy pójść. Wstałam i powiedziałam:

- Muszę pana pożegnać, choć z żalem. Za chwilę mam ostatni autobus do Osady.

- Tylu tu wielbicieli, że każdy z przyjemnością panią odwiezie.

- Wolę pojechać autobusem, sama. Będę mogła pielęgnować miłe wspomnienia.

- A jeśli to ja byłbym kierowcą?

- To uwierzyłabym w cud.

- Idziemy na obiad.

- Mam prośbę. Proszę usiąść naprzeciwko.

- Ja też mam takie życzenie.

Manewrowaliśmy między stołami. W końcu udało się - usiedliśmy vis - a - vis. Mało mówiliśmy, lecz patrzyliśmy na siebie. Te spojrzenia nas zdradzały. Straciliśmy kontrolę.

Podszedł do mnie jego przyjaciel i dostatecznie głośno powiedział:

- Przyjechał samochód z Osady po panią.

Pomyślałam: „Jaki znowu samochód?”. Wstałam. Pożegnałam się i skierowałam w stronę wyjścia. Wyprowadził mnie w boczną uliczkę i zaprosił do samochodu.

Czekałam. To, co robiliśmy, było niewybaczalne i wbrew rozsądkowi. Przecież nie może zawieźć mnie do Osady, jest tam znany. A On zagranicą. Absolutnie. Seks w samochodzie to dobre dla nastolatków. Chciałabym, żeby po tak długim oczekiwaniu nasze zupełnie prywatne spotkanie było piękne. Byliśmy tacy spragnieni.

Ruszyliśmy. Milczenie, cisza - ale czym spowodowana?

Dojechaliśmy do rzeki. Był piękny wieczór. Szliśmy ścieżką. Nagle przed nami ukazało się piękne miejsce wśród płaczących wierzb. Kawaleczek wielokolorowej łąki. Opadająca mgła

- Tak chyba wyglądał świat w chwili stworzenia - postawił mnie na pieńku. - Jesteś taka malutka.

Moja twarz znalazła się na wysokości jego. Coraz bardziej błyszczały mu oczy. Były coraz mocniej błękitne. Będą takie zawsze, kiedy popatrzy w moje, nawet wśród ludzi.

Zrobiłam to, o czym marzyłam cały rok. Ujęłam jego twarz w dłonie i leciutko pocałowałam jego wargi, każdą z osobna i razem.

Poddał się tym pieszczotom. Wzdychał i przytulał mnie coraz mocniej.

Łąka była pachnąca, nagrzana, lekko wilgotna. Tak jak ja.

To, co się potem działo, przerasta moje możliwości opisania. Nie znam odpowiednich słów i nie wiem, czy takie istnieją. Ale było cudownie, tak jak marzyłam, wyjątkowo, bardzo wyjątkowo. A nie byłam nowicjuską, wiele razy mnie kochano. Czegoś tak pięknego nie było i już nie będzie. I to powtarzało się, kiedy tylko mogliśmy wyrwać się ochronie i życliwym.

- Jak to możliwe, że dotychczas o tym nie wiedziałem? A uchodzę za kobieciarza... - zwierzał się. Nawet myśleliśmy podobnie.

- Ja też nie, choć podobno miałam mnóstwo romansów. Mówią, że większość ludzi nigdy czegoś takiego nie doświadcza, więc czujmy się wybrani - wzdychałam, bo znowu byłam otoczona ciepłem. - Kiedyś Stwórca pokroił miliony jabłek i rozrzucił. Od tamtego czasu ludzie szukają swojej drugiej połówki, rzadko skutecznie. Dlatego szczęście jest limitowane.

- Mądrała - żartował. Zaczął całować moje stopy.

- Jakie maleńkie... nogi baletnicy... Czy może ktoś tak może być zbudowany? Niczego za dużo, niczego za mało...

Całował każdy kawałek mojego ciała. Wariowałam i wzdychałam:

- Chodź do mnie, bo umrę.

I przychodził, przynosząc szczęście całego świata, wszystkich połówek, które dotychczas się nie odnalazły.

- Nam przypadło najwięcej połówek jabłek - szeptał. - Już nic dla nikogo nie zostanie. Jesteś tylko moja, tylko moja.

Potwierdzałam, potwierdzałam i odbywałam swoje wędrówki w głąb ziemi, otulona ciepłem, pożądaniem i nieprawdopodobnie bezpieczna. Potem kąpiel i miłość w nagrzanej rzece. Mogłabym nie wracać do rzeczywistości, nie była mi niepotrzebna. Ale jemu - tak.

Odwiózł mnie do miasta będącego w połowie drogi do Osady. Przy dworcu stała taksówka. Patrzył, jak odjeżdżam. Musiał wrócić do punktu wyjścia i pojechać do Warszawy z kierowcą, który czekał do świtu. W pracy miał być punktualnie. Nie umawialiśmy się. Musieliśmy liczyć na improwizację w sprzyjających warunkach. Ale ja, jako doktor w hierarchii uniwersyteckiej, nie miałam powodów przebywać w pobliżu niego, więc sprawa była beznadziejna.

Po habilitacji było mnóstwo pretekstów, które maksymalnie wykorzystywaliśmy. Wcześniej telefony były niemożliwe. On pilnował mnie w Osadzie, a jego cały dwór - i na pewno nie tylko. Liczyłam na jego inteligencję. Nie mogłam nic zrobić, choć dojeżdżając do Osady, już tęskniłam. Ale po trzech dniach spotykaliśmy się na naszej rajskiej łączce. Lato nam sprzyjało.

Nie udało mi się wrócić niespostrzeżenie, widzieli mnie sprzątaczką i woźny. Powroty o świcie powtarzały się.

Poszłam spać. Przynajmniej mogłam sobie na to pozwolić, bo on miał rano wiele ważnych spotkań. Martwiłam się. Dotychczas mężczyźni martwili się o mnie, a nie ja o nich. Teraz wiedziałam, co to znaczy niepokoić się o drugą osobę. Jeśli chodzi o niego, to trwało do końca, a nawet dłużej. Kiedy zobaczyłam, że nikt nie przychodzi do niego w Alei Zasłużonych, martwiłam się: „Dlaczego?”. Ile razy mówił, że ostatnio ma tylko mnie, że tylko ja się o niego boję, że go rozumiem, że go nie osądzam. „Los sprawił, że teraz mam do ciebie tylko trzy przystanki, a nie kilometry od Osady...” - myślałam.

I wciąż do niego mówię.

- Nie wiem, jak ty to robisz, że choć materialnie cię nie ma, wciąż jesteś obecny i pomagasz mi. To ty pomogłeś mi przejść tę trudną drogę z Osady na Żoliborz, choć byłeś nieobecny.

Przychodzę, stawiam niezapominajki i kładę białą różę. Opowiadam, że znowu mam trudności.

- Gdybyś żył, nigdy by mnie tak nie skrzywdzono. Gdziekolwiek byś był i cokolwiek robił... Nie pozwoliłbyś na to... Wiem o tym. Nawet nie wyobrażasz sobie, ile się zmieniło, jak okropnie wzrosła biurokracja w nauce, ile powstaje komisji, komitetów, rad, doradców, którzy im mniej zasłużyli się nauce, tym większą mają władzę. Dawniej autorytety decydowały, czy coś jest oryginalne, czy wnosi coś nowego do nauki, a teraz obradują nad tym „ciała”. Pomyśl, kto dzisiaj by powiedział: „Ta praca doktorska jest nowatorska i o krok wyprzedza tę dziedzinę...” lub: „To pierwsza monografia, która rozpatruje problem pod względem teoretycznym, metodycznym, a także weryfikuje hipotezy przy zastosowaniu matematyki”. Czy pamiętasz uzasadnienia moich nagród? I nikt w tę opinię nie wątpił, nie twierdził, że to układy, kumoterstwo lub wdzięki autorki. To były autorytety. Teraz decydują komisje i komitety - a wciąż mam wątpliwości, czy właśnie teraz nie decydują pozanaukowe czynniki,

bo skąd ci „przeterminowani naukowcy” wiedzą, co jest nowe, co nowatorskie, co oryginalne? Przecież przestali pracować naukowo przed dwudziestu laty. Zwalczam bariery biurokratyczne, które tworzą komisje, a co mają robić? Nie martw się, kochany, dam ci radę, bo w nocy przychodzisz i mówisz: „Dasz sobie radę, będzie dobrze”. I jest. Dziękuję, że zawsze jesteś przy mnie - tak jak dawniej, chociaż inaczej. Jesteś, mój skarbie, jesteś. Ale teraz naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Naprawdę. Kiedy wracam od ciebie, nie włączam komputera, aby sprawdzić, czy wreszcie otrzymam dobrą informację o wydaniu mojej książki. Słucham muzyki, tej, której słuchaliśmy w Paryżu, gdzie nikt nas nie rozpoznawał, spacerowaliśmy bulwami Sekwany i pływalismy statkiem po rzece nawet kilka razy, bo wiedziałeś, jak to lubię. Potem powiedziałaś mi, że wolisz góry niż wodę. Kochany, znosiłeś moje kaprysy z uśmiechem. Na Montmartrze artysta namalował mi piękny portret, nie dość wierny, ale uchwycił to, co najważniejsze, bo w czasie jego pracy patrzyłam na ciebie. Poprosiłeś, aby wykonał podobny wielkości pocztówki. To miała być pamiątka z Paryża. Tylko dzięki temu mogłeś mieć mnie przy sobie. Dla ciebie portret był jeszcze piękniejszy. Artysta skupił się na oczach i ustach. Teraz słucham Piaff, Aznavoura, Sinatry. Czy też to słyszysz i pamiętasz? Rano otwieram pocztę i dobra wiadomość - rozpoczynają pracę nad moją książką. Dziękuję, jak zawsze jesteś niezawodny. Zaczynam wierzyć, że jesteś tam, po drugiej stronie. Nie wiem, czy jako atomy, czy pierwiastki, ale na pewno jesteś. Dlaczego w to wątpimy? Dlaczego?

I znowu On

Brak odwagi grzebie prawdę. Borys Russko

Do kuchni wkroczył On.

- Cóż to, wezwałaś posiłki? Myślisz, że komunistyczna dyplomatką i zblazowani artyści ci pomogą? A gdzie kler? - ironizował.

- Jeśli przeciwko komunistycznemu profesorowi i dyrektorowi instytutu, to na pewno tak - odcięła się Tina.

- Ja doszedłem do wszystkiego swoją pracą - złościł się.

- To tak jak ja - kontynuowała tę potyczkę Tina.

- A Róża to nawet wbrew tobie, czego nie możesz w swojej małostkowości strawić.

- Chciałem pokazać Marysi twoją pracę, bo jeden z rozdziałów bardzo by się jej przydał do rozprawy habilitacyjnej.

- Jeśli do czterdziestki nie zrobiła habilitacji, to w jaki sposób pomoże jej jeden rozdział mojej książki? Niech przejrzy literaturę, to jest około tysiąca pozycji, może któraś ją zainspiruje i nie będzie musiała popełniać plagiatu...

- Wydrukuję to z twojego komputera, bez łaski - roześmiał się.

- No to spóźniłeś się, bo jest właśnie w drodze do instytutu. Informatyk wszystko skasował, bo dostanę nowy, z lepszym oprogramowaniem.

Niemal z pięściami rzucił się w moim kierunku, lecz nagle w kuchni zjawiał się Wojtek, wysokie i wysportowane chłopisko. On wyszedł, trzaskając drzwiami.

Nagle Tina, która trzymała za plecami teczkę z książką, zdecydowała, że do Augustowa wyjedziemy nie jutro, tylko od razu. Janek nie pił wina, mógł prowadzić. Przed północą bylibyśmy w naszym domku, który mieliśmy wspólnie od kilku lat. Tam spotykaliśmy się co roku, przeważnie w sierpniu, nawet ksiądz Maciej przyjeżdżał - choćby na kilka dni. Specjalnie dla niego wybudowaliśmy osobne skrzydło, aby czuł się swobodnie.

Janek zapytał mnie:

- Jak to możliwe, przecież nie podlegasz mu służbowo, pracujesz w innym instytucie. On nie może żądać od ciebie niczego, choć wydaje mu się, że ma władzę nad wszystkimi.

- Wiesz, kiedy między naukowcami jest normalnie, dają sobie do przeczytania maszynopisy, a nawet proszą o podzielenie się uwagami.

Ale tym razem chodziło zupełnie o coś innego - żeby z nieudanego doktora zrobić samodzielnego pracownika naukowego. Postanowił sięgnąć do metod niezgodnych z etyką zawodową.

- To niech da jej swoją pracę - wtrąciła Tina.

- Ale wtedy wielu kolegów by się na tym poznało i jego nieskazitelnosc uczonego zostalaby podwazona, a na takie poswiecenie na pewno sie nie zdobedzie, nawet jesli ma ochote na Marysie.

Jednak On nie przekroczyl zasad. Marysia habilitowala sie przed emerytura, ale juz bez niego.

- Czy dlatego pracujesz w domu? - zapytali rownoczesnie.

- Tak, atmosfera w pracy jest nie do zniesienia. Kazdy interpretuje, komentuje, uzywajac nieeleganckich okreslen, ze instytut to nie burdel. Nie chce w tym uczestniczyc, dlatego wziewlam zalegly dlugi urlop.

- Wiec w droge - Tina objela mnie i zaczela pocieszac. On wpadl jeszcze raz do kuchni. Jego musiało być zawsze na wierzchu.

- Dobrane towarzystwo: gej, moze jeszcze lesbijki, birbant i kler!
- wrzeszczal z bezsilnosci.

Te jego absurdalne krzyki spowodowaly nasz spontaniczny smiech, glonsny i dlugi, odprezajacy przepone.

I znowu jeziora

Nasze wyprawy Kanałem Augustowskim, spływ kajakowy Rospudą, wędrowki rowerowe przez pachnące lasy sosnowe były wydarzeniami, których wspomnieniami żyliśmy od sierpnia do sierpnia. Nocne wyjazdy statkiem na Jezioro Białe z koncertami Krzysztofa Daukszewicza, który bawił nas i zmuszał do refleksji, a Listy do pana hrabiego znaleźliśmy prawie na pamięć. Były to piękne noce. A kiedy w pewne wakacje zjawiał się w augustowskim domu kultury ze swoim recitalem Andrzej Poniedziałki, wszyscy się w nim zakochaliśmy. Inteligentny, błyskotliwy. Od czasu Kazimierza Rudzkiego nie było tak „smutnego” artysty, bawiącego do łez - do tego mądrze.

Augustów zawsze kojarzył nam się z przyjemnościami w i na wodzie, ze smacznymi rybami, znakomitą rozrywką. Może tego szukaliśmy, wędrując po świecie, lecz do Augustowa wciąż wracaliśmy lub wyruszaliśmy z niego w świat. Tak będzie w te wakacje. Stąd ruszymy do Izraela, do naszych przyjaciół Marii i Aleksandra. Tym razem we wrześniu, po sierpniowym wypoczynku, wędrowka do Egiptu. Popłyniemy Nilem, a potem statkiem do Hajfy, następnie wyjazd do Jerozolimy, gdzie po kilku latach spotkamy naszych choreografów. Wreszcie wszyscy będziemy razem, jak dawniej, bo nawet ksiądz Maciej dojedzie z jakąś pielgrzymką. Ostatni raz wszyscy razem byliśmy kilka lat temu w Paryżu, ale krótko, w czasie debiutu choreograficznego Janka. Wtedy dyskusja trwała w nieskończoność - jak wiele zmieniło się w balecie od czasu, kiedy we trojkę przygotowaliśmy się do tego zawodu. Janek ukazał dwunastu tancerzy w układach baletu klasycznego połączonego niemal z akrobatyką. Tancerze dynamiczni, a ich ciała osiągały nieprawdopodobną elastyczność i siłę w wyrazie dramatyzmu poszczególnych epizodów.

Po zakończeniu spektaklu zostawiliśmy Janka z zespołem, aby świętował premierę, a sami udaliśmy się na spacer bulwami nad Sekwaną, raz po raz wstępując do małych kawiarenek na lampkę wina. Jakoś nie chciało nam się mówić o balecie, bo wychowaliśmy się na innej estetyce. Wojtek warknął:

- To niezdrowe, faceci z bicepsami na scenie w operze... Nie, to nie dla mnie.

Tina łagodziła:

- Janek wcześniej zetknął się z nowoczesnymi trendami w sztuce, a my zostaliśmy w tradycyjnym, klasycznym balecie.

A ja cały czas myślałam o spacerach z tobą po Paryżu, kiedy tak trudno było wyjeżdżać. Teraz moglibyśmy spotykać się w różnych krajach na rozmaitych kontynentach. Dlaczego nie poczekałeś? Wiedziałeś, jak bardzo lubię podróżować. .. I teraz realizowałam swoje marzenie - podróż dookoła świata, tylko trochę chaotycznie. Patrzyłam z żalem na stateczki na Sekwanie. Wróciłam do przerwanej rozmowy.

- Coś jednak w tym współczesnym tańcu musi być, bo to się naprawdę podoba. Jestem trochę rozdarta... Jest w tym coś niezwykłego, a jednocześnie czegoś mi brak - rozważam.

- Kobiet... kobiet, Różyczko, ot co. A Jankowi nie - wymądrzał się Wojtek.

Następny dzień spędziliśmy ze szczęśliwym Jankiem. Recenzje były znakomite. Oszczędnie wymienialiśmy uwagi o balecie, dając Jankowi czas na przeżycie radości swojego pierwszego sukcesu jako choreografa. Jeszcze będzie pora podyskutować o tym, w jakim kierunku zmierzał. Zakładając, że wszystko się zmienia, dlaczego miałyby to nie dotyczyć opery i baletu?

- Rózo, ty powinnaś to zrozumieć, przecież w nauce też wszystko podlega zmianom. Czy teraz jest tak jak wtedy, kiedy zaczynałaś? - pytał mnie.

- Ależ skąd - zaprzeczałam. - Nawet sposób pisania prac naukowych radykalnie się zmienił, nie mówiąc o prezentacji wyników badań czy procedurach przeprowadzania logicznych i matematycznych weryfikacji hipotez.

- To znaczy, że mnie rozumiesz.

Bardzo zależało mu na mojej akceptacji - kiedyś byłam jego Julią. Kiedy pochwalałam solistę, że był wyjątkowy, Janek rozpromienił się. Zrozumiałam - znowu był zakochany.

Przy dobrej francuskiej kuchni i winie w końcu o północy osiągnęliśmy konsensus, coś w rodzaju znanego powiedzenia „Jesteśmy za, a nawet przeciw”.

Długo wspominaliśmy debiut Janka, a jego następne choreografie coraz bardziej się nam podobały. Może staliśmy się bardziej wyrozumiali, a nowocześniejsi. Trzeba dorosnąć, żeby zrozumieć nieznaną. Artysta zawsze swoje dramaty osobiste realizuje w sztuce,

Janek też, choć nie żyje w czasach Czajkowskiego czy Niżyńskiego, nie do końca godzi się na swoją inność, nawet przy nas, przyjaciółach, nie używa takich słów jak „gej”, „homoseksualista”, choć akceptujemy go, kochamy i dobrze o tym wie. Nawet kiedy byliśmy bardzo młodzi i nie bardzo rozumieliśmy jego inność, poza tym, że nie przepada za dziewczynami, zawsze byliśmy po jego stronie.

Ja i on stanowiliśmy niezwykle harmonijną parę w balecie. Nasi przyjaciele żalowali, że nie w życiu, bo przecież byliśmy dla siebie stworzeni. Mieliśmy podobną wrażliwość, wspólne zainteresowania, taką samą filozofię życia. Geny sprawiły, że nie mogliśmy być razem.

Po awanturze w Osadzie, jaką On nam zafundował, zajechaliśmy do Augustowa. Noc była piękna, a podróż miła. Tina wciąż trzymała teczkę z książką na kolanach. Czowała się odpowiedzialna za bezpieczne dostarczenie jej do wydawnictwa.

Kiedy dojechaliśmy, z zaskoczeniem stwierdziliśmy, że cały dom jest oświetlony. Powitała nas nieoceniona Tosia, która mieszkała w domu cały rok i opiekowała się nim. Dzisiaj była tam razem z księdzem Maciejem.

Wszystko lśniło i pachniało. Ksiądz roześmiany powitał nas radośnie:

- No, tym razem byłem szybszy. Intuicja podpowiedziała mi, że nie zatrzymacie się w Osadzie. Znając kłopoty Róży, byłem przekonany, że od razu ją zabierzecie.

- „Kłopoty”, ładnie powiedziane. Ja nazwałbym to całkiem inaczej - zirytował się Wojtek.

Dosyć gadania. Usiedliśmy do stołu, choć było dobrze po północy. Świeżo upieczone ryby i dobre wino zawsze nas jednoczyły, niezależnie od zmęczenia i kłopotów.

A potem całodniowa podróż gondolą przez Kanał Augustowski. Kilka dni odpoczynku i wyprawa Rospudą, już nie kajakami, jak dawniej, bo oszczędzamy siły. Płynęliśmy wynajętą łodzią.

- Chyba się starzejemy - skomentował tę decyzję Janek. - Stajemy się leniwi.

Ale wieczorem odzyskaliśmy energię na koncercie Grupy MoCarta. Bawiliśmy się świetnie - byliśmy szczęśliwi jak dzieci.

Podróże sentymentalne

Zbieraliśmy siły na wyprawę do Egiptu i Izraela. Robiliśmy spis tego, co naprawdę będzie nam potrzebne. Wszyscy polegali na mnie, ponieważ potrafiłam pojechać na drugi koniec świata z torbą wielkości reklamówki, a miałam w niej stroje turystyczny i wizytowy, kosmetyki i lekarstwa. Dla nich to była czarna magia.

I nadszedł dzień, w którym wsiedliśmy do samolotu i poleciliśmy do Kairu, by spełniać swoje marzenia. Najpierw Kair - bogactwo i bieda - a potem oczekiwana podróż do Gizy i to, co najważniejsze: piramidy.

Wędrowaliśmy na wielbłądach po pustyni, a Janek marudził: „Dlaczego one tak śmierdzą?”. Podałam mu perfumy.

Tina i ja w białych spodniach i kapeluszach wyglądałyśmy jak przedstawicielki dawnych kolonistów. Wojtek udokumentował to na pięknym obrazie, narysowanym prostą kreską, tak jak on tylko potrafi.

W Karnaku chciał zobaczyć prawie wszystko, co było niemożliwe, bo miasto jest usiane zabytkami. Biegał, oglądał i szkicował.

Janek bezustannie fotografował. Chciał wszystko pokazać nowemu partnerowi, w którym był zakochany jak młodziak. Pytaliśmy:

- Dlaczego nie zabrałeś go ze sobą? Przecież jest tancerzem, więc lubimy go, nawet jeśli nie znamy.

- Antonio nie lubi podróżować. Jest bardzo delikatny, to by go przerosło.

Siedziałyśmy z Tiną w alei sfinksów z głowami barana, wypoczywając, bo liczba zabytków, które warto by jeszcze zobaczyć, była ponad nasze siły. Podziwialiśmy tylko wybrane Najwięcej czasu spędziłyśmy na medytacjach przed Wielkim Sfinksem - ojcem strachu, który wyglądał, jakby strzegł piramid. Może dlatego przetrwały wieki.

Absolutnie wszystkich oszołomiła Abu Simbel, dzieło ekscentrycznego faraona - Ramzesa II Wielkiego. Ta niezwykła budowla z monumentalnymi rzeźbami przetrwała wieki pod wodami Nilu. Aż w latach sześćdziesiątych XX wieku uczeni i inżynierowie z całego świata uratowali to niepowtarzalne dzieło. Archeologowie polscy też mieli w tym swój udział. Patrzyliśmy, podziwialiśmy i byliśmy dumni, że mogliśmy tam być i podziwiać. Ale przed tymi silnymi przeżyciami jeszcze był Luksor, w którym Tina i ja w

oryginalnym powoziku udałyśmy się na bazar, aby zakupić galabije, ponieważ tego dnia na statku, którym mieliśmy płynąć Nilem, miał się odbyć bal w strojach regionalnych przy takiejże muzyce.

Było wspaniale. Turyści z całego świata, wyzwoleni na moment z konwencjonalnych strojów i zachowań, bawili się na tym balu przebierańców. Tina w czerwieni, ja w błękicie i bieli upiętej wymyślnie na głowie. Piliśmy cudowne drinki - dobrze, że nie było akurat ramadanu. Wtedy nasi gospodarze nie mogliby urządzać nam fantastycznych zabaw i uroczych niespodzianek, a tak szaleliśmy całą dobę.

Wojtek malował nas w tych pięknych strojach, zbyt mocno rozbawionych. Zazdrościł nam, bo oni - panowie - mieli tylko turbany na głowach, a my galabije, bransolety od dłoni po łokcie i złote kolczyki po ramiona oraz naszyjniki w stylu Kleopatry.

Oczywiście, przed tym szaleństwem zaliczyliśmy zabytki Luksoru i dom, w którym Agatha Christie pisała kryminały, a mam na jej punkcie bzika. Każdemu swojemu doktorantowi jako pierwszą lekturę zalecam jej kryminał:

- Przeczytajcie, ale nie po to, by dowiedzieć się, kto popełnił przestępstwo, czyli szybko. Zwracajcie uwagę na to, jak umiejętność obserwacji drobiazgów, a w odpowiednim momencie połączenie ich może doprowadzić do postawienia hipotezy i logicznego zweryfikowania jej. Będziecie to robić całe życie. To jest sztuka, wiedzę o niej warto czerpać z każdego źródła.

I wreszcie nastąpiło to, na co najbardziej czekaliśmy - płynęliśmy statkiem do Izraela. Tęskniliśmy za Marią i Aleksandrem. Kiedy rano wyszliśmy na pokład, zobaczyliśmy Hajfę - białe miasto, pięknie usytuowane domy na tarasach. Byliśmy wzruszeni.

W porcie wpadliśmy w ramiona naszych kochanych choreografów. Oni, prawie osiemdziesięcioletni, wyglądali wspaniale. Zarządzili energicznie:

- Nie ma czasu na odpoczynek. Umyjcie się, zjemy coś i jedziemy na premierę Salome.

Janek wyczuwał Marię. Tak nam ich brakowało...

Wszystko było już przygotowane: samochody, bagaże, bo dopiero następnego dnia mieliśmy pojechać do domu Marii i Aleksandra. Na razie tempo było takie, jakbyśmy byli bohaterami premiery.

Wszyscy byliśmy niezmiernie podnieceni. Opowiedziałam Marii, że widziałam przepięknie wystawioną Salome w Budapeszcie i bardzo uduchowioną w Warszawie.

- Takiej jak ta na pewno nie widziałas. Przepiękna, rozbudowana choreografia, do której sprowadzono rosyjską baletnicę. Oczywiście, śpiewa inna artystka, ale nawet nie zauważysz tej zmiany.

Byliśmy przebrani i uczesani, bo oczywiście Maria zamówiła wizytę u fryzjera. Tina poprawiała swój i mój makijaż. Aż trudno uwierzyć, że spędziliśmy noc na statku. Byliśmy wyspani i dziwnie wspaniale się czuliśmy, choć powinniśmy być zmęczeni. To zostawiliśmy na następny dzień.

Rozpoczęła się Salome. Rzeczywiście, wspaniała scenografia, artyści z górnej półki. Wreszcie primabalerina...

Im dłużej patrzyłam, tym bardziej znajome wydawały mi się niektóre układy. Moje serce gwałtownie przyspieszyło. Maria chwyciła moją dłoń. Już wiedziałam - to choreografia Gagi. A więc Maria to zaplanowała i realizowała prawie rok.

Oklaski, owacje, a ja byłam obezwładniona jakąś niemocą. Wszyscy stali, a ja siedziałam. Nie miałam siły ani wstać, ani spojrzeć na scenę, gdzie artyści i twórcy tego wspaniałego spektaklu byli wywoływani i oklaskiwani w nieskończoność. Czy coś może tak boleć, po tylu latach, jak lot ku szczęściu fantastycznie wkomponowany przez Gagę zupełnie w inną konwencję baletu?

Kiedyś mówił, że już nikt nie będzie tego tańczył tak jak ja. We wszystkim mnie zdradził. Może jest jakiś samolot, abym mogła wyjechać od razu, w tej chwili?

- Różyczko, idziemy do hotelu. Maciej już tam czeka. Jutro jedziemy do nas - Maria przywołała mnie do rzeczywistości.

W hotelu do nikogo nie powiedziałam ani słowa, tylko poszłam do swojego pokoju. Nadchodziła migrena, którą zawsze przeżywałam jak ciężką chorobę. W skroniach miałam gorące żelazo.

Wszedł ksiądz Maciej. Przyniósł wodę, lód, cytrynę, chusteczki i proszki. Emisariusz. Każdy z moich przyjaciół bał się spojrzeć mi w oczy. Spiskowcy. Obłożył czoło lodem, chusteczki spryskał cytryną i kładł na moje skronie. Wcześniej połknęłam dwa proszki.

- Już w holu widziałem, jak migrena cię zniewoliła. Nie mam z tym nic wspólnego. Uważałem, że twoje serce może nie wytrzymać takiej niespodzianki. Niedawno straciłaś kogoś tak bliskiego, że

powrót do młodszej miłości osiemnastolatki może być dla ciebie katastrofą. Wiadomo, że jak zawał był raz, to może być i drugi. Ale oni to wszystko robią, żeby cię uszczęśliwić, więc się nie bocz.

Ktoś uchylił drzwi, lecz nie został wpuszczony. I dobrze.

Po śniadaniu wyjechaliśmy do Marii i Aleksandra, którzy mieszkali kilka kilometrów od Jerozolimy w Ain Karim - w domu oplecionym barwnymi fioletowymi kwiatami.

Dojeżdżając pod bramę, Janek z gospodarzami wciąż rozmawiali o balecie. Wciąż byli z nim związani - czynnie i emocjonalnie. W drugim samochodzie Wojtek, obok Tina, a ja z księdzem Maciejem z tyłu. Nikt nie miał ochoty rozmawiać.

Wokół piękne krajobrazy kraju, o którego zobaczeniu wszyscy marzyliśmy. Patrzyłam i nie mogłam wykrzesać entuzjazmu. Pocierałam skronie.

- Wypij proszek, bo to może być trzydniówka - doradza Tina. - Musisz się, Rózo, uporać z przeszłością. Nie możesz całe życie uciekać. Teraz jesteście dojrzałymi ludźmi. Powinnaś z nim porozmawiać, niezależnie od tego, co postanowisz.

- Jesteśmy w domu! - zawołała Maria.

Każdy zajął swój pokój i mieliśmy trochę czasu na odpoczynek, a potem obiad. W głębi domu było słychać przygotowania. Nie miałam wątpliwości, że Gaga miał na nim być. Nie czułam ani radości, ani smutku, choćby ciekawości. Byłam zagubiona. Moje serce wciąż było wypełnione tą dojrzałą miłością. Pamiętałam Gagę, ale było tak, jakbym oglądała coś z boku. Myślamy byłam zupełnie gdzie indziej.

Byłam nieobecna, kiedy stałam przed Gagą. Patrzyliśmy sobie w oczy w milczeniu.

- Takich oczu i ust nie było i nie będzie - przypomniał słowa, które wypowiedział, jadąc na specjalne wezwanie do Tbilisi na jeden dzień, trwający do dziś. Po tylu latach powtórzył ostatnie zdanie z tamtej przerwanej rozmowy.

Nie mogłam oddychać, w myślach przywoływałam babcię Miriam: „Gdziekolwiek jesteś, pomóż, proszę”.

- Wyjdziemy na taras, bo tutaj jest duszno - Gaga wyprowadził mnie. - Czy ty nie rozumiesz, że wciąż chcę być z tobą i z tobą się zestarzeć? Zabrano nam młodość, ale jeszcze wiele lat przed nami. Teraz też jestem obywatelem świata. Możemy mieszkać wszędzie.

- Oczywiście tam, gdzie akurat będziesz przygotowywał balet.

- Przecież to oczywiste - uśmiechnął się.

- Wiesz, przez ćwierć wieku słyszałam, że największym szczęściem kobiety jest wspierać swego męża, pomagać mu, pocieszać, kiedy jego kariera jest zagrożona. A w ogóle najlepiej, żeby była jego asystentką. Znam to na pamięć - nie ukrywałam zdenerwowania.

- Różyczko, o czym ty mówisz? - Gaga był zdumiony i przestraszony. Chyba zwątpił w to, że jestem przy zdrowych zmysłach.

Migrena wracała. Wychodząc, jeszcze usłyszałam, jak ksiądz Maciej, siedzący na tarasie, powiedział:

Dotąd nie badałem
Kolców dzikiej róży,
Lecz jeśli są ostre,
Widać jej to służy.

Znowu migrena zwała mnie z nóg. Z dołu dochodziły rozmowy, a nawet śmiechy. Ksiądz Maciej znowu przyniósł lód, wodę i cytrynę na skronie. Ulga. Usiadł w fotelu i czytał, a potem nucił moje ulubione melodie. Ogarnął mnie spokój, absolutne wyciszenie. Dobrze, że taki stan istnieje. Wreszcie wiedziałam, jak chciałabym spędzić starość - pragnęłam, żeby ktoś się o mnie troszczył, rozumiał bez słów, opiekował się i nie krzychał: „Czy teraz musisz mieć migrenę? I co to w ogóle jest - choroba rozkapryszonych pańienek! I to właśnie teraz, kiedy mam ważne sprawy!”. Tylko Dygnitarz i ksiądz Maciej wiedzieli, jak przynieść mi ulgę. A wcześniej Gaga.

- Czy będziesz mnie odwiedzać w domu seniora? - zapytał, odgadując moje myśli.

- Pewnie, codziennie... I będę oglądać nowe odmiany róż, których hodowla będzie zapewne kontynuowana, nieprawdaż? - niepokoiłam się.

- Tak, jest tam duży ogród, znajdzie się miejsce na rosarium i szklarnię. W naszym domu seniora pracą i modlitwą zegnamy się z tym światem.

- Też bym tak chciała. Zwłaszcza zegnać się pracą - westchnęłam i zasnęłam.

W miłości czas nie ma władzy. Nikos Chadzinikolau

Nie wiem, jak długo spałam, ale kiedy otworzyłam oczy, zamiast księdza Macieja zobaczyłam Gagę. „Kiedy jutro stanę przed Ścianą

Płaczu w Jerozolimie, nie włożę w jej szpary kartki z najważniejszym życzeniem od lat. Moje dawne młodzięcze marzenie siedzi przede mną. Położę czoło i dłonie na te starych kamieniach, które już niejedno słyszały, i będę się modlić, jak mówiła babcia Miriam, ale o nic nie będę prosić. Jestem pewna, że wreszcie zapłaczę naprawdę. Od lat na to czekam" - pomyślałam.

Przypomniał mi się spektakl obejrzany w młodości - Dwoje na huśtawce w teatrze Ateneum. Wspaniały duet Zbyszka Cybulskiego i Elżbiety Kępińskiej. Dwoje zagubionych ludzi... Któż potrafi tak zagrać niepewność, rozdygotanie, nerwowość w ruchach i spojrzeniu, jak nie Cybulski? Wiele razy pisano, że to aktor filmowy. Jakże się mylono! Pięknie i ze wzruszającą prostotą przekazał definicję miłości: „Chciałbym jej pokazać te piękne mosty Nowego Jorku”. Rozstrzygnął, którą kobietę kocha. Powiedział to jednej o drugiej, nieobecnej. I do niej pojechał.

Kiedy zwiedzałam świat i zobaczyłam coś pięknego, wiedziałam, komu chciałabym to pokazać. Kaniony w Brazylii, gdzie geolog pokazywał nam proces dzielenia się kontynentów... Szalona salsa na plaży Copacabana - wiedziałam, kto powinien mi wtedy towarzyszyć i kogo zapytałabym, dlaczego Chrystus jest zwrócony do bogatej części Rio, a za nim kilometry slumsów i tysiące ubogich ludzi, mieszkających w kartonach.

I wiedziałam, z kim chciałabym spacerować po Wielkim Murze Chińskim, jednym z cudów świata, i podziwiać góry po horyzont oraz cieszyć się, że rewolucja kulturalna nie zniszczyła wszystkich świątyń buddyjskich i resztek lasów wokół nich. Nowoczesna architektura w Pekinie przysłania wiele niepowtarzalnych świątyń. Być może te odmienne światy w dynamicznie rozwijającym się mieście odnajdą harmonię.

Podobne myśli towarzyszyły mi, kiedy z wyprawą naukową jechałam kolejką w głąb tajgi syberyjskiej. Budowali ją ci, którzy pozostali tam na zawsze. Bo nie przygotowywano dla nich pomieszczeń. Każda grupa budowała jeden odcinek, potem na ich ciałach następni kontynuowali tę żelazną i krwawą drogę ku temu, by można było wywozić drzewa.

Teraz tajga jest przetrzebiona i niewiele pozostało z opisywanej pierwotności i dzikości. Tylko niektóre fragmenty, niedostępne przez otaczające bagna, pozostały nienaruszone. Pozwalają one wyobrazić

sobie, jak było tam kiedyś. Do tych miejsc dowieźli nas czymś, co przypominało samochód terenowy na podwoziu czołgu. Tylko tak można było dotrzeć do tajgi, którą wybitny rosyjski uczoney chciał nam pokazać i wyjaśnić jej charakter, cytując Czechowa:

- „Siła tajgi to nie drzewa, tylko przestrzeń, którą znają ptaki”.

Żartował, że byliśmy jedynymi Polakami, którzy przyjechali w to miejsce dobrowolnie.

Mieszkaliśmy w jednym z budynków byłego łagru. Był to barak komendantury, więc warunki życia były znośne, choć ze spaniem były kłopoty, bo w nocy widno, a słońce świeciło do północy.

Zadziwiała nas bujna barwna roślinność w warunkach, kiedy lato trwa dwa miesiące, a temperatura wynosi powyżej trzydziestu stopni. Ogromna wilgotność sprzyjała tej bujności, a nam utrudniała życie. Pracowaliśmy w drelichowych kombinezonach z siatkami na twarzach, bo miliony komarów i meszek od razu pokrywały je i z zielonych zmieniały się w czarne. Nie było czym oddychać. Robiliśmy przerwy w badaniach i piliśmy zsiadłe mleko, bo o wodę było trudno. Już przywykliśmy, że przez dwa miesiące będziemy jeść tylko ziemniaki z mlekiem, czarny, źle wypieczony chleb - też z mlekiem - lub samo mleko. Nasze zapasy - konserwy, kawa, herbata - szybko się skończyły. Dzielił się z naszymi rosyjskimi kolegami, dla których na co dzień były to niedostępne artykuły.

Mimo że warunki pracy były niezwykle ciężkie, wspominam ten okres jako wyjątkowy. To była prawdziwa wyprawa, bez wyposażenia w laboratoria, luksusowych hoteli, oryginalnych regionalnych posiłków. To było prawdziwe życie w tajdze.

Jako jedyna kobieta odważyłam się uczestniczyć w tej wyprawie.

Przyjechał profesor z Tomsku, aby wygłosić wykład. Pokazywał wiele przeźroczy z tego miasta, a ja zastanawiałam się tylko, czy po tych ulicach chodzi Gaga. Zaproponowaliśmy profesorowi, żeby przyjechał z wykładami do Polski.

- Niestety, nie mogę pojechać nawet do Moskwy, gdzie kiedyś pracowałem na uniwersytecie. Zostałem wysłany na Kubę. Miałem tam wykładać. Gdy po dwóch latach wróciłem, dowiedziałem się, że zostałem przeniesiony do Tomsku - aż do odwołania, które nigdy nie nastąpiło. Pytałem dlaczego. „Nie sprawdziliście się, towarzyszu, politycznie” - taka była odpowiedź. „Co geologia ma wspólnego z polityką?” - pytałem. Nie uzyskałam odpowiedzi.

- Profesorze, czasem balet też jest niepoprawny politycznie, a tancerze również są wtedy skierowani do Tomsku.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy.

- Tomsk jest miastem, którego się nie wybiera i nie można go opuścić. Człowiek się przywiązuje na całe życie - profesor się roześmiał. - Ja się z tym pogodziłem. Już nie piszę podań i odwołań.

- Nie tylko profesor.

Ze snu i wspomnień wróciłam do Gagi, który podał mi filiżankę.

- To twoja ulubiona gruzińska herbata.

Znów był uśmiechniętym uroczym młodym tancerzem, moim choreografem - i nie tylko. Wróciła bliskość, bez wyjaśnień i przeprosin, zapewnień, że niczego nie zapomnieliśmy.

Ogarnął nas smutek. Gaga wyczuł, że w moim życiu zdarzyło się coś wyjątkowego. Zawarł to w wierszu:

Wciąż pojąć nie mogę,
Skąd się między nami
Tyle smutku bierze.
Gdy jesteśmy sami,
Ty płyniesz, ja biegnę
W kierunku jednakim.
Ty gwiazdą,
Ja ptakiem.

Portofino

Kiedy spacerowaliśmy po Riwierze Kaukaskiej, Maria i Aleksander zatrzymali się w pięknym miejscu i powiedzieli:

- Zupełnie jak w Portofino.

Niezwykłe to brzmiało. Choć nie wiedzieliśmy, gdzie to jest, równocześnie z Gagą powiedzieliśmy:

- My też tam kiedyś pojedziemy.

Tak po prostu, jakbyśmy żyli w krajach, w których kupuje się bilet i udaje się w podróż, podczas gdy w rzeczywistości trudno było wyjechać nawet do zaprzyjaźnionych państw.

Janek, który znał wszystkie piękne miejsca na świecie, od razu postanowił:

- Jedziecie.

Usiadł do laptopa i chwycił telefon. Już przy kolacji wiedzieliśmy, o której wylecimy, gdzie wylądujemy i kiedy będziemy w Portofino. Opowiedział nam o Pięciu Ziemiach (Cinque Terre). Tłumaczył, że będziemy mieli mało czasu, więc proponuje zacząć od zwiedzenia Genowe, zobaczenia tam największego akwarium na świecie i domu rodzinnego Krzysztofa Kolumba. Po spacerze promenadą Garibaldiego mieliśmy udać się statkiem do San Fruttuoso i wymarzonego Portofino.

- Stamtąd możecie sobie wynajętym stateczkiem robić wyprawy na wyspy i półwyspy tego pięknego wybrzeża.

I tak było. Nie nastawialiśmy się na intensywną turystykę. Chcieliśmy pobyc w pięknym miejscu i z balkonu, jedząc śniadanie, podziwiać lazurowe morze.

W czasie spacerów brzegiem morza, zwłaszcza wieczorem, zachwycaliśmy się specyficznymi oświetlonymi kościołami i twierdzami na wysokich skałach, spadającymi wprost do morza. Wówczas Gaga tęsknił do Gruzji, a ja pocieszałam go, że wtedy spacerowaliśmy po Riwierze Kaukaskiej, a teraz chodzimy po włoskiej. Jeszcze większy zachwyt wzbudziły barwne domy, wiszące na wysokich skałach i zboczach.

Kiedy późnym popołudniem przy oświetleniu zachodzącego słońca opływaliśmy łodzią małe półwyspy, wbijające się klinem w morze, czasem zbliżaliśmy się do brzegu, by wspiać się po kamiennych schodach na szczyt góry i popatrzeć na świat z innej perspektywy.

Mnóstwo kolorów. Domy prawie czerwone z zielonymi okiennicami albo groźne twierdze w skałach i szarościach kamieni.

Wieczorem jedliśmy ryby wszelkich kształtów i kolorów, każdego wieczoru inne, zapijając winem. Dostaliśmy plansze z gatunkami ryb. Każdego wieczoru zaznaczaliśmy obrazek z rybą, która już była w nas.

Czasem wybieraliśmy się do ulubionej kawiarni, gdzie grano na żywo włoską muzykę. Oddawaliśmy się wtedy bez reszty tańcom. Muzykę i taniec mieliśmy we krwi. Nie musieliśmy ćwiczyć figur - nasze ciała zainspirowane przez muzykę tworzyły lokalną choreografię - miłości do tańca.

Nie potrzebowaliśmy słów. Gaga wiedział, kiedy byłam zmęczona, kiedy zbliżała się migrena i kiedy byłam szczęśliwa.

W Portofino próbowaliśmy dogonić swoje młodzięcze szczęście, do którego lot przerwano nam przed laty. Ale po drodze byłś ty - i niezapominajki.

Kiedy na lotnisku w Rzymie Gaga jako ostatni przeprowadził się w strefie dla mnie już niedostępnej, jeszcze raz wrócił, by mnie przytulić, aż wywołali go po nazwisku. Wtedy bez opieki jego ramion zostałam sama, bezbronna, gdy zniknął w samolocie. Po chwili odleciałam do Warszawy i wypiałam podwójną dawkę dżinu z sokiem pomarańczowym. Nie chciałam myśleć ani o bólu, ani o szczęściu.

Odtąd ile razy Sława Przybylska będzie śpiewać Portofino, nie będzie to już dla mnie tajemniczo brzmiąca nazwa miejscowości.

Przyrzekliśmy tysiąc razy, że będziemy do siebie dzwonić w poniedziałkowe wieczory. Ale po przylocie do Warszawy poszłam z niezapominajkami i białą różą do twojej alei i prosiłam:

- Nie gniewaj się, to przeszłość. Wiesz, jak kocham muzykę i jaki mam temperament. Wybacz.

Moje powroty

Wracalam do Osady z nadzieja, ze to juz ostatni raz. Kazdego dnia wysylalismy do siebie e - maile, opisywalismy, jak nam minal dzien. Mialam poszukać malego domu pod lub w Warszawie, blisko lasu, zebym za nim nie tesknila.

- Moze Kabaty? - zastanawialismy sie.

Wreszcie bylyby miejsce, o którym powiedzielibysmy: „Jest nasze”. A kazdy z nas zajmowalby sie tym, co lubi, jeszcze pare lat. Potem mielibymy podrozowac.

W poniedzialek mialam w laboratorium wieczornych gości z miedzynarodowego sympozjum, które trwało w Osadzie. Było bardzo późno. Czulam w skroniach ostre klucie - to znak zblizajacej sie migreny. Ktos wreszcie spostrzegł, ze jestem zmeczona, i zabral gości.

Pobiegłam do domu, w ostatniej chwili dopadłam łazienki. Choroba morska, która mnie dopadła, była wielokrotnie silniejsza od tej, którą przeżyłam na Morzu Czarnym w czasie burzy. Gdy fale wdzieraly sie na poklad, kazdy z nas szukal miejsca, w którym mogłby zawisnac glową w dol nad rozszalalym morzem. Ze statku Gaga wyniosł mnie na rękach, bo zupełnie oslablam. Calą noc leczył mnie jakimis ziolami, a nastepnego dnia poil gruzijską wodą mineralną Borjomi, najlepszą na świecie, jak twierdzil. Teraz nie bylo ani Gagi, ani ciebie, ani księdza Macieja, którzy nie traktuja migreny jak kaprysu i wiedza, jak mi pomoc. Zmagalam sie wiec sama do switu. Gdy moglam juz utrzymac sie na nogach, usiadlam do komputera, bo stracilam poniedzialkowy telefon.

Otworzyłam poczte i przeczytalam:

Niemoc telefonu,

Wobec ktorej

Jestem bezsilny.

O sile drgan

Fali elektromagnetycznej, Wzbudzonej twoim glowem,
Pospiesznie i cieplo. Rozmowy o zdrowiu i pogodzie Okazaly sie
niemal Tak niezbedne Jak zrodlo, wyspy

I sloneczne pola.

Odpowiedzialam: „Mialam migrene. Nie mial kto mnie napoic
najlepszą na świecie wodą mineralną. Tak mi złe”.

Odpisal: „Sierpień spedzimy razem z Elitarnym Kolektywem w
Augustowie. Moze nawet przyjadą Maria i Aleksander, bo byli w

Nowym Jorku na mojej premierze i bardzo chcą spędzić z nami urlop".

Odpowiedziałam: „Jeszcze parę dni... Zakończyłam badania, wysłałam artykuł, zrobiłam recenzję pracy doktorskiej. Jestem prawie spakowana, ale to nigdy nie był dla mnie problem. A jednak radość. Wszyscy spotkamy się w Augustowie - jak co roku".

Nadszedł taki poniedziałek, kiedy telefon nie zadzwonił. Całą noc patrzyłam na telefon. Wiedziałam, że stało się coś złego, nieodwracalnego. Nie było też e - maila.

Czułam, a raczej wiedziałam, że Gagi już nie ma, nie będzie wspólnej starości i muzycznych wieczorów. Moje przeczucia potwierdził telegram przyjaciela: „Gaga zginął w wypadku samochodowym". Miał wrócić jutro. Znowu nie dotrzymał słowa.

Znany ból ogarnął moje wnętrze, a wierz Szymborskiej nagle stał się zrozumiały:

Nic dwa razy się nie zdarza
i nie zdarzy.

Z tej przyczyny
zrodziłyśmy się bez wprawy
i pomrzemy bez rutyny.

Obudziłam się w szpitalu.

Ksiądz Maciej przyniósł mi piękną białą różę, nad którą pracował w tajemnicy dziesięć lat. Teraz leżała obok: piękna, jedwabista, wielkości peonii.

- Oni wszyscy są na korytarzu, lecz tylko jedna osoba mogła wejść. Padło na mnie.

Uśmiechnęłam się i powiedziałam:

- Ostatnia szansa, żeby mnie nawrócić, bo w tym lepszym życiu nie będzie miał kto leczyć mojej migreny.

- Co ty mówisz? Stwórca cię kocha i obdarował obficie.

- A ja? - zapytałam.

- Pamiętaj, jak twoja babcia Miriam powtarzała modlitwę: „Panie Boże, nie dziękuję ci za to, że obdarzyłeś mnie zdolnościami, ale za to, że pozwoliłeś mi je wykorzystać".

Żyjemy, ponieważ ciągle w nas coś umiera. Nikos Chadzinikolau

Po renowacji mojego serca w Aninie, spacerach po ruchomej bieżni, gimnastyce wzmacniającej i nauczaniu się oddychania pełną piersią wreszcie padły oczekiwane słowa:

- Jutro wypisują panią profesor.

Ponieważ zbliżał się listopad, który nie jest dobrym miesiącem na rekonwalescencję, lekarz zalecił mi, żebym pojechała do cieplejszego kraju, na przykład do Tunezji. Lot krótki i niemęczący, w tym czasie nie ma tam upałów, a spacerowanie nad morzem wzmocniłyby organizm. Najlepiej wybrać okolice Sousse, bo jest tam świetna klinika kardiologiczna.

Przygotował opis choroby, zalecenia i spis leków.

Nazajutrz wyposażona we wszelkie instrukcje wracałam do Osady samochodem instytutu. On był w Kanadzie i miał tam przebywać jeszcze kilka miesięcy, więc wracałam do zdrowia w spokoju.

W tym czasie Tina, która pracowała w konsulacie w Pradze, dostała trzytygodniowy urlop. Przeszła poważne zapalenie płuc i też chciała wypocząć, a Janka porzucił młody tancerz, już nie wiem który. Potrzebował pocieszenia, więc wybrał się z nami. Wojtek to wolny człowiek, który zawsze jedzie tam, gdzie może rozłożyć szkicownik i rysować lub malować.

Wybraliśmy się do Kantanoui, przyrzekając sobie, że nie będziemy się forsować nadmiernym zwiedzaniem, jak to bywało podczas naszych wcześniejszych wypraw. Oczywiście, obietnica nie została spełniona - zbyt dużo było do zobaczenia. Jednak pierwszy tydzień spędziliśmy albo na balkonie z widokiem na morze, albo wynajmowaliśmy łódź i przebywaliśmy na wodzie tyle czasu, ile tylko było możliwe. Potem poszliśmy do naszego ulubionego barku, w którym świeżo wyciskany sok z granatów jest podawany w wysokich szklankach. Przede mną barman od razu postawił dwie, bo po trzech wizytach zorientował się, że dla mnie jedna to za mało. Przyjaciele żartowali z mojego sokowego nałogu.

Wieczory spędzaliśmy w uroczej małej restauracji z kwiatowym ogródkiem i za każdym razem zamawialiśmy inną rybę i lokalne desery, a zwłaszcza wina. Właściciel rezerwował nam stolik na każdy wieczór, bo wtedy było tłoczno. Byliśmy mile widziani jako stali klienci i traktowano nas wyjątkowo, doradzano, co tego dnia było najlepsze, bo złowione przed wieczorem, więc świeżutkie.

Lubiliśmy to miejsce. Wypoczywaliśmy, każdy z nas leczył swoje rany w spokoju, bez użalania się na niesprawiedliwość świata. Wojtek uganiał się za młodymi dziewczynami i żeglował. Od czasu do czasu

szkicował nas na plaży w skąpych strojach, a potem zapisywał na portretach:

Widząc twoje kształty
Na piasku, w tańcu i przy stole,
Dziękuję Stwórcy, że cię lepił
Na cudownym kole.

Wiemy, że natchnieniem do tej fraszki była wizyta u garncarza w Nabeulu, dokąd pojechaliśmy na targi wielbłądów i popisy jeźdźców oraz podziwianie wyrobów garncarskich. Po krótkim wypoczynku udaliśmy się do pobliskiego Monastiru, aby pospacerować po wąskich uliczkach. Po drodze wstąpiliśmy do Sousse, aby podziwiać meczet przypominający twierdzę. Nadzwyczajne miejsce - przenosiło nas w przeszłość, w inny świat.

Potem znowu wypoczywaliśmy, by zebrać siły na wyjazd jeepem do oazy na pustyni. Na koniec zostawiliśmy sobie Kartaginę, a właściwie resztki, które po niej zostały. To, co zobaczyliśmy, nauczyło nas pokory: jeśli takie potęgi padają, to brak słów.

Janek jeszcze marudził, żeby pojechać do El Jem i zobaczyć jeden z najpiękniejszych amfiteatrów z III wieku na trzydzieści tysięcy widzów, podobny do amfiteatru w Weronie. Wspominaliśmy balet Romeo i Julia, który właśnie tam oglądaliśmy kilka lat temu, wreszcie we właściwym miejscu. Dostaliśmy poduszki, aby na tych kamiennych siedzeniach wytrzymać od dwudziestej drugiej do północy. Włosi i turyści w czasie spektaklu jedli, pili i dość swobodnie się zachowywali, co bardzo nas raziło, bo Maria i Aleksander wpoili nam, że teatr to świątynia. Ja i Janek w swej zarozumiałości porównywaliśmy ten spektakl ze swoim debiutanckim wyczynem w Moskwie. Janek już potem nigdy nie tańczył Romea i nie reżyserował tego baletu. W Paryżu pochłonął go taniec nowoczesny.

Mieliśmy jeszcze tydzień na odpoczynek. Spacerowaliśmy wzdłuż morza piaszczystą plażą, pływaliśmy łodzią, piliśmy sok i zjadaliśmy niezliczoną ilość ryb i owoców. Moje serce pracuje prawie normalnie. Mogę powrócić do Osady i pracy. Mam nowe pomysły. Wojtek żartował:

- Będzie nowa książka.

Część druga

Samotność - pełzanie przez dni i noce obok życia. Borys Russko

Powrót do Osady

Wróciłam do Osady, znacznie skróciwszy urlop. Byłam zaskoczona licznymi listami, propozycjami recenzji rozpraw doktorskich i habilitacyjnych oraz prośbami o konsultacje w skrzynce elektronicznej. Miałam zaplanowany urlop na pół roku, a minęły ledwie trzy miesiące.

Posegregowałam sprawy według kolejności, w jakiej miałam się nimi zajmować. Jednak pierwszeństwo miało sprawozdanie z realizacji grantu. Współpracownicy dostali mi opisy swoich zadań badawczych, ich rezultaty i interpretacje. Moim zadaniem było zredagowanie całości i przesłanie do wszystkich zainteresowanych, aby uzupełnili ją, poprawili i zaakceptowali.

Finalizowałam sprawozdanie z zakończonego grantu, nad którym pracowałam z zespołem przez trzy lata, z dala od zebrań, konferencji i spotkań, w ogóle od ludzi. Siedziałam w laboratorium albo w pracowni nad tekstem lub literaturą. Chciałam być sama. Czasem wymieniałam parę zdań e - maliowo z Tiną lub Jankiem.

Podczas pierwszego pobytu w Warszawie wreszcie odwiedziłam księdza Macieja. Od razu powiedział z uśmiechem:

- Nikt z nas nie wierzył, że wytrzymasz bez pracy pół roku.

W czasie moich wizyt nie rozmawialiśmy tak jak dawniej. Oglądałam nowe odmiany kwiatów, a potem słuchaliśmy muzyki. Byłam mu wdzięczna, że nie mówił mi banałów typu „Wszystko będzie dobrze, czas leczy rany itd.". Miałam żal do całego świata i do niego też. Po raz pierwszy wypomniałam mu, że jego Bóg jest tak okrutny.

Przyjaciele dali mi czas, aż sama powiem: „Dość, wracam do życia, do was i normalności". Ale ktoś inny nie wiedział, że nie mam ochoty na towarzystwo. Pojawił się, kiedy naprawdę potrzebowałam z kimś pogadać, ale nie z tymi, którzy byli świadkami moich smutnych przeżyć - i to w wersji bis.

Mój Gitarzysta

Pewnego wieczoru telefon oderwał mnie od słuchania koncertu poświęconego Janowi Kiepurze, na którym Jacek Wójcicki właśnie zachwycał mnie swoim śpiewem (zawsze tak było, nie tylko w tym repertuarze). Niedawno podziwiałam go w teatrze Komedia. Bawił humorem i zadziwiał głosem.

Niechętnie podeszłam do telefonu. Po chwili usłyszałam:

- Kłania się twój Gitarzysta.

- Czy coś się stało? - nie wiem, skąd ta obawa, może dlatego, że to poniedziałek. Ten dzień już zawsze będzie mi się kojarzył z niedobrymi wiadomościami.

- Ależ skąd, wręcz przeciwnie... Wróciłem po kilku latach koncertowania za oceanem. Bardzo chcę się z tobą zobaczyć i pogadać.

- Będę w czwartek w Warszawie.

Wymieniliśmy numery komórek i wyraziliśmy radość ze spotkania.

Ostatni raz widziałam go na moim doktoracie. Był przez moment. Wręczył mi niemal krzak peonii. A więc pamiętał.

Z każdym moim przyjacielem czy wielbicielem łączył się inny gatunek kwiatów. Z Gagą - czerwone róże, z Kozakiem Igą - białe bzy, z Gitarzystą - peonie, z Dygnitarzem - fiołki (musiał ukrywać kwiaty w kieszeni, dlatego były małe. Za to pięknie pachniały), w czasach szczęśliwych towarzyszyły mi białe róże, z księdzem Maciejem łączyły się malwy, a z Elitarnym Kolektywem - egzotyczne kwiaty, zwłaszcza storczyki. Cóż za różnorodność! Gdy moi przyjaciele przyjechali do Belwederu na wręczenie mi dyplomu profesorskiego, mieli właśnie egzotyczne kwiaty. Budzili zdziwienie, bo u nas był jeszcze okres goździków i octu na półkach sklepowych, ale już na horyzoncie świtał finał „realnego socjalizmu”. Szło nowe, ale jeszcze nikt nie wiedział, jak trudna będzie droga do normalności. I dobrze, bo wtedy entuzjazm był świetnym paliwem.

Spotkaliśmy się w Łazienkach. Od razu się poznaliśmy, mimo że od krótkiej rozmowy na korytarzu minęło ćwierć wieku. Radośnie podrzucił mnie w górę. Ściskając się, wykręciliśmy piruet. Byliśmy wzruszeni.

- Tyle lat minęło, a ty wciąż taka kruszyna, ale oczy... Niech to diabli. Mam nadzieję, że słyszałaś piosenkę Moja zielonooka.

- Pewnie, w radio wiele dni była nadawana prawie w każdej stacji, a ja męczyłam się nad rozprawą doktorską. Moja koleżanka sugerowała, że to tobie powinnam ją dedykować, bo otworzyłeś mi, wręcz wyważyłeś, bramy Osady, a ja wybiegłam ku swoim marzeniom. Realizacja moich następnych planów naukowych była konsekwencją tej właśnie decyzji.

- Wykorzystałaś mnie jako drogę do wolności. Dobrze wiesz, że w takiej umowie - tak na niby, bez zobowiązań - zawsze ktoś jest pokrzywdzony. Padło na mnie. Ty się realizowałaś i nie zaangażowałaś się uczuciowo.

- Ty pisałeś piękne piosenki i polecałeś z nimi w świat.

- Początkowo wszystkie były o tobie: o tym, jak wynurzasz się z jeziora. Smukłe ciało baletnicy, oczy większe niż twarz i tyle radości, że zwykły śmiertelnik mógł z niej czerpać garściami i cieszyć się tym szczęściem.

- Mówisz słowami swoich piosenek.

- Tak. Mimo że nie mówiłaś, kto i kiedy dał ci tyle radości, że możesz nią obdzielać innych, zapamiętałem twoją barwę głosu, gdy mówiłaś o Gruzji. Kiedy leżeliśmy przed namiotem, patrząc w gwiazdy, a jezioro niosło arie jakiegoś śpiewaka, czułem, że jesteś daleko, bardzo daleko. Kupiłem więc tomik poezji gruzińskiej. Miałem nadzieję, że znajdę wiersz, który ci zaśpiewam. Znalazłem.

Ja na brzegu, ty - na tamtym, Między nami rzeka płynie, Mostu nie ma na tej rzece,

Wzrok nasz tonie w jej głębinie. Ja cię kocham - ty mnie lubisz,

Widzę uśmiech na twojej twarzy. Lecz przejść tę przeklętą rzekę
Któż z nas dwojga się odważy?

- Kiedy to śpiewałeś, byłeś już za oceanem.

- Mogłem go dla ciebie przepłynąć, ale twoje serce nie należało do mnie. On może się zadawałał tym, że jesteś obecna ciałem, ale ja - nie. Zatrzymywał cię siłą, podstępem i przekonywał, że jeśli jego uczucie podzieli się na dwa, po jakimś czasie zrodzi się całość. Nonsens. Zawsze ktoś zostaje zraniony przy założeniu, że jedna miłość starczy na dwoje. Nawet mi go żał, bo właściwie zrobił wszystko, żeby cię zatrzymać, i nie udało mu się. Przecież On nawet twoją pracę traktował jak rywała, bo bał się, że zabierze tę resztkę ciebie, która do niego należy. Błąd. Przecież to praca pomogła mu

zbliżyć się do ciebie. Dlaczego On rozumiał to na studiach, a potem bezmyślnie zaprzepścił swój plan? Czy ty to rozumiesz?

- Nie. Ale teraz sadzę, że był zazdrosny o moją przeszłość. Chciał oddzielić mnie od moich przyjaciół, którzy w niej uczestniczyli.

- Nie znał psychiki kobiet, nieprawdaż?

- Swojej też nie, bo zachowywał się jak rozkapryszony bachor: „To moje - i już”.

- Byłaś baletnicą?

- Skąd taka myśl?

- Nie jest moja, tylko mojego ojca. Pamiętasz, jak z dumą pokazywał ci swój ogród? Biegałaś od jednego krzewu do drugiego, mówiąc: „Tylko jeden taki znam”. „Ona porusza się jak baletnica” - stwierdził wtedy.

- Dlaczego nie zapytałaś?

- Intuicja podpowiadała mi, że nie powinienem pytać o okres przed studiami. Ile razy zbliżaliśmy się do wspomnień młodości, drętwiałaś i oddalałaś się. „Dlaczego nie poszłaś od razu na studia, tylko via Mazury?” - dziwiłem się. Milczałaś. Pewnego razu zapytałem cię, czy już w liceum wiedziałaś, że chcesz zostać naukowcem. Odpowiedziałaś: „Od dziecka kompletowałam zielnik”. Dało mi to do myślenia, bo bardzo dużo mówiłaś o początkach swojej pracy naukowej i byłaś gotowa skompromitować się, by móc ją odzyskać. A ja miałem ci w tym pomóc.

- I pomogłaś, nawet nie wiesz, jak bardzo, nie tylko w tym, że mogłam do niej wrócić. Znowu poczułam się kochana. Dałaś mi tyle ciepła i wsparcia, którego od lat nie miałam, to znaczy od czasów, o których nie chciałam mówić. Wspomnienie naszej szczęśliwej wyspy pozwoliło mi przetrwać najgorszy okres w moim życiu.

- Kochanie się z tobą w jeziorze, pod gwiazdami i patrzenie na łąki w kącikach oczu, gdy kładłaś mi głowę na ramieniu, było jak muzyka. A gdy szepnęłaś: „I znowu rozstała się ziemia...”, byłam szczęśliwy. To były słowa z Komu bije dzwon.

Pomyślałam o babci Miriam. Myliła się, że można to przeżyć tylko z tym jednym jedynym. Tina ma swoją teorię, że wielu ludzi, prawdopodobnie większość nigdy nie odnajdzie swojej połówki jabłka, bo innych los obdarzył kilkoma. Istnieje więc deficyt szczęścia.

Nie powiedziałam mu o tym. Było nam dobrze. Gawędziliśmy o wszystkim, jakby nasza rozmowa została przerwana wczoraj. I tak zostaliśmy przyjaciółmi w wieku dojrzałym, po młodzieńczym burzliwym, pełnym seksu epizodzie.

Dzwoniliśmy do siebie, wysyłaliśmy e - maile, a gdy tylko byłam w Warszawie, chodziliśmy na spacer i koncerty. Czasem jeździł ze mną do Krakowa i tam odwiedzaliśmy Piwnicę pod Baranami i teatry. Ale najbardziej byłam zadowolona z tego, że wreszcie miałam z kim chodzić na Kazimierz i koncerty Klezmerskie, do restauracji z muzyką. Był fanem kultury żydowskiej, podobnie jak ja. Na lipcowy festiwal w Krakowie już dwa miesiące wcześniej zamówiliśmy sobie hotel. A potem biegaliśmy na wystawy, wykłady, spotkania i koncerty. Ten na Szerokiej także zaliczyliśmy. Nie wiem, skąd u nas, prawie sześćdziesięciolatków, tyle siły. Wieczory u Ariela, na które miałam specjalną jedwabną czarną sukienkę, mój krzyżyk z Jerozolimy, każdego wieczoru inny kwiat przypięty do dekoltu - oczywiście, od Gitarzysty. Tyle radości w jednym tygodniu.

- Czy uporałaś się ze swoją przeszłością? - pytał, przyglądając mi się roześmianej.

- Los zastosował rozwiązanie ostateczne - wyjaśniłam.

- Jeśli kogoś nie ma wśród nas, to nie oznacza, że nie ma go w nas.

- Prawda.

Moim przyjaciołom jeszcze nie powiedziałam o wznowionej przyjaźni z Gitarzystą, choć wiedzieli o jego istnieniu. Jeszcze przyjdzie czas, by o tym pogadać. Księdzu Maciejowi też nie powiem, nawet nie chcę myśleć dlaczego.

Etna i lody

Nie powiadomiłam ich także o tym, że dostałam propozycję z Włoch. Miałam wziąć udział w projekcie badawczym nad procesami zachodzącymi na Etnie, wciąż czynnym wulkanie.

Po sympozjum w Neapolu udaliśmy się do naszego celu wyprawy. Płynęliśmy na Sycylię. Pierwszym, co zobaczyłam z promu, była Messyna, pięknie położone miasto, choć wrażenie to zmienia się, kiedy spaceruje się po jego ulicach, zatłoczonych i niezbyt zadbanych.

Potem udaliśmy się do Taorminy, która znalazła miejsce w światowej literaturze, przyciągając sławnych pisarzy. To inny świat, niepowtarzalna atmosfera. Mnie szczególnie interesował grecko - rzymski teatr, nad którym dominuje potężna Etna.

Krótki pobyt w hałaśliwym, pełnym turystów mieście. Koledzy postanowili pokazać mi uliczki, które jeszcze zachowują atmosferę małego miasta, uznawanego za miejsce narodzin Adama i Ewy. Powiedziałam im, że Gruzini twierdzą, że to u nich był raj.

- A ty jak myślisz?

- Dla mnie na pewno w Gruzji - odpowiedziałam. - Między Kaukazem a Morzem Czarnym. Tutaj jest interesująco dla turystów, a tam jest coś, czego tutaj brak - piękno pierwotności.

W Katanii czekała mnie próba. Musiałam przeżyć gościnność Sycylijczyków. Zwiedziwszy miasto, udaliśmy się, prawie w nocy, do lokalu w rodzaju lodziarni. Tam przy dużym stole zasiadło nas dwanaścioro. Przed każdym postawiono puchar z przynajmniej kilogramem wielokolorowych lodów i litrowym dzbanem wody. Wyglądało to przepięknie, ale po licznych potrawach, których należało spróbować po drodze, bo można było to zjeść tylko na Sycylii, obawiałam się, że już dawno wyczerpałam swoje możliwości. Wiedziałam, że nie przejdę tej próby, nie tylko dlatego, że to za dużo - po prostu nie przepadam za lodami. Byłam w tym osamotniona. Niektórzy byli już w połowie pucharów. Skubałam po łyżeczce te pyszności, a tu nic nie ubywało. Roberto, mój przyjaciel, zlitował się nade mną. Przesunął mój puchar i podstawił mi prawie pusty. Znał moje pocco a pocco przy stole. Ten, kto mało je we Włoszech, a zwłaszcza na Sycylii, może znaleźć się w tarapatach.

Zostałam obdarowana kandyzowanymi owocami, bo czujne oko gospodarza dostrzegło, że lody mi nie smakowały.

Nazajutrz objechaliśmy samochodami terenowymi Etnę. Zrobiła na nas ogromne wrażenie. A potem wyprawa na szczyt wulkanu, wciąż czynnego. Trasa była dziesięciokilometrowa, ponieważ jednak przerywano ją dyskusjami, przejechanie tego odcinka zajęło nam dwa razy więcej czasu. Podczas wspinaczki podłoże zmieniało się w mozaikę czarno - szaro - czerwoną. Nasi gospodarze wyjaśnili nam, że zależy to od wieku lawy. Cały czas towarzyszy nam czarny pył i popiół.

Spod lawy wyglądały wierzchołki drzew, a uliczki u podnóża wulkanu były wypełnione zastygłą magmą. Z krateru coś dymiło i czasem języki ognia ostrzegały nas. Wciąż wędrowaliśmy w górę, powodując wznoszenie czarnego pyłu. Dyskutowaliśmy, jak i kiedy powróci tam roślinność. Coś zadrżało, ogień dość blisko buchnął z głównego krateru. Profesor Sycylijszyk dał nam znak do odwrotu. Szybko zeszliśmy, a wkrótce zabrał nas samochód terenowy. Byliśmy pokryci czarnym pyłem.

Kiedy wchodziliśmy do pobliskiego barku, rozbawieni tubylcy witali nas oklaskami. Od razu ktoś postawił kolejkę, oczywiście sycylijskiego wina, i dostaliśmy coś pysznego, co przypominało nasze pyzy, tylko wykonane z ryżu i mające jakieś pyszne, nieznane nadzienie. Potem owoce, owoce i jeszcze raz owoce. Za to kocham ten kraj.

Nazajutrz po zjedzeniu gotowanej ośmiornicy jeszcze raz udaliśmy na wulkan, ale już w konkretne miejsca, zaznaczone na mapie z datowaniem lawy i kraterów. W Palermo po zwiedzeniu ogrodu botanicznego w jego gościnnych pracowniach, pełnych materiałów o historii Etny, przez trzy dni planowaliśmy badania, ustalaliśmy harmonogram prac i zadania badawcze dla członków zespołu „Etna”.

I znowu opera

Wróciłam do kraju pełna pomysłów i planów. Zaczęłam reagować na świat dookoła, nie skupiałam się tylko na sobie. U niektórych ból pozwala ujrzeć cudze cierpienia - u mnie zrodził egoizm. Gitarzysta przywrócił mi osobowość, znowu rzucił mi linę ratunkową. No i oczywiście uratowała mnie praca.

Po przyjeździe do Warszawy poszłam z nim na Madame Butterfly. Zachwyciła nas, zwłaszcza scenografia, która w swej prostocie w pełni oddawała charakter Japonii, szczególnie dramatyczna scena samobójstwa, która na ogół jest pokazywana w operze zbyt ekspresyjnie. W tym spektaklu wyjmowanie sztyletu ze szkatułki odbywało się w skupieniu, przy stonowanej muzyce, a bohaterka odwrócona do widowni na tle czerwonej makaty odbierała sobie życie bez miotania się i szlochania. Uczyniło to tę scenę niezwykle dramatyczną w porównaniu z innymi inscenizacjami, jakie widziałam w wielu teatrach, nie tylko polskich.

Jeszcze pamiętam tę operę z Brukseli. Na scenie były współczesne meble, aktorki tańczyły w eleganckich garsonkach. Nawet nie było wiadomo, która z nich jest Amerykanką, a która Japonką, i dlaczego współczesna kobieta nie może wychowywać samotnie dziecka. Niektóre arie w tej scenerii zamiast braw wywoływały śmiech. Każdy dramat jest osadzony w jakimś czasie i miejscu. Reżyser o tym zapomniał.

Nieco później ten sam reżyser, który w Warszawie wystawił tak wspaniale Madame Butterfly, pokazał operę Orfeusz i Eurydyka. Przeniósł ją we współczesność (na scenie pojawił się nawet laptop). Ona również budziła śmiech i „buczenie” publiczności, gdyż ta historia o miłości i śmierci nie dzieje w konkretnym miejscu i czasie, jest ponadczasowa. Rekwizyty współczesne są w takim przypadku śmieszne. Historia odarta z mitu i magii, nieba i piekła, stała się banalna, a miejscami wulgarna - jak pudełko od butów przewiązane sznurkiem zamiast urny z prochami. I to jest nowoczesność w operze? Myślę, że dla Mariusza Trelińskiego był to o jeden most za daleko, choć intencje „odświeżenia” opery może zasługują na uwagę.

Gustaw Holoubek opowiadając w wywiadzie telewizyjnym o swoim dystansie do tzw. teatru nowoczesnego, do którego wdziera się wulgarność z ulicy, podzielił się ze słuchaczami cennym spostrzeżeniem. Powiedział, że jak będzie chciał zobaczyć ulicę, to

pójdzie na nią, a teatr przetwarza rzeczywistość w magię, stwarzając możliwość przeżycia czegoś niepowtarzalnego, nawet jeśli jej tematem są zwykłe sprawy. To wcale nie oznacza, że w teatrze nie zmieniają się środki wyrazu. Widziałam Romulusa Wielkiego granego przez Jana Swiderskiego, wtedy jeszcze tradycyjnie, i Janusza Gajosa w teatrze Krystyny Jandy, który zagrał go nowocześnie. Oba spektakle były wybitne, a artyści - genialni, choć zupełnie różni. Pierwszy postawił na śmieszność cech Cezara, a drugi na filozofię życia i sprawowania władzy. Nowoczesność ograniczono do prostoty dekoracji i kostiumów, nie zrobiono z Cezara mafiosa czy w ogóle władcy. Problem może jest uniwersalny, ale zawsze ma inny wymiar.

Inaczej było w przypadku opery, w której z władcy trzęsącego mocarstwem Borysa Godunowa uczyniono starszego, cierpiącego pana, który biegał po scenie w białym surducie. Czy można w ten sposób przekonać kogokolwiek, że bohater jest groźnym carem? Mamy uwierzyć, że spowodował bunt ludu, zresztą też groteskowy? Jaki car, taki bunt. Słowo „nowoczesność” stało się tak pojemnym pojęciem w sztuce i w nauce, że może należałoby na nowo je zdefiniować.

Publiczność znowu buczała, jedni krytycy chwalili, inni ganili, że przesadzono z nowoczesnością. Niech reżyser wystawi operę współczesną, to będzie mógł użyć wszystkiego - telewizorów, laptopów i komórek.

Opowiadałam to wszystko księdzu Maciejowi, którego siostra była śpiewaczką operową. Dodałam, że nie twierdzę, iż Treliński nie jest uzdolnionym reżyserem. Po prostu ostatnio za bardziej skupia się na szokowaniu publiczności niż na sztuce.

Ksiądz Maciej zgodził się ze mną. Przyglądał mi się uważnie.

- Jesteś jakoś odmieniona, tylko nie wiem, czy to dobrze, czy źle.
- Ja też nie wiem, ale myślę, że powoli się odnajduję.
- Oby - odprowadził mnie do furtki. Czułam, że się niepokoi.

Wracam, do Osady

Jednak upłynęło sporo czasu, zanim dotarło do mnie, że On po powrocie z Kanady, gdzie wykładał przez jeden semestr, nie biegał po korytarzu, nie krzyczał, że coś zrobiono nie tak lub że ktoś jest beznadziejny, a do mnie nie wpadał ze złością i nie upominał się o jakąś książkę, która właśnie w tej chwili była mu potrzebna, a na pewno była u mnie. Nie przerywając pracy, pytałam:

- Dlaczego? - i pracowałam dalej.

W takich sytuacjach zawsze wpadał w złość:

- Mogę ci tylko zazdrościć zdolności koncentracji! Świat może się walić, a ty robisz swoje!

Nie chciałam go bardziej denerwować, ale gdyby natura nie dała mi tego daru, rozwijanego w młodości w balecie, gdzie dekoncentracja często kończyła się kontuzją, a w najlepszym przypadku kompromitacją, zapewne w warunkach nieustającego napięcia, podejrzeń i stresu nie napisałabym nawet jednej strony. Był mistrzem stwarzania trudnych sytuacji, lubił pracować „we wrzątku”. Jeśli go nie było, zaraz znalazł się powód: otwarte okno, drzwi czy zbyt długa rozmowa przez telefon powadzona przez pracownika.

Nawet w czasie wielkiej burzy, gdy stłuczona szyba spadła mi na stół, strzepnęłam szkło z kartki i pisałam dalej, nie zauważając szalejącego wiatru. Tak byłam przyzwyczajona do codziennych burz, że ta za oknem nie zrobiła na mnie wrażenia.

Nagle nastąpiła cisza, nawet nie wiem kiedy. Czasem przychodził i pytał:

- Jak tam z książką?

Byłam w szoku, bo do tej pory moje zmagania z przygotowaniem do druku prac były przedmiotem żartów, czasem przykrych, a niekiedy rozluźniających.

- Trudno, ale powoli posuwam się do przodu. Mam gorsze i lepsze dni, staram się maksymalnie wykorzystywać te dobre - odpowiedziałam zdziwiona nagłą troską. Może to prawda, że ludzie z wiekiem łagodnieją.

Sekretarka również zauważyła tę zmianę, bo obie byłyśmy zawsze na linii strzału. A teraz się niepokoiłyśmy.

Wróciłam do dawnego zwyczaju i zaczęłam w południe zanosić mu kawę i ciasto. Bardzo to lubił. Opowiadałam mu o Etnie, na którą

również był zaproszony, jednak o nic nie pytał. On, który miał tak szerokie zainteresowania... Dziwne.

Po kilku dniach spostrzegłam, że wciąż siedzi nad pustą kartką, a materiały potrzebne do pracy nie zmieniły miejsca na stole. W czasie oglądania wieczornych wiadomości nierzadko zasypiał, gdy dawniej pomstował na głupotę polityków, zwłaszcza kiedy wypowiadali się o nauce.

Rozważaliśmy, dlaczego politycy korzystając z internetu i nowoczesnych komórek, na które tak chętnie nagrywają swoich kolegów, nie wiedzą, że codziennie korzystają z myśli naukowej fizyków, matematyków i chemików. Ich odkryć, bo produkcja tych urządzeń jest trywialna, może się odbywać w każdym miejscu, dlatego mamy wszędzie etykiety „Made in China”. Jednak myśl zrodziła się w wielkich ośrodkach naukowych, w których zgromadzono „szare komórki” z krajów całego świata. Wystarczy posłuchać nazwisk noblistów - słowiańskich, japońskich, francuskich i niemieckich - choć Nobel przyznawany jest amerykańskiej nauce. W kraju, w którym wcześniej rozumiano, że postęp i dobrobyt zależą od myśli naukowej, i nie żałuje się nań funduszy. Nasi politycy też wciąż powtarzają, że nauka i edukacja to ich priorytety. To tylko słowa. Drobia te pieniądze, niewielkie, bezsensownie. Od razu przypomniałam znane nam „prawo ćwierci - da się zrobić najwyżej połówkę, i to w dwa razy w dłuższym czasie”, wymyślone przez naszego kolegę Leszka. Zadeedykowaliśmy to politykom. I nie tylko, bo często w przeróżnych komisjach i komitetach wyznaczających trendy w nauce przez politykę finansową zasiadają nasi przedstawiciele - naukowcy, można by dodać: byli, bo po osiągnięciu odpowiednich stopni naukowych stali się administratorami, choć od nauki odeszli przed dwudziestoma laty. Paradoks. Zostali wybrani demokratycznie. Cóż, sejm też podobno wybrało społeczeństwo, ale czy jest z tego dumne? Można tylko popierać apel profesora Łukasza Turskiego wygłoszony w wywiadzie przeprowadzonym przez Grzegorza Miecugowa: trzeba uczyć myśleć. Ważne jest to, kto ma głowę, a nie kto wytwarza. To rewolucja naukowa wyzwoliła człowieka z „pracy w pocie czoła”. Należałoby zapisać złotymi zgłoskami myśl profesora: „Cywilizacja techniczna karmi się resztkami z królewskiego stołu nauki” - i powiesić ją w ministerstwach i gabinetach posłów i senatorów.

Z ogromną przyjemnością i satysfakcją słuchałam tej rozmowy w audycji „Inny punkt widzenia”. Ile w gronie wybitnych uczonych apelowano do władz, że wiedza jest najważniejsza! Ale przecież to oni powinni ją mieć. Dawniej stopnie naukowe były potrzebne do zdobycia władzy, teraz wystarcza im taka, która pozwoli utrzymać się na stołku. Zmienił się ustrój, a decyduje ta sama „klasa”, jak to niektórzy mówią: układ. Aż warto przytoczyć słowa z Listów do pana hrabiego Krzysztofa Daukszewicza. Na pytanie, jaka klasa teraz rządzi w Polsce, odpowiedź brzmiała: „Mnie się zdaje, że za każdym razem nie ta”.

Niestety, w nauce może jest lepiej, ale też legitymacje partyjne niektórzy wymienili na solidarnościowe. Uczeni, pasjonaci przecież nie zamienią badań na stanowiska, więc naukowcy mają wolną drogę do stołków. Ale czy „naukowcy z lamusa” są zainteresowani, pomysłami i inicjatywami uczonych? Oto jest pytanie.

Oboje wiedzieliśmy, że raczej nie, bo wielu tych decydentów znaleźliśmy osobiście i wcale nie byli oni skłonni do podejmowania dyskusji o polityce naukowej, a co dopiero do działań.

On wiedział, jaką cenę zawsze płacił za różnorakie sprzeciwy wobec nonsensów polityki naukowej, nawet lokalnej - najczęściej skutkowało to ograniczeniem funduszków na instytut, zmniejszeniem liczby etatów itd.

Zdarzały się również śmieszne, niemal kabaretowe sytuacje. W latach osiemdziesiątych nagle wśród elit partyjnych, także na uczelniach, posypały się rozwody - jeden po drugim.

Wreszcie ktoś odkrył, że Jaruzelski zalecił ujawnienie kont dewizowych, wyznaczając granice ich posiadania. Nagle zaczęto dzielić te majątki w czasie rozwodów, choć wszyscy wiedzieli, że to fikcja. Zbyt szybko się pośpieszyli, bo ten pomysł bonzów partyjnych nigdy nie został zrealizowany. Jedna z naszych koleżanek w tym czasie również się rozwodziła z dobrze ustawionym partyjnym mężem. Nikt w to nie wierzył, bo uchodzili za dobre małżeństwo. Jej przyjaciółka roześmiała się i powiedziała:

- Ja w to nie wierzę.

Usłyszeliśmy wówczas zdumiewające wyjaśnienie: że owszem, bardzo się kochają, ale ideologiczne różnice dzielą ich tak głęboko, że nie mogą już być razem, choć mają dzieci.

- Ale ty wyszłaś za niego, kiedy w partii pełnił wysokie stanowiska i przez kilkanaście lat nie przeszkadzało ci życie w ciepełku tej ideologii. Teraz doznałaś olśnienia, że jest niewłaściwa? - przyjaciółka nie odpuszczała.

Inni dolewali oliwy do ognia, wtrącając się do toczącej się dyskusji w dość dużym gronie:

- Ależ to nonsens, obłuda, to jakiś prima aprilis. Zostali zapamiętani, a po przemianach ustrojowych mimo ideologicznych różnic oboje piastowali wysokie stanowiska. I niejeden z dyskutantów żałował wypowiedzianych wcześniej słów. Nastąpiła demokracja, już nie było dyskryminacji ideologicznej, z czego najchętniej korzystali wyznawcy „jedynej słusznej linii”, ale dawno o tym zapomnieli i znowu stanęli po właściwej stronie.

Kiedyś oburzał się na tę obłudę, ale teraz brakowało mu dawnej energii, by wspominać niesprawiedliwość zaznaną za szczerość. Jeszcze nie wiedział, że koleżanka nawet po śmierci mu nie odpuści, dzięki czemu dzieło jego życia nie zostanie nazwane jego imieniem. Bardzo pasuje tu myśl wygłoszona przez Hołdysa w wywiadzie telewizyjnym: że cokolwiek człowiek w życiu czyni, powinien pamiętać. „Kiedyś do każdego zapuka komornik i trzeba będzie się rozliczyć ze swoich czynów”.

Namówiłam go, by zrobił okresowe badania. Zgodził się. Dawniej każda wzmianka o wieku lub chorobie wywoływała oburzenie, a nawet złość.

- Chcesz mi wmówić starość i chorobę! - krzyczał. Tłumaczyłam mu, że choroba jest częścią zdrowia i trzeba się nauczyć z nią żyć.

- Tobie jest łatwiej, bo masz wprawę w chorowaniu - miał pretensje, że nie rozumiem superzdrowego człowieka.

A ja myślałam: „Ma rację. Dwa zawały, krwotok, który przeżyłam cudem, liczne przeziębienia zimą, w Osadzie trudną do wytrzymania, po prostu mnie zahartowały”.

Osada była moją najtrudniejszą i najdłuższą ścieżką zdrowia. Jednocześnie dała mi coś, co sprawia, że trudności mnie nie paraliżują i mogę nucić piosenkę Edyty Geppert Kocham cię, życie. Serio.

Udaliśmy się na badania. Miał znakomite wyniki, wręcz podręcznikowe. Ja natomiast, jak się okazało, miałam problemy z cholesterolem i ciśnieniem. Dostałam skierowanie na specjalistyczne

badania. Lekarz stwierdził, że to z powodu stresu, w jakim żyję. Zażartowałam, że to stres twórczy.

Po badaniach i braniu leków wszystko pozostało bez zmian. On był coraz bardziej osowiały, mało sypiał. Całe noce krążył po domu, nic go nie interesowało. A na stole albo pusta kartka albo jakieś bazgroły. Do niedawna pisywał naukowe teksty, zawsze piękną polszczyzną, a łatwości pisania i wypowiedzi wielu z nas mu zazdrościło. Przestałam wierzyć w podręcznikowe wyniki, które uniemożliwiają pracę i pogarszają jakość życia, a przy niezbyt dobrych można prawie normalnie funkcjonować.

Ale musiałam przerwać rozważania medyczne i skoncentrować się na czytaniu rozprawy doktorskiej jednej z moich najzdolniejszych wychowanek. Praca wymagała jedynie korektorskich zabiegów, pod względem merytorycznym była bardzo dobra. Dziewczyna się śpieszyła, była w ciąży i chciała się obronić, zanim byłoby to widać. Była ambitna, nie chciała w przyszłości usłyszeć, że doktorat dostała z litości lub przeciwnie - że jej brzuch zdecydował o niezbyt dobrym głosowaniu. Wiedziała, że w tym samym dniu będzie się bronił jej bardzo zdolny kolega, więc musi być dwa razy lepsza, aby zauważono oryginalne wyniki jej badań. W tym zawodzie wciąż mężczyźni mają większe szanse, mimo że w niektórych dziedzinach trwa feminizacja.

Denerwowałam się, ale przesyłałam obojgu pokrzepiające uśmiechy podczas dyskusji, która była trudna. Każde z nich odpowiadało na kilkanaście pytań. Traciłam nadzieję, że te obrony kiedyś się skończą. Jednocześnie zastanawiałam się, czy to nie odbije się na dziecku. Dlatego też często kandydatkom na studia doktoranckie zadawałam pytanie: „Czy planuje pani dziecko w najbliższych latach?”. Oczywiście, panom nie zadaje się takich pytań, im ojcostwo nie przeszkadza w robieniu kariery naukowej.

Wreszcie koniec. Oboje usłyszeli pochwały. Głosowanie było bardzo dobre.

Wyczerpana poszłam z Gitarzystą do opery. Uciekliśmy w inny świat, i to w jaki: Tankred Rossiniego według dramatu Woltera, a w głównej roli męskiej Ewa Podleś. Znakomita. Choć spektakl trwał ponad trzy godziny, nie można było uronić choćby jednej arii. Ten niezwykły bohaterski świat pochłoniął mnie bez reszty.

Wróciłam do Osady odrodzona - jak po każdej podróży. On smętny siedział przed telewizorem. Próbowałam go rozśmieszyć,

powtarzając niektóre pytania zadawane doktorantom, na przykład jaki to zjawisko może mieć związek z plamami słonecznymi. Nie tylko doktorant osłupiał. Ale to był żart. On jednak nawet nie zapytał, jak przebiegały obrony doktoratów. Całkowita obojętność. Niebywałe.

Przełom nastąpił, gdy z Londynu przyjechał do Osady redaktor znanego wydawnictwa z propozycją wydania mojej książki, tej, której koncepcje prezentowałam na sympozjum w San Paulo.

- Ale to było dwa lata temu - dziwiłam się, że ktoś jeszcze pamiętał jej koncepcję i treść.

- Wydawca jest pewny, że jesteś gotowa do jej zakończenia. Ostatnio czytał twoje artykuły z wynikami badań przy zastosowaniu metod biologii molekularnej. A wtedy na sympozjum wszyscy w dyskusji podkreślali, że do jej zakończenia najbardziej brakuje metod i narzędzi, które dostarczyłyby twardych dowodów do zweryfikowania wcześniej sformułowanych hipotez, a także do przedyskutowania metodologicznych problemów i falsyfikacji teorii. Teraz już są, więc można dokończyć książkę. A więc podpisujemy umowę - stwierdził redaktor.

- Proszę najpierw rzucić okiem na maszynopis. Jeszcze nie wszystko jest dopracowane, ale trzy miesiące wystarczą mi do zamknięcia ostatniej części, której wtedy brakowało.

- Koledzy dobrze cię znają. To oni mi powiedzieli, że na pewno pracujesz nad tą książką. Myślałem podobnie, bo pamiętałem naszą współpracę przy poprzedniej publikacji. A co się właściwie z tobą działo przez prawie dwa lata? Dlaczego zerwałaś wszelkie kontakty? Chorowałaś?

- Coś w tym rodzaju, ale jest w porządku.

- W mojej działalności redaktorskiej rzadko spotykam zdyscyplinowanych autorów, zwłaszcza jeśli chodzi o dotrzymanie terminów. W pewnym sensie będzie to druga część książki, którą wydałaś u nas kilka lat temu. Obecnie parę lat w nauce to lata świetlne, więc trzeba się śpieszyć z wydaniem tej publikacji - teraz to nowość, a za kilka lat będzie już historią. Tym bardziej że zbliża się termin międzynarodowego sympozjum, na którym zawsze sprzedaje się dużo książek. Muszę myśleć także o finansach wydawnictwa.

Moi koledzy wznowili e - mailowe dyskusje ze mną, więc wiedzieli, że prowadziłam badania z biologami molekularnymi, co umożliwiło mi kontynuację pracy nad książką. Miałam dostatecznie

dużo wyników własnych oraz moich uczniów, by móc zrealizować pomysł. Podpisałam umowę i obiecałam, że przywiozę książkę do Londynu, aby jeszcze na miejscu przedyskutować z kolegami niektóre, zwłaszcza te przyszłościowe idee.

Przy obiedzie wspominaliśmy moją przygodę w Brazylii. Kiedy przyleciałam do Sao Paulo, okazało się, że mój bagaż zaginął. Był luty, wyjechałam z Warszawy w bardzo mroźny dzień, a tam upał, przecież niedługo festiwal samby, na której obowiązuje skąpe ubranie. Ja w ciepłej kurtce, na szczęście w dżinsach, więc jeszcze na lotnisku kupiłam bawełniane bluzki, bo bagaż miał się znaleźć za trzy dni (ostatecznie stało się to dopiero po trzech tygodniach, tuż przed opuszczeniem tego pięknego kraju).

Nie przejmując się strojami, zwiedzałam góry i deszczowe lasy, a po ogromnej ulewie wyglądałam, jakbym chciała przystąpić do konkursu miss mokrego podkoszulka - tylko nie ten wiek i nie ten czas. W skąnym stroju, trochę z konieczności, a trochę z wyboru, oglądałam pokaz różnych szkół samby w Rio. I całą noc tańczyłam z kolegami na plaży Copacabana. Miałam z jednej strony morze, a z drugiej góry. Grzechem byłoby nie wykorzystać w tej scenerii umiejętności, które wyniosłam ze szkoły baletowej.

Piłam wino i mleczko kokosowe - przez słomkę - wprost z owocu po ścięciu wierzchołka. Owoce były usypane w stertach - podobnie jak u nas ziemniaki. Sprzedawca - piękny Brazylijczyk - wybierał, podrzucał i mówił: „Ten jest dobry”. W czasie pobytu w Brazylii wypiłam napój zapewne z owoców niemałego kopczyka. To moja słabość. Nałóg do świeżych soków z pomarańczy, granatów, mango i arbuźów wciąż trwa, nie gardzę też marchewką. W Rio przy każdym śniadaniu mieliśmy festiwal soków. Spróbowałam prawie wszystkich. Moi przyjaciele pytali:

- Gdzie ty to mieścisz?

- Mało jem, stąd mam miejsce - wyjaśniałam. - A poza tym nie mam żadnych nałogów. Papierosy i wódka brzydko pachną, więc nigdy nie miałam na nie ochoty. Soki są więc moim nałogiem, no, może troszkę jeszcze wino i owoce morza.

Wspominaliśmy z redaktorem piękny wykład geologa, który w wysokich, skalistych kanionach, jakie dotychczas widziałam tylko na westernach, pokazując nieprawdopodobnie długą i głęboką szczelinę

między skałami, wyjaśniał nam proces powstawania nowych kontynentów, który jeszcze się nie zakończył.

Nagle redaktor wybuchł śmiechem i przypomniał, jak wędrując przez Brazylię i śpiąc co noc w innym hotelu, pytaliśmy, czy wreszcie dotarł mój bagaż, i słyszeliśmy wciąż tę samą odpowiedź:

- Nie ma.

Organizatorzy przepraszali, a ja wciąż się uśmiechałam:

- Ależ nie ma problemu.

Redaktor przypomniał, że uczestnicy sympozjum, zwłaszcza ci, którzy znali moje zamiłowanie do strojów, nie mogli zrozumieć, że nie denerwowałam się utratą swoich ulubionych ubrań. A przede wszystkim nie narzekałam na brak wygód z powodu braku elementarnych drobiazgów, że nie zrzędziłam: „W co ja mam się ubrać?”.

- Takie rzeczy mówi się przed szafą pełną ubrań, a nie przed reklamówką z całym dobytkiem - wyjaśniałam.

Może dlatego, że w tym klimacie parę bluzek, krótkie i długie spodnie oraz jedna biała cieniutka sukienka - wszystko już brazylijskie - po prostu wystarczały. Ubrania schły, nim zdążyłam wyjąć z wanny. W niektórych hotelach zabierano wieczorem całe moje bogactwo i rano przynoszono mi pięknie uprane i wyprasowane ubranka.

Ale jaka była radość, kiedy już wszyscy spakowani staliśmy w holu hotelu przed odjazdem na lotnisko. Nagle panienka z recepcji radośnie oznajmiła, że właśnie przywieziono moją walizkę. Rzadko można zobaczyć uczonych z całego świata, którzy po prostu nie mogą przestać się śmiać. Gdy nieco się uspokoiiliśmy, rozsądny Holender powiedział z zazdrością:

- Nie musiałaś się zajmować rozpakowywaniem i pakowaniem - tak jak my.

Oczywiście, wywołało to kolejny wybuch śmiechu. Gospodarze z tej okazji uraczyli nas szampanem, aby dobry nastrój utrzymał się aż do powrotu do naszych krajów. Jadąc na lotnisko, byliśmy naprawdę w świetnych humorach, nikt już nikogo nie przeproszał za kłopoty, nikt nie dziękował za szczęśliwe zakończenie i za to, że nie miałam do nikogo pretensji. Na lotnisku w strefie bezcłowej zostałam obsypana prezentami, prawdopodobnie z wdzięczności za to, że nie zepsułam babskimi humorami pięknych wycieczek, a kiedy czegoś mi zabrakło,

od czasu do czasu ktoś pożyczał mi sweter lub pelerynę przeciwdeszczową.

Nagroda za normalność. Perfum, alkoholi i słodczy miałam na kilka miesięcy, a od gospodarzy dostałam komplet płyt z najpiękniejszymi sambami i brazylijską muzyką.

- To było fantastyczne - podsumował nasze wspomnienia redaktor.

Gdy się żegnaliśmy, obiecałam, że dostarczę książkę w terminie.

Brazylijskie sympozjum zapamiętałam dzięki fantastycznym wycieczkom. Gospodarze przemierzali z nami tysiące kilometrów autobusami, samolotami i statkami, lecz sesje były pełne komunikatów, doniesień, brakowało interesujących wystąpień. On podsumował to znakomicie:

- W obliczu wielkiej liczby doniesień naukowych i braku referatów teoretycznych:

Sami donosiciele,
Myślicieli brak.

Niestety, proces ten z czasem tylko postępował. Na sympozjach zaczynały dominować kilkunastominutowe wystąpienia, ograniczanie czasu dyskusji. W nauce nastąpił szum informacyjny. Już nie było wiadomo, co jest nowe, a co setny raz powtarzane po różnych przeróbkach.

Kiedyś Mistrz powiedział, że obecnie do wszystkiego stosuje się statystykę. Niekiedy jest ona niezbędna, jednak dziś każdy może zostać uczonym, bo zawsze da się coś zmierzyć i zważyć, a potem z czymś skorelować. Dołoży się trochę komputerowych bajerów i artykuł gotowy.

Jedni wytyczają nowe ścieżki w nauce, inni je utrwalają, a potem następuje rozdeptywanie ich. Niestety, przy przyzwoleniu większości. Demokracja w nauce niszczy indywidualność. Na szczęście mody mijają i kiedyś wróci normalność, bo nauka wymaga tego, co nasza rodaczka już dawno wiedziała:

Nauczono mnie, że droga wiodąca do postępu nie jest ani szybka, ani prosta.

Maria Skłodowska - Curie

Dobrze, że nie żyła w dobie trzyletnich grantów, w epoce punktów, rankingów, szacowania dorobku naukowego za pomocą urzędniczych miar. Czekam jeszcze na castingi na pracowników

naukowych. Wreszcie byłaby całkowita nowoczesność w nauce - choć myśli brak. Kiedyś wiedziano, czym jest odkrycie naukowe, a co stanowi ewentualnie jego zapowiedź. I nie było lekko. Teraz też nie jest, dlatego ta złota myśl zawsze będzie aktualna.

Mistrz miał rację, gdy powiedział: „Pan Bóg stworzył naukowca, a Diabeł kolegę”. Jest to jedyny zawód twórczy, w którym o losie kolegi decyduje kolega. I to najczęściej ci sami zasiadają w różnych „ciałach decydujących”. Na pewnej konferencji profesor, zasiadający we wszelkich strukturach naukowych, od instytutu do ministerstwa, zirytowany krytyką swego kolegi zawołał: „Mnie pan nie przeskoczy!”. Było to dziwne, bo sam był wybitnym uczonym, a nie przefarbowanym naukowcem. I rzeczywiście, nie przeskoczył, jego odwołanie z niższej instytucji szło do wyższej i wciąż trafiało na różne biurka, ale zawsze na tego samego „przedstawiciela naukowców”.

Pisarz i poeta mają czytelników, aktor widzów, muzycy słuchaczy i profesjonalnych krytyków, a my jesteśmy swoimi czytelnikami i krytykami. Co więcej, decydujemy wzajemnie o programach badawczych, publikacjach i stopniach naukowych kolegów. W takiej sytuacji można liczyć tylko na obiektywizm i uczciwość, na to, że nie będziemy ofiarami zazdrości czy złośliwości. Zbyt wiele jak na zawód, w który wpisana jest konkurencja. A jednak w życiu naukowym, o dziwo, spotykamy więcej tej rzetelnej konkurencji niż przysłowiowego „psa ogrodnika”, choć nieobcy jest nam „polski kociołek”, choćby taki jak ten, kiedy po ukazaniu się polskiego podręcznika i książki popularnonaukowej „Mędrzec Wszelkich Komisji” obwieścił, że tylko Anglosasi potrafią pisać książki, dlatego był przeciwny wydawaniu naszych autorów. Wydawnictwo naukowe dysponujące wieloma recenzentami nie przejęło się jego opinią, tym bardziej że od nauki odszedł od razu po habilitacji i był autorem niewielu publikacji. Nie stanowił wielkiego autorytetu naukowego.

W rankingach studentów i wykładowców książki te długo utrzymywały się na pierwszych miejscach. Ignorancja zasłużeń poniosła klęskę. To nie znaczy, że „szkodnictwo naukowe” stało się temu panu obce - dla lepszej skuteczności dobrał sobie koleżankę, też „wszystkowiedzącą”. Raz po raz udawało im się coś wspólnie uziemić, choć nie na długo. Ona przynajmniej miała swoją wielką chwilę w nauce, którą lekkomyślnie zmarnowała po habilitacji, wybierając władzę od dyrektora do ministra. Teraz resztki swoich

wpływów wykorzystuje na działalność „wokół nauki”. Jednych obdarowuje swoją łaskawością, a innym odbiera to, co im się należało. Ma przy tym świadomość, że nawet najbardziej zasłużony „jej nie przeskoczy”.

Ale koniec jałowych rozważań. Czas wziąć się do pracy nad książką. Obecnie są dla nas otwarte wydawnictwa zagraniczne i nie zawsze jesteśmy uzależnieni od lokalnej konkurencji.

Po wizycie redaktora poczułam, że nastąpił we mnie przełom, że znowu mogę intensywnie pracować. Wieczorem zadzwoniłam do Tiny, aby wreszcie z kimś pogadać. O Gitarzyście nie wspomniałam, ale powiedziałam jej o naukowych planach. Ucieszyła się. Dlaczego ją okłamałam?

- Różyczko, wreszcie... Jutro pójdę do księdza Macieja, będę jakiś czas w Warszawie. Przyjedź jak najszybciej. Musimy odwiedzić go razem. Teraz nas potrzebuje.

- Czyżby miał migrenę? - próbowałam żartem przypomnieć, ile razy byłam ratowana przed tą straszną dla mnie chorobą.

- Gorzej, moja droga, gorzej.

- Mam wyrzuty sumienia, że tak wszystkich zaniedbałam - zaczęłam się tłumaczyć.

- Nie gadaj głupstw.

Znowu wraz z Tiną, Wojtkiem i Jankiem, który mógł wreszcie swobodnie przyjeżdżać do Polski, poszliśmy do opery. Tym razem byliśmy bardziej przejęci niż zwykle, bo mieliśmy zobaczyć balet Borisa Ejfmana *Misterium Życia i Śmierci* do muzyki Czajkowskiego. Kiedyś Janek próbował opracować baletową wersję biografii Czajkowskiego. Była udana, ale nie aż tak jak ta, którą teraz widzieliśmy w Teatrze Wielkim w Warszawie. Cudowna choreografia, wybitni tancerze, zwłaszcza Siergiej Basałajew i Jurij Smiełakow. Aż dech zapierało w piersiach. Wszystko, co czuliśmy, zawiera motto wypisane na programie:

Czyż to nie okrutna ironia, że tyle cierpienia i udręki obdarzyło nas tak cudowną muzyką? Władimir Aszkenazi

Janek przeżywał to zarówno jako choreograf, doceniając, że ten balet jest wybitny, jak i człowiek, który wciąż przeżywa swoją „inność”. Zналиśmy jego rozterki, zawody i bóle homoseksualisty. Tańca nawet nie próbowaliśmy opisać, Janek również - tancerze przekroczyli wszystkie granice elastyczności, siły i lekkości ciała. A

układy taneczne były tak oryginalne, że można tylko powiedzieć, że to obraz muzyki i wdzięku.

Wracaliśmy w milczeniu. Wciąż przeżywaliśmy spektakl.

Nazajutrz byłam już w pracy, nadal wypełniona muzyką i tańcem. Pięknem. Dzięki temu zawsze łatwiej znosiłam atmosferę Osady. Dlaczego po tylu latach nie mogłam powiedzieć: „Wracam do mojej Osady”? Wciąż byłam tam obca, a może tylko ja tak czuję... I wciąż do niej wracałam. Przypadek dla psychologa. Babcia Miriam powiedziałaaby, że słowa dotrzymuje się nie tylko wtedy, kiedy jest łatwo.

- Zobowiązałaś się, choć byłaś ostrzegana, że tak właśnie będzie. Jesteś zakładnikiem swego wyboru. Trwaj.

On stał nad umową, którą zostawiłam na stole. Nie złościł się jak wtedy, kiedy dostałam pierwszą propozycję wydania mojej książki od angielskiego redaktora. Za to westchnął:

- No widzisz, a mnie już od dawna nikt nie poprosił, żebym coś wydał.

- Wydałeś ich kilka - przypominam mu.

Zamiast odpowiedzieć, zostawił na umowie karteczkę z fraszką:

Wydaj więc to dzieło,

Jak możesz najprędzej.

Zarobisz na sławę

Przy tej sławnej księdze.

Zmartwiłam się. Gdyby był zdrowy, zareagowałby zupełnie inaczej: pretensjami albo awanturą lub żartem, a teraz było mu przykro, że jemu nie zaproponowano, ale też nie za bardzo.

Poszłam do jego pracowni. Znowu siedział nad pustą kartką. On, któremu słowa żwawo płynęły spod pióra. Komputera nie używał, twierdząc, że skupianie się na technice niszczy styl. Na pewno miał rację. Ja też najpierw przygotowywałam rękopis, a potem dopiero wpisywałam tekst do komputera i poprawiałam.

Było mi go żal, więc powiedziałam:

- Wiesz, moja dziedzina nagle stała się modna, zapewne stąd ta propozycja i pośpiech, wydawca chce zarobić, a więc książka musi się ukazać w najlepszym okresie, to jest w czasie międzynarodowego sympozjum, które odbędzie się w przyszłym roku na Teneryfie - wyrzuciłam z siebie jednym tchem, jakbym chciała się usprawiedliwić. Sama nie wiem dlaczego.

- Widziałaś, że ostatnio nie udało mi skończyć nawet artykułu...
O książce mogę tylko pomarzyć.

Nie mogłam uwierzyć, że słyszę te słowa.

- Jesteś zmęczony. W naszym zawodzie zdarza się, że stajemy przed ścianą. Potrzebny ci wypoczynek. Ja też odłożyłam pracę nad książką prawie na dwa lata, a teraz ją kontynuuję. To się zdarza.

- A pojedziesz ze mną do Turcji? Potrzebuję trochę słońca.

Chciałam odpowiedzieć, że mam tylko trzy miesiące na ukończenie książki, ale kiedy spojrzałam na niego, a wyglądał na ciężko chorego, choć miał podręcznikowe wyniki, odruchowo powiedziałam, że dwa tygodnie mogłabym jakoś wykroić z tych potrzebnych mi trzech miesięcy.

- To pojedziemy w przyszłym tygodniu.

- Może być.

Stojąc w drzwiach, jeszcze dodał:

- Jak cię znam, będziesz pisać w samolocie. Ruch, zmiana mobilizują twoje szare komórki.

To prawda. Gdy czasem utknęłam przy pisaniu lub rozwiązywaniu problemów, wsiadałam na rower, przejeżdżałam przynajmniej pięć kilometrów, a jak był kryzys szarych komórek, to i dziesięć. Wracałam pełna sił twórczych, a zwłaszcza entuzjazmu. Samolot, który wielu ludzi paraliżował, na mnie działał inspirująco. W czasie lotu do Pekinu, kiedy większość pasażerów z niepokojem śledziła na mapie ekranu, ile jeszcze pozostało drogi, zrobiłam korektę monografii, poprawiłam ryciny i wymyśliłam nowe. Dopiero komunikat, że przymusowo lądujemy na wojskowym lotnisku, ale nie w Pekinie, nad którym stoi mgła, oderwał mnie od pracy. W Paryżu, gdy na lotnisku trwał dwunastogodzinny strajk, przy akompaniamencie trąbek i fujarek zrobiłam korektę artykułu, który miałam publikować we Francji. Tym razem w samolocie spałam, nie pracowałam.

Jeszcze powiadomiłam Gitarzystę, że wyjeżdżam do Turcji, więc nie będzie mnie jakiś czas. Wytłumaczyłam mu, dlaczego zdecydowałam się na tę wycieczkę.

- Nie rozumiem. Wspierasz go, bo zabierają mu jego zabawkę i już nie będzie mógł rządzić, ale pozostawiają mu pracę, której wciąż chciał cię pozbawić lub utrudnić ci wykonywanie jej. Gdzie był, kiedy walczyłaś o życie, i to trzykrotnie? Nie pamiętasz już, jakimi

metodami usiłowałaś zaistnieć w nauce? Akurat ja powinienem mu być wdzięczny, bo dzięki niemu byłem z tobą „na wyspach szczęśliwych”.

- Nie umiem ci tego wytłumaczyć, ale wiem, że powinnam tak postąpić. Bo jego największym błędem było wybranie niewłaściwej dziewczyny na żonę. Miał w głowie model poznańskiej żony - kuchnia, dzieci i praca na rzecz męża. Tym bardziej że w Osadzie była taka żona, która swoje zdolności i inteligencję lokowała w pracy męża. Była sekretarką, kucharką i prowadziła całą logistykę pracy profesora.

- Ale przecież znał cię na studiach i wiedział, jak jesteś zaangażowana w naukę, jak oceniali cię profesorowie. Poza tym zostałaś wychowana w duchu wolnościowym. Czy on tego nie rozumiał?

- Wiesz, że w życiu nic nie jest czarno - białe. Między nami jest wiele odcieni szarości.

Czas na dobry uczynek

Niebawem mieliśmy ruszyć po natchnienie i upragniony wypoczynek. Jeszcze jeden dzień w Warszawie. On miał jakieś sprawy na uniwersytecie, a ja i Tina pojechałyśmy do księdza Macieja. Kiedy widziałam go ostatni raz, miał bujną czarną czuprynę i tylko siwe skronie, Teraz czupryna była srebrzysta, choć wciąż bujna, tylko z wyższym czołem. Pokazywał nam swój ogród, w którym oprócz kwiatów pojawiły się zioła.

- Jak wrócisz z podróży, dostaniesz ode mnie kosz z doniczkami rozmarynu, mięty i bazylii. Zabierzesz do Osady - nawet ten zacny człowiek nie mówił „do domu” - żeby twoje włoskie potrawy były smaczniejsze.

Tina roześmiała się. Wiedziała, że wchodzę do kuchni tylko wtedy, kiedy muszę.

Lecieliśmy nad południowe wybrzeże Turcji. Cel - Antalya. Po krótkim wypoczynku zamierzaliśmy zwiedzać. Miałam nadzieję, że On odzyska kondycję, entuzjazm i przygotowuje referat na sympozjum, które odbędzie się na Teneryfie, gdzie będzie sprzedawana moja książka. Cieszyłam się, że jego praca Czas i przestrzeń została wybrana do wygłoszenia na sesji plenarnej, która gromadzi kilkuset uczonych z różnych dziedzin, a dwa lub trzy referaty mają zawsze charakter interdyscyplinarny. Już w Chinach gromadził materiały do artykułu pod tym tytułem, patrząc na góry i lasy po horyzont z Wielkiego Muru Chińskiego. Interesował się paleobiologią, archeologią, światem roślin. Kiedy zbuduje z tych informacji syntezę, będzie czego posłuchać.

Rozpoczęliśmy od Pamukkale. To miejsce, które musiało poruszyć jego wyobraźnię - krajobraz z innej planety. Ciepłe wapienne wody z górskich źródeł spływając po zboczach, pozostawiły na nich osady przybierające fantazyjne kształty kaskad, które wyglądały, jakby zostały wyrzeźbione w lodzie. Ale to było dzieło przyrody.

On wynajął przewodnika - specjalistę. Chciał poznać historię, procesy, które ukształtowały to niepowtarzalne miejsce. Było tam wszystko, co go interesowało: czas, przestrzeń, historia i siły natury. Ja zostałam. Usiadłam na skarpie. Moczyłam nogi w źródle i napawałam się pięknym widokiem. On ruszył w poszukiwaniu wiedzy. A ja - spokoju.

Wieczorem przez trzy godziny nie odrywał się od pisania, więc kryzys został pokonany. A przed nami była jeszcze Kapadocja - kolejny cud natury. Niezwykły krajobraz powstał z miękkiej porowatej skały utworzonej z pyłów wulkanicznych, a z czasem uformowały się skalne kominy, grzyby, stożki, strzeliste kolumny. W czasie wojen i zagrożeń ludność przez wieki chowała się w domach wydrążonych w miękkich skałach. Teraz one, upstrzone licznymi „okienkami” i wnękami, wyglądały jak teatralna dekoracja. On był zachwycony. Synteza z materiałów, który zebrał w Chinach, Brazylii i Syberii, na pewno będzie znakomita. Wróciliśmy wypoczęci i pełni inspiracji do pracy.

Po niedzielnym wypoczynku od razu ruszyliśmy do swoich pracowni. Nie wiem, kiedy minęły dwa miesiące i postawiłam ostatnią kropkę. Przesłałam książkę na komputer sekretarki - asystentki, która miała uszlachetnić tekst; robiła to jak nikt inny. Z informatykiem uporządkowaliśmy ryciny i fotografie, ponumerowaliśmy je i wymyśliliśmy zwięzłe podpisy. Język angielski jest wymarzony do zawierania w krótkiej formie pełnych i satysfakcjonujących objaśnień. Jeszcze redaktor - Anglik - zadbał o to, żeby to nie był „słowiański angielski”, i ruszyłam w drogę.

I znowu Londyn i nowa książka

Przywiozłam do wydawnictwa książkę w terminie, jak zawsze, ale w Wielkiej Brytanii ma to szczególne znaczenie: tam nie mają dobrego zdania o naszej słowiańskiej słowności, a raczej o jej braku, choć ostatnio to się zmienia - na korzyść.

Spotkałam się z moimi kolegami. Poszliśmy do irlandzkiego pubu, żeby posłuchać mojej ulubionej muzyki. Oczywiście, były toasty za powodzenie książki i za mnie, żebym wciąż miała tyle radości i entuzjazmu oraz siłę na zmaganie się z nowymi metodami. Przede wszystkim wszyscy byli pełni podziwu, że udało mi się przekonać biologów molekularnych do interdyscyplinarnych badań, dzięki czemu docenili oni badania „powyżej genu”.

- Nie uwierzcie, czym ich zainteresowałam, a właściwie ubawiłam: tym, że oni za pomocą DNA potwierdzają ojcostwo, a mnie jest potrzebne potwierdzenie macierzyństwa u roślin. Inaczej rzecz ujmując: chcę wiedzieć, która roślina przynależy do konkretnego macierzystego organizmu. Potem już współpraca przebiegła gładko, bo wiedziałam, czego chcę. Mapami genotypów roślin byli bardziej zachwyceni niż ja.

Nazajutrz poszliśmy do opery na Spartakusa. Został wystawiony w interesujący sposób, lecz choreografia nie była tak oryginalna jak ta, którą przygotował w paryskiej operze Janek. Jest genialny w męskich baletach.

Wróciłam do Osady, oczywiście, via ksiądz Maciej. Byłam zadowolona, lecz bardzo, bardzo zmęczona. Żaliłam się tylko jemu, innym nieustannie mówiłam, że jest OK.

- No cóż, Różyczko, starzejemy się, więc lepiej odpowiednio gospodaruj swoimi zapasami energii, bo profesorowie idą na emeryturę w wieku siedemdziesięciu lat. Jeszcze popracujesz. Choć jak cię znam, i tak nie przestaniesz, dopóki będziesz miała pomysły.

Ostatnio bardzo uważnie mnie obserwował. Wiedziałałam, że się niepokoju. Dlaczego pierwszy raz nie byłam szczerą? Do tej pory mówiłam mu zawsze wszystko jak na spowiedzi. Jednak sam się zdradził, co go gnębi, gdy zapytał:

- Czy pamiętasz jeszcze o Gadze, a może o kimś innym bardziej...?

- Kiedy zaginął mój bagaż w Brazylii i koledzy współczuli mi straty, mówiłam z uśmiechem: „Ale nie straciłam wszystkiego”.

Miałam na szyi łańcuszek z czteroramiennym krzyżem, pięknie grawerowanym. Na odwrocie litery naszych imion były splecione, stanowiąc ornament. Tylko my wiedzieliśmy, że to R i G. Kiedy spacerując po kamienistych uliczkach Jerozolimy, zobaczyliśmy na wystawie to jubilerskie cudo, od razu znalazło się tam, gdzie było jego miejsce. Gaga zapinając łańcuszek, powiedział: „Nigdy go nie zdejmuj. Przyrzeknij”. To było tak niedawno. Nie zdejmowałam łańcuszka, nawet jeśli nie pasował do innej biżuterii, do której miałam i mam słabość. Tak jest do dzisiaj.

Podobnie jak z bransoletką mieniającą się zielenią. „Jak twoje oczy” - mówił, gdy prosił: „Noś ją zawsze”. Noszę, mój drogi. Noszę.

Opowiadając o tym zdarzeniu, czułam się zagubiona. Ksiądz przywołał mądrość z książki Na Nowe tysiąclecie, mojej ukochanej:

Życie stawia przed tobą
Wymagania na miarę sił,
które posiada.

Możliwy jest tylko jeden
Bohaterski czyn: nie uciec.

Dopowiedziałam dalszy ciąg tej sentencji:

- „Najlepszym wyjściem z każdej sytuacji jest poradzenie sobie z nią”.

- Rózo, osiągnęłaś w tej dziedzinie mistrzostwo - skomentował. - Pomodlę się o twój spokój.

Jeszcze nie wiedziałam, że życie postawi przede mną kolejny bieg z przeszkodami, niewyobrażalny. Moi przyjaciele wierzyli, że już nic złego nie może mnie spotkać, przecież odkąd skończyłam osiemnaście lat, wciąż byłam w sytuacjach wyjątkowych, raz szczęśliwych, raz dramatycznych.

Wzmocniona rozmową z księdzem Maciejem, mogłam przystąpić do spełnienia bardzo przykrego obowiązku: napisania negatywnej recenzji rozprawy habilitacyjnej mojej wychowanki. Byłam promotorem jej pracy doktorskiej, zresztą świetnej. Teraz wskutek wprowadzenia do oceny naukowców wielu niezrozumiałych punktów i wskaźników musiałam podliczać publikacje, cytowania itd., choć byłam przekonana, że autorka pracy byłaby świetnym naukowcem. Podsumowując: wychodzi na to, że jeszcze trzeba uzupełnić dorobek naukowy. W Centralnej Komisji Klasyfikacyjnej dziewczyna nie miałaby szans. Wybrałam mniejsze zło i zatrzymałam przebieg

przewodu na poziomie instytutu; wiedziałam, że za kilka lat będzie to znakomita habilitacja. I tak się stało. Cierpiałam nieprawdopodobnie, pisząc wówczas tę recenzję. Zdawałam sobie sprawę, jaki to będzie cios dla wrażliwego i zdolnego naukowca. Jednak w tym zawodzie jeszcze niejednokrotnie spotka się z ocenami, które będą bolały, a więc postąpiłam w myśl zasady: „Co nas nie zabije, to nas wzmocni”. Czasem trudno pogodzić etykę zawodową z tym, że z drugiej strony jest człowiek, którego się lubi. Raz już przy ocenie kierowałam się sercem i to się bardzo źle skończyło dla habilitantki. A ja nie mogłam się pozbierać przez kilka miesięcy.

Pamiętam, jak przygotowany przeze mnie pierwszy podręcznik recenzował mój serdeczny przyjaciel, mądry, mający szerokie horyzonty naukowe i głęboką wiedzę. Recenzja, kilkustronicowa, była krytyczna. Wytykano mi w niej błędy i nieścisłości. Recenzent mógł być anonimowy, ale to nie ta klasa uczonego. Przesłał mi kartkę, że niestety musiał być tak krytyczny, bo to przecież podręcznik. Przeprosił mnie za tę przykrość, bo czekało mnie jeszcze dużo pracy. Od razu zatelefonowałam z podziękowaniami i wyrazami wdzięczności, że ustrzegł mnie przed kompromitacją. Powiedziałam, że jeśli nie wierzy, to publicznie pocałuję go w rękę. Wiedziałam, że ten telefon przyniósł mu ogromną ulgę. Ustaliliśmy, że wystarczy pocałunek w policzek.

Wtedy zrozumiałam, na czym polega prawdziwa pomoc w naszej pracy. Tego się trzymam.

Jeśli my
Nie będziemy
Pomagać innym,
To kto nam pomoże?

Jeszcze nie miałam pojęcia, że niebawem będę bardzo potrzebowała pomocy innych. Nie wiem, czy uczyniłam coś dobrego dla ludzi. Prawdopodobnie tak, bo dobro pomnożone powróciło do mnie w odpowiednim momencie.

Jeśli dajesz, to z serca. Obdarowany zwróci w dwójnasób Borys
Russko

Smak sukcesu

Nadszedł czas wyjazdu na symposium na Teneryfie, które miało się odbyć w mieście La Laguna. Prosto z lotniska w Santa Cruz pojechaliśmy do Centrum Konferencyjnego. Moja książka była już w sprzedaży. Koledzy powitali mnie tą wiadomością. Ci, którzy ją nabyli, poprosili o dedykację. Było miło.

On poszedł się skupić, ponieważ jego referat miał zostać wygłoszony jako pierwszy następnego dnia. To duże wyróżnienie. Kilkaset osób słuchało go z zainteresowaniem, a ja oprócz słów widziałam to, co było źródłem inspiracji - złote piaski Sahary po horyzont, pilnujące czasu piramidy i Sfinks, niezwykle formy w Pamukkale i Kapadocji, kształtowane przez czas, a przede wszystkim krajobrazy górskie, leśne w Brazylii i Chinach, nasycone wielowiekową historią. Wszystko, co podziwiał, przeżył i przemyślał podczas nieprzespanych nocy, zamknął w niepowtarzalnej syntezie Czas i przestrzeń. Były w niej: świat przyrody, geologiczne procesy i wielowiekowa działalność człowieka. Referat został znakomicie przyjęty. Potem w dyskusji generalnej wiele osób odwoływało się do treści tej pracy. On dostał propozycję przygotowania książki pod takim samym tytułem.

Do mojego notatnika wpisał fraszkę:

Jeśli komu zazdroścę
Sławy, skarbu i oręża,
To chyba własnej żonie,
Że ma takiego męża.

Podczas sympozjalnych wycieczek odbyliśmy podróż od Santa Cruz do Candelarii. Wędrowaliśmy po rozległych przestrzeniach wypełnionych zastygłą magmą. Wyglądały, jakby zostały zalane asfaltem ukształtowanym w różnorodne formy przez wodę, wiatr i słońce - i przez wieki. Zdumiewające były te szybko zmieniające się sekwencje w krajobrazie: złociste plaże, góry pokryte lasem, skały bez roślinności i zastygła magma po horyzont. Ten krajobraz był suplementem do jego referatu.

Wróciliśmy do Osady. Miałam nadzieje, że wszystko będzie dobrze. Poszło lepiej, niż myślałam. Chyba pokonał jakąś chorobę, choć wyniki nie wskazywały na to, żeby cierpiał na jakąkolwiek. A jednak na stole znalazłam fraszkę:

Mam własny interes,

Powód: przyczynę,
By wierzyć, że w porę
Śmierci się wywinę!

Wreszcie odkryłam powód tej nieustającej zapaści. Nie zabrał się do przygotowywania książki, nawet referatu do sympozjalnego tomu. Wrócił do siedzenia przed pustą kartką i krążenia nocą po domu, czasem po ogrodzie. Dwa zdarzenia uświadomiły mi, jak stres może powoli i boleśnie zabijać człowieka.

Koledzy przygotowali specjalną książkę z okazji zbliżającej się siedemdziesiątej rocznicy jego urodzin. Bardzo się zdenerwował i poprosił mnie, żebym zadzwoniła do redaktora. Miałam nakłonić go, żeby napisano, że to jubileusz czterdziestopięciolecia pracy. Najpierw byłam rozbawiona, tym bardziej że w naszym zawodzie można pracować na emeryturze, jeśli tylko ma się siłę i ochotę. On jednak nie żartował. Zainterweniowałam. Koledzy też się dziwili, ale spełnili to życzenie. To, co sprawiało wrażenie próżności, tak naprawdę było rozpaczą - niepojętą u człowieka sukcesu. Na jego stole znalazłam fraszkę:

Nie tylko ja się starzeje,
Ale i moje nogi, oczy, serce.
Dobrze im tak, skoro nie
Chcą mi służyć.

A jeszcze niedawno, kiedy któryś z naszych kolegów przechwalał się swoim powodzeniem u studentek i młodych asystentek, On napisał fraszkę:

Żeby nie brzuszek
I łysina,
Niejedna chciałaby
Nas dziewczyna.

Nie doczekał jubileuszu, a przede wszystkim tego, że musiał oddać dzieło swego życia - instytut - w inne ręce. Po nerwowej, zbyt emocjonalnej rozmowie z rektorem i dziekanem, upominającej, aby pośpieszył się z wyznaczeniem następcy i przekazaniem mu instytutu, bo zostało mu niewiele czasu - jak się okazało, były to prorocze słowa - załamał się. Warto by choć czasem pamiętać ważne słowa księdza Twardowskiego: „Spieszcie się kochać ludzi, bo tak szybko odchodzą”. Potem przygnębiony i bezgranicznie smutny siedział i już nic go nie interesowało. A jeszcze tyle zostało do zrobienia.

Chcieli zabrać mu jego ukochane dziecko - instytut. Reszta nie miała znaczenia.

Nieoczekiwane odejście

Być to za ledwie istnieć, o wiele za mało, by żyć. Borys Russko

Już w domu przy herbacie, którą przygotowywał znakomicie, żalił się:

- Jakże to niesprawiedliwe.

Z dnia na dzień jego przygnębienie pogłębiało się. Nie spał, nie porządkował wyników swoich badań, które mógłby opracować na emeryturze. Nie przygotowywał się do przekazania instytutu. Stracił zainteresowanie pracą i życiem. Nie pomagały roztaczane przede mną wspaniałe perspektywy, że teraz będzie wolny, nie będą go obciążały prace administracyjne ani przeciekający dach, a więc skupi się na tym, co najbardziej lubi - nauce. Jednak nie ma organizmu, który mógłby wytrzymać całodobowy, permanentny stres. Po prostu pękło mu serce. Odszedł inaczej, niż żył: nie oczekiwał niczego od nikogo, nie pożegnał się z nikim, odwrócił się do ściany i zasnął. Nie chciał się obudzić - mimo wielu starań medycyny.

Odszedł, nikogo nie absorbując, lecz wszyscy przyjaciele, koledzy i uczniowie przyjechali z całej Polski, żeby go pożegnać. Były słowa uznania, wdzięczności i żalu, płynące od uczonych wielu znakomitych uczelni, lecz nie od przełożonych jego własnej, w której przepracował czterdzieści pięć lat. Instytut, który stworzył, był znany nie tylko w kraju. Jako jedyny na wydziale miał doktorat honoris causa. Jego przełożony nie wiedząc czemu wypomniął przy trumnie, że nie był absolwentem uczelni, w której przepracował przez całe życie.

Później odsłonięto kilka tablic pamiątkowych, napisano wiele pożegnalnych artykułów, lecz gdy przyszło do nazwania jego imieniem instytutu - wszyscy byli przekonani, że zasłużenie - życzliwa koleżanka wystąpiła z obawami o rzekomych przykrościach, jakich doświadczy z tego powodu jego mistrz. Mimo że sam wielokrotnie publicznie oświadczał, kto stworzył tę wspaniałą instytucję, a jego największym sukcesem jest właśnie ten uczeń. Wszędzie to powtarzał. Tak wzruszająco zwierzał się, gdy go żegnał, że to takie niesprawiedliwe, kiedy nauczyciel przeżywa swego ucznia. Dlaczego więc jedna insynuacja wstrzymała ten proces? Któż

odgadnie przyczyny małostkowości w głowie uczonych, nawet wobec Wielkich Nieobecnych...

Część trzecia
W życiu - jedno słońce, a tyle cieni.
Borys Russko

Pożegnanie Osady

Przekręciłam klucz w drzwiach. Ten dźwięk wracał później często, zbyt często, w różnych okolicznościach. Zostawiłam wszystko - oprócz nagrań oper z teatrów całego świata, płyt z ulubionymi wykonawcami i książek, niestety, tylko tych ulubionych. Wielkość kawalerki na Żoliborzu zdecydowała o moich wyborach.

Nim opuściłam Osadę, jeszcze raz usiadłam przy stole w swojej, lecz już nie mojej pracowni. Popatrzyłam na pudła z artykułami przysyłanymi z całego świata, kiedy jeszcze nie było internetu, obeszałam szklarnie i ogród. Ileż razy nie mogąc sobie poradzić z problemami albo ze zmęczeniem przy kończeniu książki lub korekty, a termin był na wczoraj, okrążałam ogród z kotkiem Kacperkiem, który szedł przy nodze jak piesek, budząc podziw. Kiedy jedno okrążenie nie przynosiło ulgi, powtarzałam je jeszcze raz, a wtedy Kacperek buntował się: siadając pośrodku ścieżki, zadzierał głowę i patrzył mi w oczy. Oznaczało to, że mam go wziąć na ręce, bo dalej nie pójdzie. Kontynuowaliśmy spacer. Kacper wygodnie układał się na moim ramieniu, a ja kończyłam drugą rundę, zwaną Wielkim Darwinem - na pamiątkę opisanych spacerów Uczonego po jego ogrodzie.

Po wysłuchaniu moich rozterek Kacper wyciągał się na biurku na rozrzuconych papierach i książkach. Bardzo zadowolony czyścił futerko. Jako tantiemy od wspólnie przygotowanych książek otrzymywał wyrafinowane smakołyki i stałe miejsce na biurku lub na kolanach, kiedy czytałam. Po wspólnych spacerach wracałam z ochotą do pracy i znowu udawało się coś zakończyć. Czasem mówiono:

- Róża kończy książkę i wykańcza siebie.

To fakt. Tylko spacer z Kacperkiem i wycieczki na rowerze do lasu pomagały mi kończyć prace, oddawać je do druku, najczęściej w terminie, i przeżyć.

Otworzyłam pocztę i przeczytałam e - maile od przyjaciół, a także od Gitarzysty. Zapewniał, że mogę na niego liczyć. Rozumiał, że nie miałam ochoty na rozmowy, ale nie wolno mi odgradzać się od przyjaciół. Mógł mi towarzyszyć w spacerach zamiast Kacperka. Też nic by nie mówił, ale nie musiałabym nosić go na rękach, bo nie miał natury kota. Wiedziałam, że próbował wywołać uśmiech na mojej twarzy. Czułam, że mimo wszystko rozstanie z Osadą nie będzie łatwe, wręcz niemożliwe. Obiecałam wszystkim, że zadzwonię, gdy

już zamieszkałam w Warszawie, jednak drogę do niej musiałam przejść sama. Obiecałam sobie, że dam radę. To nie sprawa ambicji, lecz wewnętrzny imperatyw.

Nadzieja nawet złudna, jest świtem w mrocznej nocy Nikos Chadzinikolau

Przesłałam mu tę myśl. Odpowiedział:

- Chyba znowu zacznę pisać piosenki.
- Życzę ci tego z całego serca.
- Ty pierwsza je usłyszysz.
- Będę czekać.

Wymieniliśmy zwykłe zdania, ale to mi pomogło. Może to uratuje mnie przed trzecim zawałem, kiedy ostatni raz spojrzę na bibliotekę i pracownię.

Zostawiłam tam czterdzieści lat swojego życia, nie wiem, czy udanego. Dawniej wiedziałam, a teraz rodziły się wątpliwości, choć na pewno było bogate, barwne, i radosne, a czasem nieszczęśliwe, i to bardzo. Ratunkiem były podróże. Dzięki nim zostawiałam problemy w Osadzie. Po przekroczeniu jej granic byłam wolna i twórcza. Wychodziłam z zamkniętej windy na wolną przestrzeń. Byłam naprawdę nieszczęśliwa, niespełniona, a uznanie mojej pracy naukowej, liczne nagrody, półka z moimi książkami nie zdołały zapełnić pustki, jaka była po tym, co mi zabrano lub czego sama się wyrzekłam. Przetrwałam dzięki księdzu Maciejowi. On jeden potrafił zawsze dać mi nadzieję, że każde życie ma sens, a wszystko, co się w nim dzieje, nie zdarza się bez przyczyny. Tego się trzymałam.

Wsiadłam do samochodu z ułamkiem mojego dobytku. Odjechałam, nie odwróciwszy się.

Nie wiem, ile razy pokonywałam tę drogę z Osady do Warszawy. Na pewno wystarczająco dużo, aby okrążyć kulę ziemską, a przecież kiedyś miałam takie marzenie. Ileż razy zadawałam sobie pytanie, dlaczego wciąż do niej wracam. Nie znam odpowiedzi. Tak jak alkoholik albo narkoman też nie wie, dlaczego bierze. Bo tak.

Ale ta podróż była ostatnia. Powrotów nie będzie.

Wyjechałam z poczuciem krzywdy, choć nie wiem dlaczego. Na pewno tam nie wrócę.

Tina powiedziała przez telefon:

- Rózo, jak to możliwe, że w ciągu paru miesięcy straciłaś mieszkanie, pracownię, bibliotekę i swoje materiały, dorobek

czterdziestu lat? To się zdarza w czasie wojny, ale nie teraz. Tyle razy byłaś nagradzana, wyróżniana... Ile pokoleń studentów wychowało się na twoich podręcznikach, w ilu uczelniach są twoi wychowankowie? I to nic nie znaczy? Nie wierzę.

- Znaczy, znaczy, mój droga, tylko dla zupełnie innych ludzi, tych z pasją. Nie dla tych, którzy są chorzy na władzę i nie mogą znieść, że można zajmować się tylko nauką, więc trzeba pomniejszyć efekty ich pracy i dowartościować się kosztem innych. Teraz patrzą z satysfakcją na ten finał, a niektórzy nawet nie ukrywają, że czekali na to z niecierpliwością. „No proszę, kobieta sukcesu. I co? Ile ma łącznie książek w swoim dorobku, ile zagranicznych wyróżnień, a ile na koncie?” - ironizują. Oni to przewidzieli, lecz raczej oczekiwali na widowisko, kiedy On odda swoje dzieło w inne ręce i odjedzie zrozpaczony, bo pokonany. Nikomu nie zaświtała myśl, że On by tego nie przeżył, przecież sama myśl o tym zabiła go. To takie niewspółczesne - bo praca to po prostu praca. Ilu jego przełożonych choć przez chwilę pomyślało, że dla niego to było życie? Są usprawiedliwieni, bo przecież dawali mu tyle dobrych rad, choć nie do zrealizowania w Osadzie. Niewielu rozumiało specyfikę pracy na ścianie wschodniej, chyba tylko ci, którzy po roku od razu uciekli albo przeżyli tu całe naukowe życie.

...Pukam do drzwi kamienia

- To ja, wpuść mnie.

Nie szukam w tobie przytułku na wieczność.

Nie jestem nieszczęśliwa.

Nie jestem bezdomna.

Mój świat jest wart powrotu.

Wejdę i wyjdę z pustymi rękami....

Wisława Szymborska

- On i ja nie pracowaliśmy dla stanowisk i wielkich pieniędzy, lecz dla przyjemności. W myśl zasady: „Jeśli nie chcesz pracować, wybierz sobie zawód, który lubisz”. To było niewybaczalne dla tych, którzy w czasie naszych zmagania na głębokiej prowincji, przy niskich nakładach na naukę i pensjach w najlepszym przypadku blisko średniej, urządzali się w „ciałach decyzyjnych”. I to oni rozdzielają teraz fundusze, etaty i przywileje, choć już nikt nie pamięta, kiedy byli badaczami i publikowali prace naukowe. Koledzy żartują: „Mogą więc być obiektywni, ponieważ w nauce następuje niewyobrażalny

postęp, a więc ci z lamusa są »najlepsi«, bo decydują według swoich kryteriów, nie muszą zapoznawać się z nowymi problemami i nowoczesnymi metodami i rozumieć »coś, co jest nie do ogarnięcia«. Wiedzą swoje". Niestety, kolejne reformy nauki bardziej sprzyjają tym zaradnym o własne sprawy niż tym, którzy pracują dla ogółu - nauki. Jednak są jeszcze hobbyści. Mój Mistrz zawsze twierdził, że nauka to hobby, tyle że opłacane, choć marnie. To stało się polską tradycją, więc nie wiem, skąd to zdziwienie władz, że Uniwersytet Jagielloński i Warszawski w rankingach światowych uczelni są blisko pięćsetnego miejsca, choć pracuje w nich wiele indywidualności naukowych. Niestety, nie umiemy grać do jednej bramki, niezależnie od sympatii i antypatii.

Wszystko to wyjaśniałam Tinie, ponieważ jak sama twierdziła, w jej pracy - dyplomatką, attache kulturalnego, zasługi z reguły były doceniane za pomocą przywilejów i pieniędzy, zwłaszcza w okresie przechodzenia na emeryturę. Taka sytuacja w moim zawodzie jest w ogóle niemożliwa. „Swojemu nie daliby zrobić krzywdy, nawet gdyby go nie lubili.

- Tino, ktoś inny pisał scenariusz na moje życie. Ja będę go realizować. Takiego zakończenia - że nie przesadza się starych drzew - jego autor nie przewidział.

- Teraz to już była moja prywatna sprawa, byłam niczyja, ponosiłam konsekwencje swoich wyborów, mogłam się dorabiać, a nie realizować pasje naukowe i podróżnicze. A pogodzenie tych dwóch rzeczy w życiu naukowców mojego pokolenia było niemożliwe. Dobrze wiesz, że do habilitacji były głodowe pensje, a potem, choć wyższe, na pewno nie na tyle, by łączyć wielkie oszczędności. Ta praca wymaga inwestycji w swój rozwój. To był mój wybór, nie miałam ochoty obwiniać kogokolwiek, bo mogłabym usłyszeć, że wszyscy są zasłużeni i mają problemy życiowe. Komu chciałoby się zastanawiać nad tym, że w Osadzie nie można było mieć dwóch etatów, wreszcie - że nie było w niej spółdzielni mieszkaniowej, a tym samym możliwości wykupienia swojego M, jakiegoś tam, jak to w miastach uczynili moi koledzy. Naukowcy w Osadzie rezydowali w służbowych mieszkaniach przy instytutach, stanowiących specyficzną kolonię na wsi - wyspę. Pamięć o socjalizmie była krótka, nawet wśród naukowców. Stąd amnezja, że miejsce zameldowania decydowało o wszystkim. Dlatego niektórzy

zdziwieni pytali: „Dlaczego nie masz mieszkania?”. Odpowiadałam: „Prowadziłam hulaszczy tryb życia”.

- Czy On cię nie zabezpieczył na taką okoliczność, wiedząc, że mieszkanie jest funkcyjne?

- Nigdy nie brał pod uwagę wyjazdu z Osady w żadnych okolicznościach ani przenoszenia się do lepszego świata. Osada była jego życiem, a instytut - dzieckiem.

- Nigdy nie pogodzę się z tym, co ci się stało. Wiedziałam, że płacze. Ja nie mogłam. Dawno wyczerpałam limit łez, a do strat byłam zawsze przyzwyczajona.

Weszłam do „mojego” nowego domu - należącego do przyjaciela rodziny - na Żoliborzu. Był otoczony zielenią. Miał duszę, niepowtarzalny klimat, było widać rękę artysty. Mieszkanie było małe, a mimo to czuło się przestrzeń.

Było w nim wszystko, czego potrzebowałam do życia, ale nie było zagracone, kolorystycznie było przyjazne. Czułam, że będzie mi tu dobrze, wbrew zasadzie, że nie przesadza się starych drzew. Do niedawna mogłam mieszkać nawet w taborze cygańskim. Kochałam podróże i w ogóle zmiany. Krążący żart o mnie, że kiedyś zostanę zamknięta za włóczęgostwo, był w pełni uzasadniony. Może moja któraś prababcia pochodziła z plemienia wędrownego? Albo babcia Miriam miała geny krążące od dwóch tysięcy lat, dlatego wciąż wędruję i nie mogę znaleźć swojego miejsca.

Usiadłam i zaczęłam się oswajać z kolejnym miejscem mojego życia. Spojrzałam na swoje walizki, jeszcze nierozpakowane, i miałam ochotę zaśpiewać piosenkę Krzysztofa Daukszewicza Tyle mi zostało, co mi nakapało. Wiem, że Janek zaproponowałby inny utwór tegoż autora, ponieważ zrealizował się dopiero zagranicą, uciekwszy nielegalnie: I to jest mój kraj. Przestałam rozczulać się nad sobą. Przecież nie zamieszkałam na Dworcu Centralnym, jak mi wróżono.

A w moim pokoju powitał mnie mój niebiesko - granatowy las w czerwieni. Obraz ten ma piękną historię. Oto ona.

Historia pewnego obrazu

W Osadzie odbywały się corocznie plenery malarskie, a potem była wystawa. Prawie codziennie w czasie jej trwania siadałam tylko przed jednym obrazem, nie dlatego, że był największy - miał „to coś”.

W ostatnim dniu przy wspólnym obiedzie malarzy i naukowców pytano nas, który obraz najbardziej się nam podobał. Nie wiedziałam, czy mogę powiedzieć, że ten tajemniczy las, bo pamiętałam cenę umieszczoną przy nim - dziesięciokrotność pensji adiunkta. Obraz był dziełem bardzo znanego artysty. Mogłam tylko pomarzyć. Jednak zapytana wprost, odpowiedziałam:

- Ten niezwykły las.

Takim go widziałam, choć wszyscy wątpili, że taka kolorystyka lasu jest możliwa. Siedzący naprzeciwko mnie artysta wstał i podniósłszy kieliszek, zwrócił się do mnie:

- Od dzisiaj ten obraz należy do pani doktor. Rozległy się brawa, wznoszono toasty za obraz, za artystę i za mnie - szczęściarę.

Kolega, który stał się moim krewnym, kiedy uratował moje życie, oddając mi krew, gdy byłam w stanie krytycznym, na granicy bezpieczeństwa, który nie wahał się nawet przez moment (Potem nasza zażyłość była, niestety, tematem plotek o relacjach damsko - męskich. Trudno być bezinteresownym, dobrym człowiekiem), skomentował to:

- Wie, co robi. U ciebie obejrzy go więcej osób niż w muzeum.

Tak też było. Trudno zliczyć, ilu artystów, uczonych, ministrów, rektorów i dziekanów obejrzało ten obraz, bo przez dom prowadziła droga do poznania naszej kolonii - naukowców i obiektu badań - puszczy.

Kiedy ktoś odwiedzał moją kawalerkę, pierwszymi słowami, które słyszałam, były:

- Jaki piękny. Jakby malarz znał ten pokój i tę ścianę. Obraz znał moje tajemnice.

Ty stojąc przed nim, wspominałeś pierwsze spotkanie z Osadą i ze mną:

- On mnie oprowadzał. Każdy z pracowników miał stół za szafą lub półką. „Tutaj pracuje moja żona” - powiedział. Ciasnota. Stąd pomysł, aby rozbudować tę placówkę, bo Osada staje się sławna. Potem udaliśmy się do lasu, żebym zobaczył obiekty badawcze. Jechaliśmy bryczką. „A może żona też chciałaby powiedzieć coś o

swoich badaniach?" - zapytałem. „Ona woli tę drogę pokonywać rowerem”. „Kilkanaście kilometrów trzy razy w tygodniu? - zdziwiłem się. - „To ma świetną kondycję”. „Raczej entuzjazm” - odpowiedział. Jednak pokazał mi piękne miejsce, gdzie prowadzisz badania, których wyniki zakończyłaś niedawno doktoratem. Dodał: „Podobno był wyjątkowy i nowatorski”. Nie słyszałem dumy w jego głosie, wręcz przeciwnie: był pełen ironii. Wkrótce na moje biurko trafił dyplom Nagrody Ministra za doktorat. Wówczas pomyślałem: „No, no, nie za wcześnie?”. W czasie wizyty w Osadzie zwróciło moją uwagę to, że cały czas mówił: „Ja, dla mnie, dla uczelni, dla Osady”. Ani raz nie padło słowo „my”, a pracowaliście oddzieleni szafą. Zastanawiające. Wróciliśmy do pracowni i z przekonaniem stwierdziłem, że należy rozwijać tę placówkę, warto inwestować w entuzjazm młodych ludzi, pionierów nauki na peryferiach kraju. Dobrze, że powiedziałem to, zanim cię poznałem, bo potem nigdy bym nie wiedział, czy moja decyzja była obiektywna. „Teraz napiłbym się kawy, bo nadmiar tlenu mnie usypia” - powiedziałem. „To przejdziemy do mieszkania tuż obok” - odparł. Weszliśmy do pokoju wypełnionego książkami i piękną muzyką. „Nie możesz ciszej!” - zawołał. Muzyka od razu zamilkła. „Co za posłuszeństwo” - zażartowałem. „Dobrze, że słucha, jak mnie nie ma. Twierdzi, że muzyka ją inspiruje”. Fotel odwrócił się. Byłaś zdziwiona, nie spodziewałaś się gościa o tej porze. Przedstawił mnie. Podałaś mi rękę i wówczas spojrzałaś mi w oczy. Przez chwilę zastanawiałem się, czy bardziej zielony jest las, czy te oczy. Widziałem drobną, kruchą osobę z rudymi lokami przewiązanymi różową szarfą. Nie powiedziałaś nawet: „Miło mi poznać” czy coś w tym rodzaju. On wyszedł zrobić kawę, a ja trzymałem twoją rękę i nie wiedziałem, co powiedzieć, choć znam na pamięć formułki powitalne na różne okazje. On wrócił z kawą. Siedziałaś naprzeciwko w minispódniczce. Patrzyłem na piękne nogi i myślałem: „Nie zostały stworzone do gumowych butów i chodzenia po mokradłach”. On wciąż coś mówił, ja i ty milczeliśmy. Spostrzegłem, że niebieska, prawie przezroczysta bluzeczka jest o ton jaśniejsza niż skórzana spódniczka i o ton ciemniejsza od pantofelków. Zastanawiałem się: „Co to zjawisko robi w tej dziurze?”. On zobaczywszy moje zaskoczenie, zażartował: „Żona nie przyjęła do wiadomości, że żyje na małej wsi. Zachowuje się, jakby mieszkała w stolicy. Codziennie szokuje mieszkańców”. „Sądzę, że nie tylko na

wsi" - dodałem. Wtedy zobaczyłem w twoich oczach błysk i bunt. „Coś jest nie tak, tylko nie wiem co, ale boli" - pomyślałem. Rano poszedłem z inżynierem na miejsce, w którym miał być budowany instytut. Nie było cię za szafą. „Żona woli pracować do późna w nocy i przychodzi dopiero o dziewiątej lub dziesiątej. A ja jestem skowronkiem, wstaję o świcie i idę spać wcześniej". Chciałem zażartować: „A kiedy...", ale coś mnie powstrzymało. Poszliśmy porozmawiać z pracownikami i pożegnać się. Ciebie nie było. Kiedy już wyjeżdżałem z parku, zobaczyłem cię w alei lipowej. Zatrzymałem się i poszedłem do ciebie na przełaj. W milczeniu pocałowałem twoje ręce. Kiedy spojrzałem ci w oczy, po raz pierwszy zobaczyłem w nich radość i coś, co bałem się nazwać. Usta ci drżały, chciałaś coś powiedzieć, ja też, ale pożegnaliśmy się w milczeniu. Przy następnym spotkaniu uświadomiłaś mi, co wówczas czuliśmy: zdarza się, że podając rękę obcemu człowiekowi i patrząc mu w oczy, wiesz, że już nic nie będzie takie jak dotychczas. I nie było.

Teraz, kiedy cię nie ma, wybrałaś lepszy świat, patrzę na obraz i w tym tajemniczym lesie widzę cię i słyszę twoje słowa, czuję ciepło twoich ramion, kiedy razem staliśmy przed nim. Wychodząc teraz do ciebie z niezapominajkami, zawsze zatrzymuję się na chwilę przed obrazem, żeby zanieść ci jego urok.

Pamiętam, że stojąc przed nim, poprosiłaś mnie, żebym zatańczyła dla ciebie. W króciutkiej białej tunice zaczęłam taniec w momencie, gdy w muzyce Czajkowskiego rozpoczęło się wyznanie miłości przez Julię. Wtedy zapomniałam, że patrzysz na mnie. Był tylko taniec, którego się nie zapomina - jak jazdy na rowerze czy jazdy na łyżwach. Płynęłam. Kiedy skończyłam prawie szpagatem przy twoich kolanach, wróciłam do rzeczywistości. Byłaś wzruszony. Ujęłam twoją twarz w dłonie. Zobaczyłam wilgotne oczy. Nigdy nie widziałam łez w oczach mężczyzny. Nie zapomnę tej twarzy - synteza czułości, wzruszenia i zachwyty. Kiedy zamykam oczy, widzę to wszystko, zawsze i o każdej porze.

Tylko obraz i ja znamy tę tajemnicę, a ty zabrałaś ją ze sobą na zawsze. Wtedy po raz pierwszy spędziliśmy całą dobę razem - dzień i noc. Tylko my.

Patrzyłam na obraz i wiedziałam, że w tych błękitach i czerwieni gdzieś zostało twoje spojrzenie i nasza tajemnica.

Moi goście zawsze podziwiają obraz oraz rzeźbę Wielkiego Kota, prezent na mój jubileusz od wychowanków. Pamiętali mojego kotka Kacperka.

Sugerowano, że chyba darczyńcy przewidzieli atmosferę tego pokoju. Tina wyjaśniała:

- Bo dobrze znali Różę.

Ksiądz Maciej do moich ulubionych rzeczy dowiózł krzew róży w doniczce.

- Kwitnie cały rok - wyjaśnił.

Wojtek na niewielkim fragmencie ściany, który jeszcze był wolny, zawiesił niewielki obraz baletnicy w „locie do szczęścia”. Tina - jako ta praktyczna - ustawiła w kącie pokoju piramidę kolorowych koszyków na podręczne drobiazgi, którymi według niej były: kapelusze, szaliki, rękawiczki, ozdoby na różne pory roku. Janek postawił klatkę z papużkami w moich ulubionych kolorach.

- Są bardzo rozśpiewane, więc nie będziesz samotna w ciszy - wyjaśnił. On dobrze zna ten stan.

Wreszcie ja postawiłam na półeczce gruzińską rzeźbę od Gagi, pozytywkę z tańczącą baletnicą od Sekretarza, obraz z Montmartre'u od Dygnitarza, różę pustyni od księdza Macieja, od Marii i Aleksandra - płaskorzeźbę przedstawiającą Ścianę Płaczu.

- A On? - zapytała Tina. Spojrzałam bezradnie.

- Nic.

Droga przez sanatorium

Zamiana Osady na Warszawę wyczerpała moje siły. Kardiolog zalecił mi wyjazd do sanatorium, najlepiej od razu, więc prywatnie. Zbliżał się okres świąt, który w Warszawie jest wyczerpujący fizycznie i psychicznie. Reklamy, Mikołaje i tysiące światełek.

Nie będzie już kuligów, balów i witania Nowego Roku pod osłoną starych dębów.

Znaleźliśmy miejsce w Polanicy. Lekarz stwierdził, że ta miejscowość jest dobra dla mojego serca i dla mnie, bo grają tam dużo koncertów. Dzięki temu miałam się nie nudzić.

- Jedyne wada: do Wrocławia wciąż jedzie się kilka godzin, a potem jeszcze PKS - martwił się.

Zatelefonowałam do Gitarzysty i powiedziałam, że mam skierowanie do sanatorium, więc nie będzie mnie przez jakiś czas.

- Jesteś za słaba na taką podróż, nawet gdybyś miała udać się tam samolotem. Zawiozę cię. Zaplanujemy podróż na cały dzień z przerwami na kawę i obiad. Dowiozę cię bezpiecznie.

- Dziękuję, po raz pierwszy boję się podróży - nie mogłam uwierzyć, że to powiedziałam.

Ugryzłabym się w język, gdybym wiedziała, że przesunął swój wyjazd do Nowego Jorku, gdzie zaproszono go do współpracy przy musicalu. Tak lubił pracę przy takich widowiskach, nawet bardziej niż koncerty. Poinformował mnie o tym dopiero wtedy, gdy rozpakowałam się w bardzo miłym pokoju. Poczekał jeszcze na moją wizytę u lekarza. Porozmawiał z nim, sprawdził, jakie zlecono mi zabiegi, i dopiero powiedział, że wyjeżdża na trzy tygodnie, ale ja miałam zostać tam miesiąc. Po powrocie miał do mnie przyjechać. Obiecał, że będzie bardzo często dzwonił. Nie przywykłam do troski i nie umiałam prosić o przysługi. Nadal. A przecież w tej sytuacji powinnam, bo ludzie, nawet przyjaciele, nie są jasnowidzami.

Tak źle się czułam, że ani nie protestowałam, ani nie dziękowałam Gitarzyście. Chyba nie docierało do mnie, ile dla mnie zrobił. Byłam zbyt obolała.

- Bardzo się martwię - powiedział, wciąż stojąc przy drzwiach i patrząc na mnie uważnie.

Może dlatego tak dobrze rozumiał moją sytuację, że przed laty stracił siedemnastoletniego syna, a żona nie przetrzymała śmierci dziecka i rok później również odeszła.

Obiecałam, że zadzwonię do swoich przyjaciół. Może zrobią sobie urlop i przyjadą w góry. Kłamałam. Nie chciałam, żeby ktoś się nade mną użalał. Wolałam być wokół obcych ludzi, którzy nic o mnie nie wiedzieli.

Zabiegi wypełniały mi dużo czasu, potem odpoczynek i spacer, wieczorem koncerty. Kiedy zasypiałam przy muzyce, jak zawsze, inaczej nie potrafię, myślałam, że żadne drzewo w moim wieku nie zniosłoby tak radykalnego przesadzenia.

Nawet nie zauważyłam, kiedy minął czas leczenia. Dużo lepiej się czułam i wyglądałam, byłam lekko opalona i zaokrąglona, no, troszeczkę. Kiedy Gitarzysta przyjechał po mnie, był zachwycony moją kondycją i wyglądem, chwalił mnie:

- Jesteś dzielna.

Ileż razy to słyszałam od ukończenia osiemnastu lat. To chyba moja dodatkowa specjalizacja.

Wracaliśmy do Warszawy nieśpiesznie, wstępując tu i ówdzie. Kiedy byłam zmęczona rozmową, włączał muzykę, a przywiózł wiele nowości. Lubię musicale, więc prawie przez całą drogę ich słuchaliśmy, a ja ubolewam, że w stolicy jeden jest grany przez kilka lat.

- Koty oglądałam przynajmniej trzy razy, a Upiór w Operze - dwa. I co dalej? Ostatnio w teatrze Krystyny Jandy wystawiono Bagdad Cafe, bardzo interesujący spektakl, powinieneś go zobaczyć. Może to nie Broadway, lecz na pewno będziesz zachwycony - mówiłam. - Bo któż nie lubi, kiedy zwycięża dobro nad złem, i to przy dobrej muzyce? A jeszcze bardziej zauroczy cię ten teatr, kiedy ujrzysz Krystynę Jandę w Boskiej. Jest po prostu rewelacyjna. Zawsze się zastanawiałam, jak ta muzykalna aktorka mogła tak znakomicie wcielić się w rolę śpiewaczki bez głosu i słuchu.

- Wiesz, że to autentyczna postać? - odparł. - Aż trudno uwierzyć, że stała się sławna.

Zachęcałam go, żeby zobaczył kilka spektakli w Polonii. Warto.

- Jeśli pójdziesz ze mną, to na pewno.

- Wszystko w tym teatrze widziałam, a niektóre sztuki po dwa razy. Ale chętnie ci potowarzyszę. To fenomen w naszej rzeczywistości.

Było miło, ale gdzieś tam w środku czuło się tyle bólu i smutku...

Kiedyś myślałam, że dzień wyjazdu z Osady będzie najszczęśliwszym w moim życiu.

Moje nowe miejsce

Moim zadaniem było poznanie Żoliborza, kolejnego miejsca przeznaczenia, jeszcze bardziej niespodziewanego niż poprzednie. Uświadomiłam sobie, że przecież żadnego nie wybrałam samodzielnie: wyjechałam do Gruzji za Gagą, o Mazurach zdecydowali Maria i Aleksander, o Osadzie - On, o Warszawie - los. Większy wpływ miałam na wybór Mistrzów: warszawskich, krakowskich, poznańskich i brytyjskich.

Zwiedzanie zaczęłam od najbliższego otoczenia: Parku Stefana Żeromskiego, pięknego i wypielegnowanego, kościoła Stanisława Kostki, w którym ksiądz Jerzy Popiełuszko nie poddał się komunizmowi i był wsparciem dla innych. Kiedy miałam otwarte okno, słyszałam, jak na wieżach wydzwaniana była melodia Barki.

Spacerkiem zmierzałam do Kępy Potockiej, która mnie urzekała. Przypominała mi Mazury. Wkrótce stała się miejscem moich wycieczek rowerowych, spacerów Nordic Walking wokół stawów, podczas których odpoczywając, karmiłam kaczki, a czasem obserwowałam redaktora ze „Szkła Kontaktowego” jeżdżącego na rowerze. Rower jest dobry na wszystko - pozwala pokonać stres i znaleźć inspirację. Wiedziałam to z praktyki. Ponieważ lubiłam „Szkiełko”, życzyłam temu panu jednego i drugiego. Dzięki niemu mogłam się uśmiechnąć wieczorem, a tak mi tego brakowało.

Teraz się uśmiechnęłam, wspominając, jak w Osadzie próbowałeś po latach znowu korzystać z „jednoślądu”, bo od pewnego czasu rzadko nawet prowadziłeś samochód, choć bardzo to lubiłeś. Chciałeś zobaczyć moje ukochane uroczysko, na którym od lat prowadziłam badania, a tam obowiązywał zakaz wjazdu samochodem. Ruszyliśmy więc rowerami. Wybierałam łatwiejsze ścieżki, choć świetnie sobie radziłeś. Oprowadzałam cię po swoim królestwie, które w czerwcu jest najpiękniejsze. Kiedy się zachwyciłeś, mówiłam: „Tak wyglądał świat w chwili stworzenia”. Już w połowie drogi wołałeś: „Zlituj się, zaraz wyzionę ducha”. „Bo za dużo siedzisz za biurkiem, ćwicz więc” - karciałam cię. „Przecież pracujesz ciężiej niż rolnik. Skąd bierzesz siły na to wszystko?”. „Tutaj tylko trzy razy w tygodniu” - wyjaśniłam. Śmiałeś się szczerze. Ale botanika ci się spodobała, nawet mówiłeś publicznie: „Dziedzina daleka, a sercu bliska”.

Jakże doceniałam ten dar losu - przyjaciół, że obdarował mnie tym miejscem, otoczonym zielenią i spokojem, choć w pobliżu tętniło

wielkowiejskie życie przy Placu Wilsona, z którego miałam dwa przystanki metrem do opery, a trzy do ciebie, aby zanosić ci niezapominajki. Jak tu nie wierzyć w przeznaczenie? Kiedy dochodzę do kresu swoich możliwości psychicznych i fizycznych wskutek losowych zdarzeń, wciąż spotykam ludzi, którzy zapewniają mi przetrwanie, a nawet więcej. Kilkoro przyjaciół pomogło mi przejść tę trudną drogę z Osady do Żoliborza. Mimo że byłam w nowym miejscu, od razu otrzymałam propozycję - mogłam pracować i być między ludźmi. Najwięcej zawdzięczam przyjaciołom krakowskim i poznańskim, nie warszawskim. Choć wiedzieli, że praca to moje życie, tlen.

Kilka miesięcy po mojej przeprowadzce do Warszawy zadzwonił - w co początkowo nikt nie wierzył - profesor, też krakowski, autor najlepszego podręcznika. Zaproponował mi współpracę. Miałam zasiadać w komisji zajmującej się przyznawaniem grantów. Brakowało w jej składzie profesora z mojej dziedziny. Dziękując, cieszyłam się, że będę robić coś pożytecznego dla ludzi i z ludźmi. Nawet nie wiedziałam, czy profesor, znając mnie tylko z oficjalnych spotkań, zdawał sobie sprawę, że rzucił mi linę ratunkową. Nie umiałam mu tego powiedzieć, kiedy zaczęłam uczestniczyć w panelach.

Do pracy naukowej wróciłam, ale to dopiero po jakimś czasie. Musiałam zorganizować sobie warsztat pracy. Ku mojej radości również pocztą elektroniczną płynęły propozycje od kolegów angielskich. Zapraszali mnie do współpracy przy tworzeniu nowego programu badawczego. Przyjęłam propozycję, bo lubiłam z nimi pracować, byli obowiązkowi i konkretni, choć mieli w sobie także egocentryzm Wyspiarzy. I lubiłam Londyn. Warunkiem współpracy była moja kilkudniowa obecność w Londynie co dwa lub trzy miesiące. Resztę zadań mieliśmy opracowywać drogą elektroniczną. W mojej sytuacji nie mogło być lepiej. Miałam już pomysł na nowe badania i wraz z moimi uczniami wkrótce wystąpiłam o grant.

Tina i Janek czekali, kiedy będą mogli przyjechać i wesprzeć mnie. Jednak wiedzieli, że muszę najpierw sama się ze sobą uporać. Podobnie jak zranione zwierzę chowające się w norze, ja swoje rany leczę, uciekając w samotność. Gdy przyjdzie właściwy czas, pójdę do ludzi uśmiechnięta, bo:

Uśmiech barwi życie na różowo. Borys Russko

Tina i Janek przysyłali e - maile: „Kochamy cię, możesz na nas liczyć, odwiedź koniecznie księdza Macieja, wciąż modli się o twój spokój”.

Unikałam rozmów przez telefon. Nie chciałam gadać o głupstwach, a o tym co boli - nie mogłam. Na razie praca, która spadła mi z nieba - to znaczy od życzliwych kolegów - leczyła moje rany. Byłam jeszcze rozbita, ale już pełna nadziei, że dam sobie radę. Sięgnęłam, jak już wiele razy to robiłam, po książkę podarowaną przez bliskich memu sercu krakowskich przyjaciół: Na nowe tysiąclecie. W trudnych czasach była dla mnie jak Biblia. I przeczytałam:

Noś głowę wysoko, wypinaj pierś do przodu.

Potrafisz. Po każdej nocy przychodzi poranek.

Zachowaj nadzieję przy życiu,

Nie daj jej umrzeć.

Nim wybrałam się do księdza Macieja, wyruszyłam z Gitarzystą nad Wisłę. Zrobiliśmy sobie spacer i wybraliśmy się na przejażdżkę statkiem. Nie wiem dlaczego, ale spokój odnajduję nad wodą - rzeką, jeziorem, choćby stawem na Kępie Potockiej. Może dlatego, że w dzieciństwie moje wycieczki rowerowe zaczęły się od wędrówek brzegiem rzeki, tam też rozpoczęłam pierwsze zbiory zielnikowe. Mój profesor od biologii w liceum nauczył mnie zbierać i suszyć rośliny, wyposażył w odpowiednie deseczki z rzemykami i siatki do suszenia. Nie żartował jak inni: „Po co baletnicy zielnik i znajomość roślin?”. Jeśli potrzebowałam pomocy w oznaczaniu gatunku, nigdy nie odmówił. Pomagał. I już.

Gdy rozpoczynałam studia, miałam już całkiem obfity zielnik, który wzbogacałam przez kilka lat przy pomocy promotora pracy magisterskiej. W jego pracowni spędzałam wiele czasu od początku do końca studiów.

Wisłę, choć wciąż krytykowaną za to, że nie jest czysta i nie ma pięknych bulwarów, a Warszawa nie jest dostatecznie zwrócona ku niej, lubię i spaceruje po jej niezbyt uporządkowanych brzegach, pływam statkiem po nie za czystej wodzie. Może jeszcze doczekam czasów, kiedy otoczenie mojej ulubionej rzeki będzie tak piękne jak bulwary Sekwany z licznymi kawiarenkami, w których z Tiną i Jankiem toczyliśmy dyskusje o zaletach klasycznego i współczesnego baletu, lub brzegi Tamizy, gdzie z kolegami dyskutowaliśmy o roli

zastosowania matematyki w naszych badaniach, czasem w pubie przy piwie. Czy Wisła zbliży się kiedyś do czystości wód Tamizy? Pocięszam się, że coraz więcej się nad nią dzieje, dzięki czemu Warszawa coraz bardziej zwraca się do swojej rzeki i Syrenki.

Tymczasem, gdy jestem znużona i nie mogę osiągnąć właściwego rytmu życia i pracy, szłam nad Wisłę, Sama. Rzeka to dla mnie odrodzenie duszy, marzeń, źródło nadziei, ujście żalów, a przede wszystkim szansa na odzyskanie radości życia.

Proponowałam Gitarzyście, żebyśmy wybrali się po trochę radości do teatru Buffo na Wieczór Włoski. Wiedziałam, że nie jest zwolennikiem tego typu rozrywek, ale zachęcałam go, opowiadając, jak świetnie się bawiłam na wieczorach latynoskim, rosyjskim i francuskim. Muzyka jest dobra, a Józefowicz to znakomity moderator zabawy wraz z szalejącym przy pianinie Stokłosa, świetnym muzykiem. Śpiewaliśmy, tańczyliśmy i piliśmy wino. Potem poszliśmy do restauracji Buffo na mule, bo były tam świetne. Zapijaliśmy je winem. Kontynuowaliśmy zabawę wyniesioną ze spektaklu.

- I jak mam cię zapomnieć? W tobie jest tak ogromna potrzeba radości i zachłanność na życie, że nawet jak mi się coś nie podoba, to daję się porwać nawet jarmarcznym uciechom. Z tobą wszystko przeżywa się bardzo intensywnie, czy jest to praca, czy opera, czy spacer.

A ja poszłam z niezapominajkami do ciebie i prosiłam:

- Wybacz, że potrafię się śmiać i tańczyć, kiedy ty jesteś uwięziony pod tą zimną, szarą płytą.

A jednak podróż..

W czerwcu Gitarzysta zadzwonił z Wiednia. Powiedział, że odbywa się tam wiele wspaniałych koncertów i trwają przygotowywania do Festiwalu Kwiatów. Pamiętał, jak zachwycił się dywanami z kwiatów na rynku w Brukseli. Namawiał mnie do przyjazdu.

Wahałam się. Nie wiedziałam, czy byłam gotowa do podróży. Jednak zdecydowałam się, gdy powiedział, że w jednej z sal koncertowych, których w Wiedniu jest mnóstwo, będzie grana także jego kompozycja. Dodał, że na koncercie miały obowiązywać wieczorowe lub przynajmniej cocktailowe stroje.

- Nieśmiało proszę - żartował - o tę ciemnoniebieską ze sznurem pereł do kolan i z pantofelkami w tym kolorze.

- To moja ulubiona, przywieziona jeszcze z Włoch, a wciąż modna i piękna - śmiałam się.

Odebrałam bilet w biurze LOT - u. Już na mnie czekał. Rozpoczęłam sezon podróży. Na lotnisku czułam się jak u siebie. To był mój świat.

Gitarzysta chciał mi pokazać jak najwięcej, bo muzyczny Wiedeń był prawie jego domem. Najpierw objazd miasta dorożką, aby spojrzeć na kilka starych uliczek, a potem wstąpić do wiedeńskiej kawiarni na kawę i struclę. Potem spojrzeć na dom Amadeusza Mozarta i ten, w którym od czasu do czasu przebywał Beethoven.

Wiedział, że nie mam jeszcze dostatecznie dużo sił, by uprawiać turystykę, zwiedzać muzea i kościoły. Patrzyliśmy na nie z dorożki. Było cudownie. Jeden dzień spędziliśmy w Ogrodach Belwederu. Piękne, nie do opisanego i porównania z jakimkolwiek innymi. Myślałam, że po ogrodzie botanicznym w Palermo i Rio już nie zaskoczą mnie duże przestrzenie wypełnione oryginalnymi kompozycjami kwiatów i krzewów.

Wreszcie to, co najbardziej lubiłam: patrzeć na miasto z rzeki. Płynęliśmy Dunajem na luksusowym statku, na którym podawano obiad i szampana, grała muzyka. Nawet tańczyliśmy wiedeńskiego walca. Z oczu tak zwyczajnie spadały kropelki. Gitarzysta nie pocieszał mnie. Może jeszcze pamiętał łzy w kąciakach oczu tam, „na wyspie szczęśliwej”, kiedy byłam w jego ramionach.

Pomyślałam z trwogą: „Oby choć on nie odszedł przede mną”. W kąciakach oczu znowu pojawiły się łzy. Jeszcze nie wiedziałam, nawet

nie przeczuwałam, że wkrótce stracę najważniejszą osobę - niezastąpioną. Wtedy wszystko straci sens, a samotność stanie się faktem. Słowo tak często nadużywane wkrótce miała nabrać właściwego wymiaru.

Jeszcze wizyta w Cafe Hawelka - na moje życzenie. Coś się należy ode mnie mojej babci Miriam. To ona nauczyła mnie kochać muzykę i odczuwać piękno.

Nadszedł dzień koncertu. Ja w swojej sukni - na życzenie, z nowym dodatkiem: torebką haftowaną perełkami. To prezent z wiedeńskiego pachlego targu. Gitarzysta z muchą. Wkroczyliśmy do sali pełnej złocień i czerwieni.

Grano wiele utworów, ale bezbłędnie rozpoznałam jedną z jego kompozycji. Nasze ręce spotkały się. Tak zostało do końca koncertu.

Miłość jest jedna - i na progu, i u schyłku życia. Borys Russko

Wizyta

Po powrocie z Wiednia byłam gotowa na wizytę w domu seniora. Był piękny, ciepły dzień, może trochę za upalny jak na moje chore serce. Miałam bezpośredni autobus z placu Wilsona. Jak się okazało, był klimatyzowany i wygodny.

Ksiądz Maciej krzątał się w ogrodzie. Wciąż zapracowany wśród swoich kwiatów. Osiemdziesięcioletni, ale trzymał się prościutko. Miał bujną siwą czuprynę, opaloną i uśmiechniętą twarz. Od razu zrobiło mi się lepiej. Podniósł głowę znad malw w kolorach, które można było zobaczyć tylko w tamtym ogrodzie.

- Witaj. Dałaś sobie radę, jak zawsze.

- Bo przyszłam?

- O to byłem spokojny. Przecież obiecałaś mi w Jerozolimie, że będziesz mnie odwiedzać w domu seniora.

- Ale ja już nie mam migren, przeszły z wiekiem.

- Świetnie, bo jesteś teraz bezinteresowna. Jednak zrobię ci herbatę, abyś nie marnowała czasu bez potrzeby.

- Nie odmówię, bo to będzie najlepsza herbata na świecie, jak zwykle.

- No, wreszcie można z tobą pogadać.

- Nie będę mówić, czyja to zasługa.

- Nie podlizuj się, i tak dostaniesz herbatę i konfitury z róży.

Cała ta rozmowa była przekomarzaniem z uśmiechem, którego tak mi brakowało.

Przy herbacie podjęliśmy dyskusję - a właściwie wróciliśmy do niej - która towarzyszyła nam od lat, od czasu, kiedy byłam nastolatką: kto jest stwórcą wszechświata. Pretekstem wznowienia tej rozmowy był wywiad prowadzony przez Grzegorza Miecugowa z profesorem fizyki Łukaszem Turskim. Skłoniła nas ona do ustosunkowania się do sporu między uczonymi a teologami: Kto lub Co spowodowało wybuch czterysta miliardów lat temu, w wyniku czego powstało wiele galaktyk, a potem życie na Ziemi. Przedtem było wielkie Nic.

„Cudownie zastanawiać się nad tym, CO lub KTO zaczął to Nic” - powiedział profesor. Nauka i religia dochodzą do tego samego punktu. Religia powie: „Stwórca”, rodząc następne pytania: „Skąd się wziął?”. A nauka spróbuje odpowiedzieć, jak z tego Niczego powstał wszechświat.

Oczywiście, uprościliśmy tę dyskusję z księdzem Maciejem, choć on miał doktorat z teologii. Nasz spór nie został rozstrzygnięty. Cieszył się, kiedy profesor przytaczał zdanie Newtona: „Każdy mądry człowiek jest z jakiejś religii, nawet jak o tym nie mówi”.

- Ileż razy mówiłem ci, że jesteś wierząca, bo gdyby było inaczej, czy byłabyś zdolna tak kochać przyrodę i ludzi? Pomyśl...

- Poddaję się - powiedziałam, unosząc ręce ze śmiechem. - Zadzwońmy do Tiny i Janka.

- To dobry pomysł, bo wciąż chcieli, żebym zrobił coś dla ciebie, tylko nie wiedziałem co. Denerwują się. Wielokrotnie powtarzałem im, że jesteś silna.

Zadzwoniliśmy do Tiny. Niemal krzyczała:

- Nareszcie! Ja kiedyś przez ciebie dostanę zawału.

- O przepraszam, to moja specjalność.

- Różyczko, zaraz powiadomię Janka. On znowu jest zakochany w jakimś tancerzu.

- Tino, zmiłuj się! Ksiądz Maciej siedzi obok.

- Wieczorem zadzwonimy do ciebie. Pa!

Ksiądz Maciej, podobnie jak ja, lubił zgłębiać myśli Na Nowe Tysiąclecie.

- Znalazłem coś dla ciebie: W każdej sekundzie możesz się odrodzić.

W każdej sekundzie

możesz zaczynać

od nowa.

To jest wybór - Twój wybór.

Piliśmy herbatę i gawędziliśmy, tak zwyczajnie, a ja czułam się niezwykle. Ogarnął mnie tak długo oczekiwany spokój, wewnętrzne wyciszenie.

- Jak tutaj pięknie, tyle kwiatów i taka cisza.

- Ty wolisz ruch, atmosferę lotnisk, niezwykle wycieczki. Nie uwierzę, że nagle polubiłaś „wieś spokojną”.

- Teraz także, gdy wychodzę z metra, a fala z ludzi wynosi mnie z podziemi do słońca wśród śmiechu i rozmów, czuję się dobrze. A przed Stacją Centrum zawsze jacyś grajkowie popisują się przed przypadkową publicznością. Czasem zatrzymuję się i słucham pieśni kondora czy melodii wydobywanych z najróżniejszych instrumentów. Lubię spacerować po pięknie oświetlonym Nowym Świecie i gwarnym

Starym Mieście. Chodzę tam na pierogi prosto z pieca. A papuga katarzyniarza wyciąga mi karteczkę z przepowiednią.

- Dobrą?

- Czeka mnie daleka podróż

- Ja ci to mogłem powiedzieć bez papugi - i każdy, kto cię zna.

Upał ustąpił. Ksiądz Maciej opowiadał mi o nowościach w ogrodzie, o każdym kwiatku coś interesującego - i innego. Przystanął i zapytał:

- Rózo, czy nigdy nie powiesz do mnie, staruszka, tak po prostu: „Macieju”? Tina i Janek dawno to zrobili, a Gaga od razu, jak mnie poznał. A ty?

- Nie wiem, dla mnie to jak podwójne imię własne, takie nierozzerwalne, na przykład jak Anna Maria, Jan Maria.

- No, no, a ja myślałem, że już mnie niczym nie zaskoczysz po kilkudziesięciu latach przyjaźni. Ale nie mówisz prawdy.

Nie umiałam mu powiedzieć, że zawsze był dla mnie najważniejszy. Stanowił wzorzec jak metr w Sevres pod Paryżem. Ale on o tym wiedział. Przy nim odzyskiwałam spokój, nadzieję i radość życia - po każdym niepowodzeniu. Moi mężczyźni przychodzili i odchodzili, dawali mi szczęście lub złudzenie, że wszystko jest dobrze, a czasem krzywdzili. Tylko przy nim nie czułam samotności, tej wewnętrznej, bo wokół mnie zawsze było pełno ludzi. Miałam poczucie bezpieczeństwa. Przy nikim innym tego nie zaznałam.

- Wiem, jak mocno skomplikowałaś sobie życie. Może nie wszystko od ciebie zależało, ale bardzo wiele.

Odpowiedziałam słowami z naszej ulubionej księgi: Nie myślę o wszystkich nieszczęściach, które przeżyłam, ale o pięknie, które pozostało.

- Teraz znowu jesteś Białą Różą. Bałem się, że się nie odnajdziesz, bo trochę za dużo na ciebie spadło, zbyt dużo.

- Raczej za dużo mi odebrano.

Rano zaniósłam ci róże z ogrodu księdza Macieja, który też ciepło cię wspominał.

Jeszcze raz Romeo i Julia

W czasie wizyty powiedziałam mu, że w sobotę idziemy na balet Romeo i Julia, który podobno jest pięknie wystawiony, po wieloletniej przerwie wreszcie go wznawiali. Ksiądz Maciej wspominał, że jeszcze widział w nim Barbarę Bittnerówną i Witolda Grucę. Ja oglądałam Marię Krzyszkowską i Gerarda Wilka, fenomenalnego tancerza, który niestety szybko wyfrunął w świat.

Usiedliśmy jeszcze na chwilę w ogrodzie, żeby wypić herbatkę.

- Obserwowałem cię, kiedy oglądałaś kwiaty. Właściwie tańczyłaś wokół nich. Różo, co ty przede mną ukrywasz? - zapytał.

- Byłam w Wiedniu na koncercie mojego przyjaciela z młodości. Przez kilka dni zwiedzałam to piękne miasto.

- Zwięzłe sprawozdanie. A więc kataryniarz i jego papuga mieli rację - uśmiechnął się. - Tylko dlaczego musiałem to z ciebie wydusić? Na pewno oglądałaś Wiedeń z Dunaju, bo czyż mogło być inaczej...

- Nie muszę niczego opowiadać, bo obcuję z jasnowidzem.

W sobotę przyjechałam po księdza Macieja i udaliśmy się do Teatru Wielkiego. On w czarnym garniturze, ja w czarnej sukience z czerwonym szalem i krzyżykiem z Jerozolimy. Kiedy był po cywilnemu, czułam się skrępowana i trochę sztywna - i to po pięćdziesięciu latach przyjaźni.

Oglądaliśmy balet w skupieniu. Nie szczędziliśmy oklasków. Główne role wykonywali rosyjscy tancerze. Byli bardzo dobrzy, a całość znakomita: scenografia i kostiumy z epoki. Prawdziwie bogata Weronka.

Szliśmy spacerkiem. Był piękny wieczór. Skręciliśmy w Bielańską, gdzie przy zabytkowym budynku czekał na nas samochód. Stara fabryka z beżowej cegły, częściowo w ruinie, robiła wrażenie starego zabytkowego zamku. Patrzyliśmy i podziwialiśmy, a ja opowiadałam:

- Kiedyś wystawiono tu Makbeta. Uznano, że ta surowa architektura budowli, której wewnątrz oświetlono dziesiątkami świec i wyłożono czarnym sukniem, stworzy odpowiednią atmosferę do tej ponurej historii. W czasie przerwy przez labirynt korytarzy przechodziła wśród publiczności wróżka i podawała złote jabłko, lecz nikt nie wyciągnął ręki, aby je wziąć. Raczej cofano się.

- Ale ty wzięłaś?

- Tak, kiedy tylko zbliżyła się w moją stronę. Odebrałam jabłko, podrzuciłam i oddałam wróżce. Wiedziałam, że to rekwizyt. Wróżka uśmiechnęła się i powiedziała: „Ono i tak jest przy tobie. Szczęściara”. I zniknęła.

Uśmiechnięci wsiedliśmy do samochodu. Odwiozłam go do domu seniora. Mogłabym wrócić metrem, to tylko dwa przystanki, za dziesięć minut byłabym w domu. Jednak niepokoiłam się. Intuicja podpowiadała mi, że on nie czuł się dobrze, w czasie przerwy przy herbacie brał pigułki. W drodze był blady i zaciskał ręce. Chyba coś go bolało. Wiedziałam, że nie lubi narzekać, więc nie pytałam. Czekałam, aż wejdzie do domu.

Wróciłam. Była północ. Otworzyłam pocztę i przeczytałam: „Wiedeń bez ciebie nie jest już taki pogodny. Brak mi łez i śmiechu. Jestem zazdrosny o czas, który spędzasz z księdzem Maciejem. Skomponowałem coś, ale ty przyślij mi wiersz. To będzie kolejna piosenka dla Róży”.

Wysłałam wiersz Borysa Russko:

Szukam cichej przystani,
słowa otuchy
i spojrzenia bez maski.
Pogoda nieważna,
Jak wszystko, co wraca
i szepcze do ucha, że jest.
Ciągle podróżuję,
a wszędzie rzeki za płytkie
i ptaki jakby pogubiły skrzydła.
Miejsce nieważne,
byle horyzont sięgał dalej
niż z mojego okna.

Jednocześnie zawiadomiłam go, że z przyjaciółmi jadę do Augustowa, jak każdego roku, i zostanę tam do końca lata. Będę dzwonić.

Elitarny Kolektyw w mojej kawalerce

Wreszcie przyjechali Tina i Janek. Witałam ich na lotnisku. I znowu czułam się u siebie, choć martwiłam się, że gdy zobaczą moją kawalerkę, oni, mieszkający w wielkich domach w luksusowej dzielnicy Paryża, nie zaakceptują dwudziestu siedmiu merów kwadratowych, stanowiących pracownię, sypialnię, a nawet kącik wypoczynkowy z wygodnym fotelem, w którym oglądałam opery z DVD lub słuchałam muzyki. Obawiałam się, że będą mi współczuć lub dziwić się, że przeniesiona z wielopokojowej przestrzeni umiem tam żyć i nie narzekam. Ileż razy musiałam powtarzać, że czuję się w tym mieszkaniu lepiej niż w każdym innym z dotychczasowych, bo nie o wielkość chodzi, tylko o „duszę” tego pokoju. Podobnie czułam się tylko nad Jeziorem Mamry - na poddaszu w niewielkim domu.

- Pamiętasz, Tino?

- A kogo: urodziwego Kozaka czy uwodzicielskiego wojewódzkiego sekretarza? - ze śmiechem wspominała moje tarapaty z wielbicielami na Mazurach.

Zaskoczyli mnie. Cieszyli się, że mieszkanie takie miłe:

- Różyczko, ono ma twoją duszę.

Potem wzbogacali je wspomnianymi wcześniej prezentami.

Jedliśmy z apetytem pączki od Bliklego, do którego też mam blisko. Nie musieliśmy się martwić o kalorie, bo wciąż byliśmy szczupli. Nadwaga nam nie groziła.

Pojechaliśmy do księdza Macieja. Jak dawniej zjedliśmy razem obiad w ogrodzie w zacisznym zakątku. Załatwiłam catering, nie mogliśmy nadużywać gościnności domu seniora.

Opowiadaniom, żartom nie było końca. Zazdrościłam Tinie i Jankowi, że tak łatwo przychodzi im mówienie „Macieju”. Ja nie potrafiłam.

Kiedy nieco się ochłodziło, spacerowaliśmy po ogrodzie. Wiedzieliśmy, czym był dla naszego gospodarza. Wtedy spostrzegłam, z jakim trudem chodził Janek. Nigdy nie miał litości dla swoich nóg, tańczył do pięćdziesiątki, a jako choreograf, kiedy już był po licznych kontuzjach, też się nie oszczędzał. Teraz każdy krok był dla niego cierpieniem, choć miał sylwetkę młodego tancerza. Nie pracował już i to go dobijało. To pracoholik - jak ja. Bez pracy nie było dla nas życia. Może dlatego tak dobrze się nam razem tańczyło. Czuliśmy każde drżenie mięśni, przewidywaliśmy każdy ruch ciała, a

najtrudniejsze elementy układu zaproponowane przez naszych choreografów ćwiczyliśmy do perfekcji, bez skarg i narzekań. Nie znaliśmy takich określeń. Naszą radość tańczenia przenosiliśmy na publiczność i na zespół. Maria i Aleksander mówili, że jesteśmy sercem ich baletu. Bardzo mi ich brak, zresztą nie tylko mnie.

Postanowiliśmy, że wybierzemy się do Augustowa, może już ostatni raz, bo wszyscy byliśmy seniorami, choć o różnej kondycji. Zadzwoiłam do Tosi. Zapytałam, ile czasu potrzebuje na przygotowanie domu na nasz przyjazd.

- Już jest gotowy, przecież jest sierpień - oznajmiła. Była niezawodna.

- Za dwa dni będziemy - poinformowałam.

W tym czasie moi przyjaciele prosili księdza, żeby z nami pojechał. Wiedzieli, że nie umiem nalegać. Tłumaczyli, że wynajmiemy samochód i wygodnie zajedziemy. Mówili:

- Róża ma tam znajomego kardiologa, będziemy chodzić do sanatorium na zabiegi. Będzie dobrze, nad wodą lepiej zniesiemy upały.

Janek był przekonujący. Ustaliliśmy, że pojutrze ruszymy. Wiedzieliśmy, że będzie fajnie, bo będziemy razem. Mieliliśmy wynagrodzić sobie naszą codzienną samotność. Dobrze, że Gitarzysta był zagranicą, bo musiałabym go przygarnąć do naszego Elitarnego Kolektywu. Czy oni by go adoptowali? Tylko Tina o nim wiedziała.

Przed wyjazdem pojechałam do ciebie z niezapominajkami. Opowiadałam o tym, że spędzę sierpień nad jeziorami. Nie mogło to zastąpić naszej rzeki, którą kiedyś odkryliśmy, a potem stała się naszym azylem. Niejednokrotnie, aby się tam zjawić, niby z różnych miejsc, dokonywaliśmy akrobacji w czasie i przestrzeni. Ominawszy wszystkie przeszkody, spotykaliśmy się nad jedną z najpiękniejszych rzek, która przez wiele lat była najbezpieczniejszym miejscem dla nas. Pustkowie. Mogliśmy spacerować, kąpać się w parne wieczory. Kiedy pływałeś, byłeś taki radosny i młodzińczy, a ja patrzyłam na ciebie, siedząc na gałęzi zawieszony nad rzeką. Często mnie z niej zrzucałeś i lądowałam na dnie. Wówczas nurkowałeś i holowałeś mnie do brzegu, żartując:

- Konieczne jest sztuczne oddychanie, i nie tylko. Może dlatego kiedy nastąpiły trudne czasy, mając u nóg niezapominajki, powiedziałeś:

Gdybym do pogrzebu
inną wybrał porę,
to w rajskiej łączce
wykopcie mi norę.
Daj, Boże Wszechmogący,
by niezapominajki czas oszczędził.
jeśli ateista o coś Boga błaga,
rzecz jest ważna sama w sobie
i względów wymaga.

Ale byliśmy jeszcze młodzi i nie myśleliśmy o śmierci, raczej bawiliśmy się tymi słowami. Był piękny wieczór. Czułam się jak na randce. Ale co ja o tym wiem. Nie chodziłam na randki. Przed południem szkoła, a po południu cztery godziny przy drążku. Wieczorem lekcje i lektury. Nie bawiłam się lalkami, nie biegałam po podwórku, nie grałam w klasy. Jako dziecko i nastolatka miałam dwunastogodzinny dzień pracy. Teraz trzymaliśmy się za ręce jak nastolatki, spacerując naszymi ulubionymi, przez nas wydeptanymi ścieżkami. Kiedy raz się spóźnił, od razu na przeprosiny podarował mi wierszyk:

Po co wspomnienia z dna pamięci iskać,
Pora rocznice wyrwać z kalendarzy,
Strumień przeskoczyć, Różyczkę wyściskać,
Jeszcze niejedno nam jutro się zdarzy.

Wyczuł, że czekając, wspominałam, dlaczego dopiero teraz przeżywam to, co zabrano mi w latach młodości. Pierwsze małżeństwo - osiemnastolatki, prosto ze sceny w tańcu, z tancerzem i choreografem. Na studiach pochłonęła mnie nauka, nie chciałam więcej cierpieć. I drugie małżeństwo - nie wiem, jak i dlaczego znalazłam się w klatce, nawet nie złotej, ale w lesie. A dopiero z tobą niepowtarzalne spacer, kąpiele w nocy i ciepłe ramiona, kiedy to tylko możliwe. Nadrabiałam randki i miodowe miesiące, których nie miałam. Lato było gorące, a my zawsze spragnieni.

Siedziałam w pustej alei i użalałam się:

- Nie wiem, jak ty to robisz, że materialnie cię nie ma, a jesteś obecny i wciąż trzymasz w swoich dłoniach moją rękę, dając mi siłę - jak zawsze. Dopiero teraz uświadamiam sobie, jak często mówiłeś o śmierci, będąc silnym i młodym mężczyzną.

Ja na pewno nie umrę z ochotą, Lecz kiedy umrę, nie będę dbał o to. - A ja?

- Nigdzie się bez ciebie nie wybieram.

I na łączce znowu drżała ziemia. Najpierw były żarty, lecz później, kiedy zaczęto twoje osiągnięcia zamieniać w coś zupełnie innego, pisałeś:

Skoro moje cnoty
Są źródłem zgryzoty,
To sukces niemały,
że moje przywary
źródłem mojej chwały.

I znowu jeziora augustowskie

Tosia czekała na nas, a zapach ryb przenikał do ogrodu, w którym pod czereśnią stał nakryty stół. Trudno było powstrzymać łzy. Stwierdziliśmy, że chyba się starzejemy. Byliśmy zgodni, że nie zrezygnujemy z wycieczek, będą po wodzie i lądzie, absolutnie. Dobrowolnie nie poddamy się procesom biologicznym. Jeśli radykalnie zmienimy tryb życia, wykluczając podróże, wycieczki, i przestaną nas interesować opera, teatr i koncerty, a ja i Tina zrezygnujemy z kosmetyczki, fryzjera i masaży, to będzie kapitulacja.

Postanowiliśmy żyć zdrowo. Dostosowaliśmy program do bolących nóg Janka i słabego serca księdza Macieja. Janek pokrył kosztą wynajmu gondoli, samochodu i wszelkich dojazdów do pięknych miejsc, do których dawniej dojeżdżaliśmy rowerami. Jemu jednemu spośród nas udało się połączyć pasję i pracowitość z odpowiednim statusem materialnym. My jesteśmy z budżetówki, w której jakość pracy i jej wartość nigdy nie współistniały. Do dzisiaj, mimo wielu przemian, ten przedziwny stan trwa, choć wciąż słyszy się obietnice. Młodzi naukowcy biedują, a seniorzy po prostu trwają.

Wyznaczyliśmy trasę spacerową przez pachnący sosnowy las, bo stwierdziliśmy, że ruch dobrze nam robi. Umiarkowany. Czasem z Tiną jeszcze pokonywałyśmy tę trasę rowerem, bez Janka i Macieja.

Jak dawniej - nasza pierwsza wycieczka to podróż gondolą kanałami Augustowa i radość w każdej śluzie z opadania i wznoszenia się, niewielkiego w Przewięzi, za to Poniewo spełniło nasze oczekiwania: prawie siedem metrów w dół i w górę, a potem piękne widoki. Po przekroczeniu Śluzy Przewięź pokazałam Tinie małą wysepkę i opowiadałam jej, że byłam na niej z moim wybawcą - Gitarzystą, który otworzył mi bramę do nauki, umożliwiając wyjazd z Osady. Nie wiedział, jak ważną rolę odegrał w moim życiu, ale był cudowny, kiedy pod gwiazdami na brzegu jeziora Studzienicznego śpiewał i grał tylko dla mnie. Znacznie później słyszałam te melodie w radio. To ja byłam jego muzą i pierwszą słuchaczką. Domem był namiot, pokarmem złowione ryby, które smażyliśmy nad ogniskiem, a przez trzy tygodnie tylko raz naszą „wyspę szczęśliwą” minęły dwa kajaki. Wtedy Augustów nie był jeszcze tak modny jak teraz. A ja już nigdy nie byłam tak pięknie opalona jak wtedy, calusienka, co do centymetra. Nigdy więcej nie kąpałam się także przy księżycu, gdy na lądzie ktoś ćwiczył arie operowe, a woda niosła muzykę do naszej

wyspy. Do dzisiaj aria La donna mobile z opery Rigoletto kojarzy mi się nie z salą koncertową, nawet nie z mistrzowskim wykonaniem Luciana Pavarottiego, lecz z jeziorem, gwiazdami, erotyzmem i radością, choć miesiąc wcześniej byłam uwikłana w sytuację bez wyjścia. Tina żartowała, teraz nazwano by to odlotowym seksem, ale wtedy nie znaleźliśmy takich określeń.

Babcia Miriam nie miała racji, że tylko z tym jednym jedynym drży i rozstępuje się ziemia podczas kochania. Ja i Gitarzysta odbywaliśmy tę podróż na łądzie i w wodzie wielokrotnie. Czasem myślałam, że nasza wyspa leży na tektonicznym podłożu. Miałam dwóch mężów, po drodze jeszcze epizod z Sekretarzem, a Gitarzysta uczynił ze mnie zmysłową i czułą kobietę. Ale to Dygnitarz dał mi szczęście i nauczył mnie mówić słowo „kocham”, odkrywając jego właściwie znaczenie. To on powiedział mi, że „kochać - to nie znaczy, z kim chcemy być, lecz bez kogo nie możemy żyć”.

Babcia Miriam jednak miała rację, kiedy mówiła:

- Wiesz, po czym poznasz, jakim kochankiem będzie mężczyzna? Ano po tym, jak je. Jeśli łąpczywie i dużo - to go przegoń. Jeśli umie smakować jedzenie i życie, to będzie tak, jak być powinno - wspaniale.

Opowiadałam to wszystko Tinie i zaśmiewałyśmy się, wspominając rady babci. Teraz nastolatki powiedziałyby jej, czym jest dobry seks.

Była to świetna okazja, aby powiedzieć Tinie, że Gitarzysta się odnalazł i znowu pomógł mi wrócić do życia, a wciąż jest seksowny i zdolny jak diabli. Ale milczałam.

Tina doszła do wniosku, że dlatego tak lubię jeziora augustowskie, że przywróciły mnie one do życia i otworzyły mi drogę do nauki. A cudotwórca o tym nie wiedział. Dałam mu miesiąc szczęścia i pofrunęłam do swoich spraw. Usłyszałam, że już nie będzie takich ust, takiej kobiety. Moja zielonooka - wyśpiewywał przede mną, a potem na koncertach. Później w radio wielokrotnie słyszałyśmy tę piosenkę w połączeniu z piękną muzyką, kiedy kończyłam rozprawę doktorską. Każdy z nas realizował swoje marzenia. Nasze rozstanie było piękne, bez zobowiązań i obietnic. Jakże się myliliśmy, bo pamięć o sobie nawzajem trwała całe lata, jak się dopiero teraz okazało. Tina wciąż powtarzała, że powinnam zadedykować doktorat muzykowi i jeziorom. Teraz mogłam mu to

powiedzieć. A ona pytała, co zawdzięczam Dygnitarzowi. Odpowiadałam, że szczęście. Chciałam mu podziękować za to, że po prostu był, wspierał mnie, kiedy tego potrzebowałam, dawał mi poczucie bezpieczeństwa, nawet jak jemu ziemia paliła się pod stopami.

Nasz pobyt w Augustowie przebiegał jak zawsze przyjemnie i harmonijnie, tyle że wypoczywaliśmy więcej niż dawniej. Na smażone ryby wciąż jeździliśmy do Studzienicznej, a zwłaszcza na domowy placek ze śliwkami i kruszonką. Popołudnia należały do jezior, a wieczory do lasu, ranki do sanatorium, gdzie próbowaliśmy oszukać metrykę. Wieczorami muzykowaliśmy lub gawędziliśmy. Ksiądz Maciej często drzemał. Czasem zwalnialiśmy go ze spacerów czy przejażdżek łodzią.

Pozostaliśmy w Augustowie do września, bo było ciepło i pięknie. Tina i Janek mieli zostać w Polsce do października, więc mogliśmy razem obejrzeć Walkirię Wagnera z udziałem Placido Domingo. Mieliśmy już zarezerwowane bilety. Chcieliśmy razem przeżyć to wydarzenie. A teraz była pora na odpoczynek i poprawę kondycji.

Pewnego dnia pojawił się Wojtek, postarzały i wychudzony. Okazało się, że nie był w Afryce, tylko w Indiach. Tam zrozumiał, że życie duchowe jest najważniejsze.

Ksiądz Maciej zapytał:

- A tutaj nie mogłeś się tego dowiedzieć?

Wojtek odpowiedział:

Każdy dąży do swojej Itaki Nikos Chadzinikolau

Mimo odnalezionej duchowości przywiózł z Indii materialne efekty: tekę pełną niezwykłych rysunków. Odzyskał siły twórcze, a przecież z powodu ich utraty wyjechał. Wrócił inny. Przez nas zaakceptowany bez zastrzeżeń, choć z tego atlety kochającego kobiety, jedzenie, a przede wszystkim pracę przemienił się w refleksyjnego, kruchego starszego pana. Najważniejsze, że nasz Elitarny Kolektyw był znowu w komplecie, choć bardzo sfatygowany i poraniony.

Wróciliśmy do Warszawy wypoczęci, wymasowani i odmłodzeni. Wędrowaliśmy po moich ulubionych miejscach na Żoliborzu - i nie tylko. Często odwiedzaliśmy księdza Macieja, jemu odpoczynek też dobrze zrobił - radośniej pracował w ogrodzie. Jeszcze opera

Walkiria. To było niezapomniane przeżycie, choć Wagner nie jest łatwy, Placido Domingo był już niemłody, a jego głos - nieco mniej porywający.

I już lotnisko. Tina, Janek i Wojtek odlatując, prosili:

- Odwiedzaj nas i opiekuj się Maciejem.

Przyrzekłam. Najpierw pobiegłam z niezapominajkami, tym razem znad jezior. Siedząc przed pustą szarą płytą, opowiadałam:

- Było pięknie, ale nie tak jak z tobą na rajskiej łączce, kiedy pływałeś, topiłeś mnie, aby za chwilę ratować i otrzymywać nagrodę. I już nie usłyszę: „Twoje oczy zabrały zieloność lasom”.

Powrót do pracy

Czekając na Gitarzystę, z radością zabrałam się do pracy. Przygotowywałam recenzję rozprawy doktorskiej, dość przeciętnej, i rozprawy habilitacyjnej - znakomitej. A potem przeglądałam projekty badawcze, z uwagą, bo pieniędzy było mało, a oczekujących - dużo. Mogły przejść tylko wybitne, a było wiele bardzo dobrych, które też zasługiwały na realizację. Znowu z bólem musiałam decydować o tym, kto ma szansę prowadzić badania. Dobrze, że nie musiałam sama dokonywać tego wyboru. Nieustające rozterki.

Przede mną najtrudniejsze zadanie - otrzymałam analizy molekularne, dzięki którym wreszcie mogłam zweryfikować hipotezę, która od dwudziestu lat istnieje w naszej dziedzinie. Mimo podejmowania licznych prób dotychczas nie było mocnych dowodów, które pozwalałyby zrealizować to ambitne zadanie. Dopiero metody i narzędzia biologii molekularnej umożliwiły jej weryfikację. Kiedy moim kolegom, zupełnie z innej dziedziny, wyjaśniłam, że metody DNA często są stosowane do stwierdzania ojcostwa, u roślin są niezbędne do ustalenia macierzyństwa, bo ojców - pyłki - wraz z innymi wiatr poniósł w nieznane, bardzo im się to podobało. Teraz siedziałam nad mapą genotypów i dopasowywałam rośliny do konkretnych macierzystych organizmów, czyli ustalałam ich tożsamość. Wszystko zostało precyzyjnie oznaczone, sprawdzone za pomocą wyrafinowanych metod statystycznych. Teraz przy użyciu różnych aparatów pojęciowych trzeba było połączyć te wyniki w logiczną całość.

Jeden z artykułów naszego zespołu grantowego został już przyjęty do druku, był już po korekcie. Teraz mierzyliśmy wyżej, więc musieliśmy podwoić nasz wspólny wysiłek. Boże, jak ja lubię takie wyzwania, prawie niemożliwe. Znowu mogłam wykonać „wysoki lot” - jak w młodości w tańcu. Dogonić szczęście. Taniec i nauka, dziedziny twórcze, tak różne, a jednak obie wymagające tego samego - pracy... pracy... zdolności i trochę szczęścia, aby trafić we właściwy czas.

Następnego dnia pojechałam do księdza Macieja i opowiedziałam mu, z jakimi trudnościami borykałam się w tej pracy, w dziedzinie, która właściwie jest domeną młodych, dlatego w naszym zespole jest właściwa struktura wiekowa: młodzi, dojrzały i senior, entuzjazm i doświadczenie współgrają.

Chętnie wysłuchał tego, co w nauce nowe i interesujące. I cieszył się, że wciąż nie tracę entuzjazmu i uczę się nowych metod, aby podejmować się rozwiązywania interesujących problemów, że nie boję się i nie narzekam na nowoczesność.

Dostałam propozycję przygotowania czwartego wydania swojego podręcznika. Pierwsze i drugie były prawie identyczne. Trzecie uzupełniłam i poprawiłam różne nieścisłości. Teraz przede mną poważne wyzwanie - musiałam dokonać gruntownych zmian, dopisać dwie nowe części, a przede wszystkim unowocześnić szatę graficzną. Spotkałam się z grafikiem i postanowiliśmy wszystkie ryciny przygotować w jednej stylistyce, a przede wszystkim bardziej je wymodelować. Szczegóły miały znaleźć się w opisach. Pierwsze ryciny, które przygotował, były świetne: lekkie, czytelne niemal bez podpisu. Redaktorka już poprawiała te rozdziały, które miały pozostać, ale zaproponowałam pewne zmiany, więc ustaliłyśmy, co i gdzie. Zaczęłam pracować nad nowymi częściami.

Pojechałam do księdza Macieja, aby opowiedzieć mu o tym, że zamierzam gruntownie zmienić ostatni podręcznik, a przede wszystkim, że unowocześnię go pod względem merytorycznym i graficznym. Miał wszystkie moje książki, więc od razu pokazywałam w podręczniku poszczególne fragmenty i omawiałam zmiany. Przedyskutowaliśmy różne warianty.

- Różyczko, skąd w tobie tyle entuzjazmu? Przecież nie masz swojej biblioteki, wiele twoich materiałów jest w Osadzie... Jak sobie poradzisz?

- Już wszystko przemyślałam. Jeśli chodzi o literaturę, pomogą mi pracownicy instytutu. Jest tam wspaniała biblioteka. Niektóre prace mi skserują, a inne prześlą e - mailem. Już się umówiłam na wizytę w Krakowie. Jak tylko dopracuję konspekty rozdziałów, mój dyrektor i koledzy też mi pomogą. Do swoich znajomych z Londynu wysłałam prośbę, żeby przysłali mi nowości z czasopism, do których mam ograniczony dostęp. Odpowiedzieli i przysłali mi spis artykułów. Mam wybrać te, które są mi potrzebne, więc jest lepiej, niż mogłam oczekiwać.

- A czy kiedyś ktoś ci czegoś odmówił? - ksiądz śmiał się i cieszył razem ze mną. - Będę się modlić, żeby starczyło ci sił i zdrowia, bo będzie ci potrzebne. Nie szarżuj, Różyczko. Rozkładaj

swoje siły rozważnie. Wiem, że jesteś dobrze zorganizowana, ale uważaj.

- Obiecuję.

Miałam ochotę go ucałować, ale zmitygowałam się.

Mimo że byłam zajęta przygotowywaniem książki, zauważyłam, że stan jego zdrowia znowu się pogorszył.

Zadzwoiłam do Tiny. Powiedziałam, że ksiądz Maciej po raz kolejny niezbyt dobrze się czuje, więc codziennie go odwiedzam, choć mam bardzo dużo pracy, bo wznawiają mój podręcznik.

- A kiedy nie miałaś? - przerwała mi.

- Tino, on nie chce iść do szpitala, bo uważa, że rury nie będą podtrzymywać funkcjonowania jego organizmu, lecz udaremnić życie, jakie jeszcze mu jest dane. Wynoszą go na werandę, gdy, są ciepłe dni, i może cieszyć się swoim kolorowym ogrodem.

Tina powiedziała, że niestety Janek leży pod aparaturą i tylko czasem jest z nim kontakt. Wojtek, uduchowiony, nie widział, że tracimy przyjaciela. Powtarzał nieustannie:

- Janek pójdzie tam, gdzie będzie szczęśliwy. Nikt nie będzie go obwiniał o jego preferencje seksualne, a kiedy się odrodzi w drugim życiu, na pewno będzie zupełnie kimś innym.

Wojtek był na etapie wiary w inkarnację.

- I dobrze - mówiłam Tinie. - Może warto wierzyć, że kiedyś powrócimy tu doskonalsi.

Pożegnanie

Gitarzysta niepokoił się: „Nie piszesz, trudno zastać cię w domu, kiedy dzwonię. Co się dzieje? Martwię się”. Odpisałam, że ksiądz Maciej jest bardzo chory, w dzień jestem w domu seniora, wieczorem do północy pracuje nad podręcznikiem, a rano do dziesiątej muszę to wszystko odespać. Nie pisałam, że serce przypominało mi o dwóch zawałach, bo on i tak wiedział, że to wszystko mnie przerasta. A ja nie mogłam o niczym myśleć, bo wciąż w głowie miałam jedno: „Boże, nie rób mi tego, to naprawdę byłoby za wiele. Życie straciłoby sens”.

Nie mogłam pracować, czułam się nieszczęśliwa i samotna, prawie tak jak wtedy, gdy pierwszy raz przyjechałam do Osady i dowiedziałam się, że moje marzenia o pracy naukowej to mrzonki - tak On powiedział, kiedy w moich oczach pojawiły się łzy. Ale wtedy byłam gotowa do walki. Miałam przyjaciół, babcię Miriam, a przede wszystkim księdza Macieja, który wierzył we mnie. Dlatego On go nie lubił - wiedział, że był źródłem mojej siły, a wspierana przez Elitarny Kolektyw, byłam nie do pokonania.

Ból, samotność obezwładniały mnie. Moich przyjaciół już nie było albo ciężko chorowali. Wieczorami rozmawiałam z Tiną, która nie mogła przyjechać, bo Janek był w stanie krytycznym i chciał się ze mną pożegnać, a ja nie mogłam zostawić najważniejszego człowieka w moim życiu, który też był w stanie krytycznym.

Nie wiedziałam, czy moje serce to wszystko wytrzyma. Kardiolog ostrzegał i wzmacniał mnie zastrzykami, a jak było trzeba, to i kroplówkami. Ale to moja dusza obumierała, bo odeszli i odchodzili ci, którzy byli ze mną na dobre i złe, właśnie oni.

Rano udałam się, już nie wiem, który raz z rzędu, do domu seniora. W progu powitał mnie wolontariusz.

- Dobrze, że pani przyjechała. On jest bardzo słaby, chyba tylko czeka na panią.

Ksiądz Maciej leżał przy oknie, blisko, aby widzieć swój ogród. Drzemał. Podeszłam. Powtarzałam sobie: „Nie płacz, nie płacz”. Uśmiechnął się.

- Jesteś... Byłem pewny, że zdążysz - odczytywałam słowa po ruchu warg. Czułam, że jestem świadkiem, po raz pierwszy, jak ktoś świadomie żegna się ze światem. Moi bliscy odchodzili nagle, nie mówiąc nic. - Potrzyj mi rękę i bądź dzielna. Zanuć mi naszą ulubioną piosenkę.

Nuciłam z uśmiechem. Wiedziałam, że zawsze chciał, żebym się uśmiechała, gdy jest trudno.

- Do zobaczenia, Macieju.

Wreszcie mogłam tak powiedzieć. Otworzył oczy i uśmiechnął się.

- Dziękuję.

Nie wiem, ile godzin to trwało, ale czułam, że jego ręka połuźniła uścisk.

Zdażyłam powiedzieć:

- Do widzenia. Po raz pierwszy w to wierzyłam.

Są wartości tak cenne, że wobec nich wszystko milknie. Życie w ich kręgu to dotykać światła i spożywać owoc delikatny jak lekkość myśli w powiewie ciszy. Borys Russko

Epilog

Notatki księdza Macieja

Zostałem duszpasterzem utalentowanej młodzieży, którą złośliwie nazwano Elitarnym Kolektywem. Wśród nich były talenty matematyczne, muzyczne, humanistyczne, malarskie, a trójka była uzdolniona wszechstronnie: Róża, Tina i Janek. Nauczyciele ścisłych przedmiotów, choreografowie i nauczyciel muzyki prosili mnie o szczególną opiekę nad nimi. Bo albo odnajdą w sobie powołanie, albo zostaną dyletantami w wielu dziedzinach. Miałem nauczyć ich skromności, wytrwałości i pokory wobec talentów, którymi zostali obdarzeni - ja twierdzę, że przez Stwórcę, oni - że przez naturę. Ponieważ Róża pisze pamiętnik, postanowiłem, że będę prowadził notatki o ich postępach i wyborach - z mojego punktu widzenia. Wierzę w nich, choć powinienem być i bardziej wymagający, i mniej wyrozumiały.

Uczą się, tańczą, grają i śpiewają od rana do wieczora. Wszyscy ich chwalą, a oni ani nie byli dziećmi, ani nie są nastolatkami, od razu zostali ciężko pracującymi młodymi ludźmi. Dziewczęta nie bawiły się lalkami, a chłopcy nie grali w piłkę, nie brali udziału w bijatykach. Dbali o ręce, o nogi i o to, by ich ciała nie poniosły uszczerbku. Czasem jest mi ich żal, bo nawet ja miałem pełniejsze dzieciństwo, choć dość wcześnie odkryłem powołanie, a swoje zamiłowanie do nauki zrealizowałem, robiąc doktorat z teologii. Dużo z nimi rozmawiam, ot, tak zwyczajnie. Nie prawię im morałów, są zbyt inteligentni na karmienie ich banałami. Rozmawiamy o poezji, dyskutujemy o sztukach, które oglądamy w teatrze, słuchamy muzyki. Cieszę się, że uczyłem się grać na pianinie, bo jest coś, co nas łączy - muzyka.

Mój Elitarny Kolektyw jest już po maturze. Oczywiście, Róża zdała celująco, Tina bardzo dobrze, Janek na tyle, by mógł zostać w balecie Marii i Aleksandra, bo cały czas poświęca tańcu. Jest największą nadzieją choreografów. Róża też, ale jej marzą się przedmioty ścisłe, dlatego dużo czasu spędza na eksperymentach u profesora Skórki, który przekonuje ją, że szkoda jej szarych komórek na wymachiwanie nogami. Maria się gniewa. Ja wzdycham: „Panie Boże, dlaczego to dziecko obdarzyłeś tyloma zdolnościami? Czy to da

jej szczęście?". Wojtek koncentruje się na malarstwie; jemu wystarczają stopnie dostateczne, bo woli muzea, wystawy i malowanie niż algebrę. Wszyscy mamy nadzieję, że dostanie się na ASP. Jutro Miriam wyprawia przyjęcie dla wnuczki i jej przyjaciół - to znaczy, że będzie tłum. A ja chcę porozmawiać z babcią Różą, aby pomyślała o praktycznej stronie życia. Wczoraj Tina i Janek żartowali, że wątpią w to czy, Róża umie zagotować wodę, i czy wie, gdzie kupuje się bułki. Wszyscy się nią zajmują, żeby miała się w co ubrać, co zjeść i pięknie wyglądać, a ona tańczy lub siedzi w książkach, no, jeszcze gra na skrzypcach. Boże, miej w opiece to dziecko, któremu tak łatwo wszystko przychodzi, że nawet nie wie, czym została obdarowana. Myśli, że to normalne, i może dlatego nie jest zarozumiała. Pójdę do kościoła pomodlić się. Jutro odprawię mszę za moich podopiecznych, aby dobrze rozpoczęli dorosłe życie.

Już po przyjęciu u babci Miriam i po balu maturalnym. Teraz Janek, Tina i Róża przygotowują się do konkursu Młodych Talentów w Moskwie. Jeszcze przed wyjazdem odbędzie się występ baletu Marii i Aleksandra, a wybrani do konkursu zaprezentują się przed publicznością. Teraz odwiedza mnie tylko Wojtek. Wciąż rysuje. Chodzimy na dalekie spacer. Dzisiaj powiedział mi, że będzie lepiej, jeśli Róża nie pojedzie do Moskwy, a zwłaszcza do Gruzji, bo może już nie wrócić. Wiem, o czym mówi. Zauważyłem zauroczenie Róży Gagą - gruzińskim tancerzem i choreografem.

Teatr był wypełniony do ostatniego miejsca i każdego schodka. Ja byłem, niestety, po cywilnemu i siedziałem w łoży przyjaciół Marii i Aleksandra. Obecność księdza w teatrze, i to na balecie, spotkałaby się z niezrozumieniem, a nawet z potępieniem. Róża i Janek w Romeo i Julii byli świetni, Tina w Carmen znakomita, ale to, co zaprezentowała Róża w nowym tańcu opracowanym przez Gruzina, przeszło oczekiwania nas wszystkich. Ćwiczyli w tajemnicy, więc cały zespół i ich przyjaciele wraz z publicznością zobaczyli ten taniec po raz pierwszy. To była eksplozja skoków, piruetów, nieprawdopodobnie pięknych kroczków i wreszcie skok - lot ku szczęściu. Na chwilę przestało działać przyciąganie ziemskie. Róża płynęła nad sceną, a potem lekko wylądowała na rękach Gagi, który uniosł ją wysoko. Wtedy ona uniosła ręce i nogi w taki sposób, jakby

nie miała szkieletu. Okrążyli scenę przy takich brawach i aplauzie, że nie było słycać muzyki. Ukłonom nie było końca. To nie chodzi tylko o technikę - Róża tańczyła również sercem, wyzwalaając z siebie wszystko, co miała pięknego, czyli to „coś” - dar dla niewielu. Czy teraz porzuci balet dla nauk ścisłych? Miriam płakała. Wiedziałem, że boi się o wnuczkę. Zabrała Elitarny Kolektyw, Marię i Aleksandra, Gagę i mnie na kolację. W domu było już wszystko przygotowane w pokoju z rozsuwanymi drzwiami na werandę. Piękne zakończenie wieczoru, lecz przy stole nie było Róży. „Zaraz przyjdzie” - Miriam uspokajała wszystkich. - „Musi się trochę wyciszyć”. Nieprawda. Był u niej lekarz, bo znowu zemdląa. Już drugi raz w ostatnim czasie. Potem dowiedziałem się, że lekarz zalecił jej odpoczynek i spokój. A oni za pięć dni odlatują.

Odlecieli do Moskwy. Róża znowu w dobrej formie. Wojtek, choć nie tańczy, też pojechał, bo miał malować - wybrał się tam w roli dokumentalisty. Maria i Aleksander obiecali, że będą się opiekować Różą. Liczę zwłaszcza na Tinę, bo ich przyjaźń jest niezwykła. Między nimi tylko rok różnicy, ale Tina jest osobą dojrzałą i chodzącą po ziemi. Ufam jej, bo ma dobry wpływ na Różę. Odprawiłem mszę za ich szczęśliwy powrót.

Wreszcie jest od nich kartka. Listów nie brano pod uwagę. Cenzura kartki jest prostsza, zwłaszcza napisanej po rosyjsku. Same zachwyty. Na konkursie zdobyli nagrody i wyróżnienia. Maja Plisiecka jest cudowna, to baletnica przynajmniej stulecia. Po zwiedzeniu Kremla jadą do Tbilisi. Tam zatańczą w teatrze, a potem w nagrodę będą odpoczywali w kurorcie w Soczi. Dopisek Tiny: „Martwię się o Różę, nie tylko o zdrowie”. My z Miriam wiemy, co to oznacza. Róża może zostać w Gruzji z Gagą. A my nie możemy nic zrobić, bo w tej chwili jest dla nas niedostępna, przebywa niemal na innej planecie. Pozostało nam czekanie. Ja mogę się modlić, i to gorąco. Bo to nie jest kraj dla niej, wychowywanej w duchu wolności i tolerancji. Ona zawsze mówi, co myśli, nie bacząc na konsekwencje.

Jeszcze jedna kartka z Tbilisi i cisza. Oby nie przed nowiną, która spowoduje ból serca najbliższych przyjaciół Róży.

Wreszcie wracają, ale bez Gagi. Westchnienie ulgi. On podobno ma przyjechać po załatwieniu spraw w Moskwie, nie wiadomo tylko kiedy. Róża wbrew faktom jest pewna, że niedługo. Jest promienna.

Miriam jest pewna, że to nigdy nie nastąpi, i nie wierzy, że ślub był legalny. Róża nie ma żadnych dokumentów, a pytana o to wzrusza ramionami: „A po co mi one?”. Kiedy Tina i Wojtek opowiadają mi całą historię ich pobytu w Gruzji, myślę tak jak Miriam, bo przecież księżom katolickim odebrano „prawo do pracy”, tak to się nazywało, a cywilny ślub między cudzoziemcami wymagał dopełnienia wielu procedur. Był wręcz niemożliwy. Milczymy. Róża jest szczęśliwa i nie zamierza zajmować się prozą życia. Wojtek pyta: „A kiedy się nią zajmowała?”.

Powiedział to w złą godzinę. Balet Marii i Aleksandra rozwiązano, a im zaproponowano wyjazd do Izraela - bez żadnych wyjaśnień. „Jak to możliwe? Po sukcesach w bratnim kraju...” - nie mogłem tego pojąć. Taka decyzja. Niezrozumiałe - balet i wielka polityka. Rodzice Gagi używając nieoficjalnych kanałów, zawiadomili Różę, że Gaga i jego zespół zostali skierowani do teatrów na Syberii. Podobno ich samolot rozbił się pod Nowosybirskiem i nie wiedzą, czy Gaga żyje, bo o katastrofie nie wolno mówić. Róża wierzy, że żyje.

Róża przechodzi szybki kurs praktycznego życia. Maria przed wyjazdem do Izraela załatwia jej pracę w Mazurskim Zespole Pieśni i Tańca - dzięki swoim kolegom, którzy już tam pracują. Uruchamia znajomości w teatrze w Olsztynie i zobowiązuje swoich kolegów do opieki nad Różą.

Róża wyrusza w nieznaną, a Maria i Aleksander - do Izraela, bez możliwości powrotu. Jankowi udaje się uciec nielegalnie do Francji dzięki ojcu Tiny, która wraz z Wojtkiem rozpoczyna studia. Dlaczego Róża nie może studiować? Przecież ma świadectwo upoważniające ją do wyboru kierunku i uczelni bez zdawania egzaminów. Ludzie w szarych płaszczach zaczynają badać jej rodowód. Na szczęście babcia Miriam jest z Odessy. W dowodzie ma wpisane, że jest Ormianką, a dziadek to w połowie Rosjanin. Dobrze, że nie dotarli do drugiego dziadka, bo on ma znowu w żyłach krew niemiecką. Mogłoby się okazać, że Róża jest podejrzana - 1/4 Żydówki, 1/4 Niemki, 1/4

Rosjanki i 1/4 Polki. Czy można jej ufać? Jednak władze dochodzą do wniosku, że wszystko jest w porządku. Może to przerosło ich wiedzę o narodowościach. Teraz wiem, dlaczego Róża ma tyle sprzecznych cech: jest systematyczna, wytrwała, a przy tym pełna fantazji i zdolności muzycznych, jak to mieszaniec. Mimo że zostawiają ją na razie w spokoju, Maria radzi, aby na rok zniknęła z pola zainteresowania. Studia ma rozpocząć w przyszłym roku.

Wszyscy zajmujemy się wyjazdem Róży. Z Miriam spisujemy i pakujemy rzeczy, które będą jej potrzebne, a zostaną wysłane pocztą według wskazówek Marii. Róża pojedzie tylko z małą podręczną walizką, ponieważ czeka ją całonocna podróż przez Olsztyn, Kętrzyn do Węgorzewa. Tam ktoś będzie na nią czekał - oczywiście, emisariusz Marii - bo przed nią droga przez bezludne okolice, kilkanaście kilometrów. Skąd Maria zna tylu ludzi, i to w tak dziwnych miejscach? Śmieje się: „Dwa tysiące lat doświadczeń zgromadzonych w genach”. Odjeżdżając, płacze i śmieje się, mówiąc, że takiego scenariusza nie przewidziała, a było tyle planów. Życie wniosło istotną korektę. Róża dobrze to wszystko znosi, nie narzeka, nie ma pretensji, raczej jeszcze do niej nie dotarło, że jej życie radykalnie się zmieni. Traktuje to wszystko jako przejściowy okres, może jako przygodę. Po roku pójdzie na studia, jest tego pewna. Ja, o dziwo, też. Ale martwimy się o nią - jak zwykle.

Wszyscy wyjechali. Jestem bardzo samotny, tyle lat byli moją rodziną. Czy to jeszcze kiedyś powróci? W niedzielę jadłem obiad u Miriam. Babcia Róży również czuje się samotna i zamartwia się, jak jej wnuczka sobie poradzi, młoda i bez doświadczenia. Rano odprawiłem za nią mszę, pocieszałem ją.

Wreszcie przysłała list, a właściwie esej o Mazurach, że z jej okna na poddaszu widać w dali Jezioro Mamry - z wodą po horyzont. Wokół wzgórze i wąwozy, a w dole jezioro okrągłe i wypukłe jak bochenek chleba. Wraz z kolegami z pracy wędrują wzgórzami albo rowerami ścieżką wokół jeziora. Ostatnio odbyła piękną wycieczkę konno, a więc nie zapomniała tego, czego uczyła się przez tyle lat u cioci Broni. „Jest dobrze, a nawet świetnie, a przede wszystkim jest tam pięknie, a ludzie są życzliwi. Maria załatwiła mi osobistą ochronę,

więc się nie martwcie". Cała Róża. Za miesiąc jadą do niej Tina i Wojtek. Oceniają sytuację realistycznie.

Tina i Wojtek wracają. Potwierdzają wszystkie zachwyty Róży. Młodzież, którą uczy tańczyć, uwielbia ją. Pracują dużo, chętnie i czekają na jej pochwały. Ona naprawdę lubi tę pracę, odkrywa w sobie predyspozycje dydaktyczne. Chyba coś w tym jest, bo kto by słuchał poleceń takiej młodej dziewczyny, gdyby nie miała czegoś do zaproponowania? Tina z zachwytem opowiada, że byli na próbach i widzieli, jak Róża tylko da znak, że rozpoczynają, a rozbrykana młodzież milknie i ustawia się w szeregu, czekając na wskazówki. „Niebywałe” - dodał Wojtek. - „Taka kruszyna, a dyscyplina jak w wojsku”. Miriam się śmieje: „Moja krew, twarda sztuka”. A my i tak się martwimy. Dziwne.

Niestety, Róża nie przyjedzie na Boże Narodzenie, bo będzie miała tylko dwa dni wolnego, a więc tyle, ile potrzeba na podróż. Kiedy nauczyciele i młodzież udadzą się na ferie, w wolne dwa tygodnie zespół pieśni i tańca wraz z instruktorami będzie ćwiczyć, mając czas tylko dla siebie. Tak zadecydowała władza. Tina i Wojtek postanawiają pojechać do niej na wigilię oraz kilka dni ferii. Miriam piecze, smaży i przygotowuje różne przysmaki, aby osłodzić Róży brak rodzinnych świąt. Ja przygotowuję prezenty dla całej trójki - książki i płyty. Ojciec Tyny przyjechał z Włoch i kupił dla całej trójki piękne zegarki, a dla dziewczyn jeszcze bransoletki. Zapakował je, a ja mam je tylko włożyć do koszyka z prezentami przed wyjazdem. Miriam jeszcze coś dzierga, więc będą jakieś szaliki, czapki i rękawice, bo na Mazurach ostra zima.

Powrócili. Są zachwyceni wsią, ośrodkiem, kolegami i pracą Róży. Potwierdzają: jej młodość nie jest przeszkodą, młodzież absolutnie się jej podporządkowuje. Kiedy pokazuje im, jak mają wykonać kroki, figury czy skoki, patrzą z zachwytem, a potem ćwiczą i ćwiczą, aby ich pochwaliła. „Skąd u niej tyle cierpliwości? - dziwi się Tina. - „Setny raz pokazuje im, jak odchylić głowę, przyśpieszyć krok, złożyć ukłon i wiele, wiele podstawowych elementów tańca. Wcale się nie denerwuje. Mnie dawno szlag by trafił” - stwierdza. „Kiedy Róża w swoim furmańskim kożuchu, kupionym na targu,

wędruje z nami przez wieś, mieszkańcy witają ją radośnie. Adoptowali ją bez zastrzeżeń. Baliśmy się, że Róża nie da sobie rady, a ona czuje się tam jak ryba w wodzie. Adoratorów trzyma na dystans, są przy niej onieśmieleni, nawet wojewódzki sekretarz partii jest zauroczony. Nie korzysta ze swojej władzy, ale chce podbić jej serce. Ja się boję, to niebezpieczny facet: przystojny, młody, inteligentny, wykształcony, z manierami, jakby zszedł z ekranu przedwojennego filmu. Skąd w szeregach partii podobna postać na tak wysokim stanowisku? To jest podejrzane i niepokojące.

On może zrobić wszystko, a Róża nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa" - relacjonuje Wojtek. Ona flirtuje, a ja się zastanawiam: „A może to znajomy Marii, który ją ochrania?”. Okazało się, że Maria ma przedziwne znajomości, i to w różnych miejscach: od wioski na końcu świata aż do metropolii. Janek już tańczy w operze w Paryżu, oczywiście, z rekomendacji Marii i Aleksandra. Zastanawiam się. Sekretarz zjawił się tuż po przyjeździe Róży. Trudno uwierzyć, że przemierza tak sobie kilometry z Olsztyna do Kamiennej Góry, pełniąc taką funkcję. Gdyby nawet się zakochał, zadawałby sobie tyle trudu? I czy w ogóle mógłby? Coś w tym jest, muszę porozmawiać z Miriam, może ona zna wytłumaczenie tej historii. Jeśli jest inaczej, to niech Bóg ma w opiece Różę.

Nie ma wiadomości od Róży, żadnych. Do nikogo. Modłę się, babcia Miriam płacze, Wojtek klnie. Tina próbuje się dodzwonić, wysyła telegramy, bo przez telefon może tylko wykrzyknąć: „Słyszysz mnie?”. „Nie słyszę...”. „Mów głośniej...” - i przerwane połączenie. Ot co.

Tina podejmuje ryzykowną decyzję: dzwoni do wojewódzkiego sekretarza, bo tam można się dodzwonić. Poznała go w Kamiennej Górze. Po wielu trudach wreszcie połączono ją przez centralę, sekretarkę. Wie, że musi uważać na to, co mówi. Wyjaśnia mu, że się martwi, nie wymienia imienia Róży. On też inteligentnie, jakby chodziło o Mazury, wyjaśnia, że wszystko jest dobrze i ciężko pracują, bo zbliża się 1 Maja. Jako dziennikarkę (pomysłowy facet) zaprasza ją na te uroczystości, bo będą wspaniałe. Tina opowiada mi tę zaszyfrowaną rozmowę. Zrozumiała, że Róża jest zdrowa, dużo pracuje i jest pełna radości.

Zastanawiam się, skąd on to wszystko wie. Przecież jest w Olsztynie, a ona koło Węgorzewa. Wtedy nie wiedziałem, że on przynajmniej dwa, trzy razy w tygodniu bywał w Kamiennej Górze.

Tina i Wojtek wracają z Kamiennej Góry. Byli na akademii, na której tańczył zespół Róży. „Dokonała rzeczy niemożliwych” - relacjonują. Jednak martwią się, bo Sekretarz stracił dla niej głowę. Robi nieodpowiedzialne rzeczy, a jej się to podoba. Jest nim zafascynowana. Tina niepokoi się, ale jest pewna, że to się dla nich obojga źle skończy. Niestety, nie możemy nic zrobić. Oby jednak mogła pójść na studia, teraz tylko to się liczy. Muszę w to wierzyć, bo wygląda na to, że on raczej nie chce jej zaszkodzić. No cóż, jest zakochany.

Wojtek wpada w furję. Oczywiście, partia Sekretarza działa w duchu miłosierdzia i zrozumienia. On się poświęci i osłoni ją, kiedy wyjdzie na jaw jej pochodzenie i to, kto prowadził balet, w którym tańczyła. „Czy ty straciłaś rozum?” - krzyczy na Tinę. Myślę, że Wojtek realistycznie ocenia sytuację. Czekamy.

Wreszcie wiadomość: Róża przyjeżdża i już wie, że będzie studiować - powiedziała nawet, gdzie i na jakim kierunku. Znowu czekamy. Ta optymistyczna wiadomość jakoś nas nie uspokaja.

Babcia Róży jest tak roztrzęsiona, że przyjęcie powitalne odbędzie się na plebanii. Moja gospodyni z ochotą organizuje wszystko. Będzie oczywiście to, co Róża lubi, nawet nie musi nas pytać. Wiemy, że przygotowuje pieczoną kaczkę z jabłkami i rogaliki nadziewane - tak będzie przez lata. Mój udział sprowadza się do postawienia wina, które w tym roku wyjątkowo mi się udało.

Wreszcie na plebani jest wesoło i ludno, bo jeszcze na moment wpada ojciec Tiny i przywozi wieści od Janka, Marii i Aleksandra, a także mnóstwo prezentów, zwłaszcza dla dziewczyn. Teraz każdy ma gdzieś wtyczkę, my też - jest nią ojciec Tiny. Pada propozycja wędrowni po Pieninach. Ja też chętnie bym do nich dołączył, przecież jestem z Krakowa, więc kocham góry. Róża chce odpocząć u cioci Broni, leżeć nad Nidą, a wieczorem odbywać przejażdżki na koniu.

Brzmi to smutno, ale widoczne jest jej zmęczenie, a przede wszystkim to, że musi przybrać na wadze, bo bardzo wyszczuplała, choć i tak nie miała z czego schudnąć. „Wycieczkę zakończycie nad Nidą, prawda?” - pyta. Zgadzą się. Nie było to wesołe spotkanie, tak jak zwykle. Kiedy wszyscy się pożegnali, zatrzymałem Różę. „Co się dzieje?” - zapytałem i spojrzałem jej w oczy. Uciekła wzrokiem, mówiąc: „Nawet ksiądz mi tego nie wybaczy”. „A dla kogo ja jestem? Czy dla tych, co wiedzą, jak żyć, czy dla tych, co szukają drogi?”. „Nie zasługuję na przyjaźń księdza” - odpowiedziała i szybko wyszła. Poszedłem się pomodlić, bo wiedziałem, że Róża tego potrzebuje.

Wyjechała i nawet nie przyszła się pożegnać. Przez miesiąc milczała. Miriam wzdychała: „Musi się znowu odnaleźć” - tłumaczyła. „A powiedziała, co złego ją spotkało albo czy sama postąpiła niewłaściwie?” - zapytałem. „Myślę, że jedno i drugie” - podsumowała.

Wędrujemy przez dwa tygodnie w Pieninach. Nie rozmawiamy o Róży. Nie wstępujemy do niej, nad Nidę. Tak radzi Tina, a więc są powody, bo ona zna ją najlepiej. Zobaczymy ją, dopiero jak rozpocznie się rok akademicki. Cieszymy się już z tego, że wszyscy będziemy w jednym mieście, oczywiście, bez tych, którzy wcześniej wyfrunęli w świat.

Rozpoczął się rok akademicki. Od czasu do czasu odwiedzają mnie, razem lub osobno. Tylko na chwilę, bo albo cię uczą, albo bawią, a Róża spędza czas w teatrze lub na koncertach, ale najbardziej pochłaniają ją studia. Trafiła na profesora, który umiejętnie kieruje jej zainteresowaniami. Nieustannie rozwija się intelektualnie. Czasem przychodzi na dyskusje. Wówczas rozważamy różne kwestie z dziedziny ewolucji, a także filozofii - zwłaszcza poszukujemy sensu życia. Róża dodatkowo chodzi na wykłady z historii filozofii. Jest smutna, daleka i bardzo mądra. To już nie ta dziewczyna z buzią podlotka, radością życia, kochająca cały świat. To nie studia uczyniły ją tak dojrzałą, choć zapewne też. Jest coś, o czym Róża nie chce mówić nawet ze mną, choć wie, że może liczyć na moje zrozumienie. Jednak coraz bardziej zamyka się w sobie. To boli. A jeszcze niedawno zaśmiewali się, opowiadając, jak Róża nabijała się z

nadętych politruków, kiedy wkraczała na uczelnię w czerwonych spodniach, czarnym golfie i z włosami przewiązanymi czerwoną apaszką lub w spodniach w jaskrawą kratę, futerku z popielic i w czerwonych kozakach. Razem z Wojtkiem buszują na Bazarze Różyckiego, a potem babcia Miriam przemienia Różę w rajskiego ptaka fruującego w zgrzebnej i szarej ojczyźnie. Oni na zebraniach grzmia:

„To amerykańska moda, niesocjalistyczna itd.". Demoralizacja. A studenci czekają na korytarzu i kibicują jej. Kiedy dostaje publiczną naganę, pyta z miną pensjonarki: „Ale co ja zrobiłam? Nic. Co powiedziałam? Nic". Za Różą stał Dziekan z mocną pozycją. Róży nie ruszą.

Na ostatnim roku przedstawia nam swego chłopaka. Jesteśmy zdruzgotani. To ktoś, kogo Róża nie powinna spotkać. Arogancki, zarozumiały, sam dla siebie jest najważniejszy. O czymkolwiek zaczynamy rozmawiać, On od razu wygłasza zdanie twierdzące i kategoryczne. Po godzinie naszych wysiłków rozmowa milknie. Róża nie reaguje. Kiedy wychodzą, patrzymy na siebie w osłupieniu. Nawet Tina nie umie tego wytłumaczyć. Wojtek wreszcie znajduje jakieś wyjaśnienie: „Ona sobie robi na złość, idzie pod prąd". Może to spóźniony bunt nastolatki? Jestem bezradny, babcia Miriam też. To klęska naszych wychowawczych wysiłków.

Mój Elitarny Kolektyw rozpada się. Winię za to Różę, bo dotąd wszystko kręciło się wokół niej. Oddaliła się od nas. Gdyby nie ten fakt, On nie miałby żadnych szans. Jest osaczona. Dlaczego? Kiedy przychodzi i mówi, że wyjeżdża z nim na ścianę wschodnią, jest blada, przeraźliwie smutna i bezgranicznie samotna. Trzymam jej drżące ręce w dłoniach. „Różo, proszę, nie rób tego, ty nie potrafisz żyć bez uczucia i ciepła. To jest samobójstwo". „Muszę, muszę..." - powtarza, nieobecna i nieprzekonująca. Mnie pęka serce. „Co się z tobą dzieje?". „Czy mogę dzisiaj tu zostać?" - patrzy jak zranione zwierzę. - „Jutro wyjeżdżam. Nie mogę być sama, bo stanie się coś złego". „Oczywiście". Moja gospodyni zaraz się nią zajmuje, przytula do obszernego łona. „Dziecko, nie rób niczego przeciwko sobie, proszę, uwierz doświadczonej kobiecie". Wychodzę na werandę, czuje się bezsilny. Dzieje się coś złego, a ja zawodzę jako kapłan. Zdolna,

nawet bardzo, ma etat, ma gdzie mieszkać, ma przyjaciół, dlaczego wszystko opuszcza? On jest toksyczny. Co on jej zrobił? Rano zjedliśmy śniadanie, które przypominało stypę. Na werandzie żegna się, nie patrząc mi w oczy - pierwszy raz, odkąd ją znam. Wraca od furtki, chce coś powiedzieć, lecz rozkłada bezradnie ręce i odchodzi. Gdyby umiała płakać, może by pomogło. Modlę się.

Nie pisze. Nie przyjeżdża. Wojtek i Tina ruszają w świat. Babcia Miriam twierdzi, że Róża jest bardzo nieszczęśliwa. Dlaczego? Nie wiem. Nikt nie wie.

Nie mam ochoty pisać o Kolektywie. Poniosłem klęskę. Może kiedyś wrócę do notatek.

Minął rok i Róża uciekła z Osady, wywołując skandal. Nie tego jej uczyłem, nie takie wzorce otrzymała od Marii i Aleksandra, a przede wszystkim od babci Miriam.

Tina pracuje w Pradze, lecz na kilka dni przyjeżdża do Warszawy. Widzi się z Różą. Przyjeżdża do mnie. „Proszę jej wybaczyć, Róża nie miała innego wyjścia, to był krzyk rozpacz. On użył podstępu, a potem ją oszukał. Nie było przy niej nikogo, a On nadużywa swojej psychicznej i fizycznej przewagi, bo już osiągnął, co chciał. Wszyscy mu mówili: »Róża nie jest dla ciebie, ona jest z innego świata, nieosiągalnego dla takich jak ty«. I udowodnił, że jest jego.

Jestem pewna, że jeszcze ksiądz w nią uwierzy. Proszę jej pomóc, ja jestem daleko. Ona chce pracować naukowo, bardzo. Nie miała wyboru. Musiała uciec z Osady, tam jest okropnie, a jemu brakuje wyczucia". „Bo do miłości trzeba mieć talent" - komentuje babcia Miriam. - „On nie ma go wśród wielu innych, którymi obdarzyła go natura. Nieszczęśnik. Nie wystarczy chcieć, żeby mieć wszystko, czego się zapragnie. Niestety, On tego nie rozumie. Ktoś musiał go kiedyś skrzywdzić, teraz odgrywa się na całym świecie. I padło na naszą Różę".

Pójdę się pomodlić. Przecież to było takie pracowite i zdolne dziecko.

Minął rok. Tina miała rację. Róża zdobywa w konkursie ministerstwa stypendium na studia doktorskie. Idzie pod prąd. Wybiera sobie na promotora wybitnego uczonego w Warszawie, a na konsultacje będzie jeździć do Krakowa, bo tam jest najślynniejszy ośrodek naukowy z tej dziedziny, dopiero raczkującej, i życzliwy profesor, który rozumie i promuje nową dziedzinę. Badania będzie prowadzić w Osadzie, a więc chce postąpić jak należy. Może za szybko w nią zwątpiłem. Opowiada ze śmiechem, że osobie, która robiła jej największe trudności, „usunięto operacyjnie poczucie humoru”.

Róża, Tina i Wojtek odwiedzają mnie. Są niezwykle zadowoleni. Każdy z nich robi to, co lubi, nawet Róży się udało, zachwyca się Wojtek. „Jak ona pokonała tego Goliata?” - nie rozumiem. Zuch dziewczyna. „Miał ksiądz rację, ona jest wyjątkowa”. Róża jest roześmiana, zadowolona, taka jak dawniej. Jednak kiedy zostajemy sami, mówi: „Przepraszam, bardzo przepraszam za to, że nie zawsze mogę być w porządku, ale ja się bronię, proszę we mnie nie wątpić. Teraz już będzie dobrze, daję słowo”. „Dobrze, dziecko, dobrze, będę się modlić, abyś nie robiła już głupstw”. Idziemy do babci Miriam. Jest miło, nie wiem dlaczego, ale ona jest dumna z wnuczki, chyba więcej wie niż ja. Pocieszam się, że wspólny język nie oznacza wspólnych poglądów, lecz wspólną zdolność rozumienia rzeczy, które mogą różnić. Jest ona bodaj najcenniejsza we wzajemnym obcowaniu i wymianie myśli. I tego Róża oczekuje ode mnie.

Tina przyjeżdża z miną konspiratora. Jest zakłopotana. Mówi: „Bez nalewki nie dam rady. Nie wiem, jak to powiedzieć... Róża jest moją najlepszą przyjaciółką, a ja będę o niej mówić źle, ale powiem to tylko księdzu. Nie wiem, kiedy to się stało, ale Róża tak łatwo porzuca ludzi, którzy ją kochają, nawet jeśli dużo dla niej zrobili. A trwa w Osadzie. Co w niej pękło i dlaczego sama się znęca nad sobą? Dlaczego zamknęła się w skorupie i nikt naprawdę jej nie obchodzi?”. „My, Tino, my. Na pewno. Wiesz, Tino, ja myślę, że ona Gagę też by zostawiła, gdyby stanęła przed wyborem: on albo studia. Tak samo jak Gitarzystę - osiągnęła cel i go zostawiła, wmawiając mu, że to dla jego dobra, choć on z rozpaczony robił straszne rzeczy. Dobrze, że miał talent i wyśpiewał rozpacz. Opuszcza Osadę, a potem, jak jest jej

wygodnie, a może z zemsty, wraca, jakby nic się nie stało, choć nawet ten twardy facet o mało nie wpadł w alkoholizm. Róża traktuje swoje zachowanie, jakby było najnormalniejsze w świecie: rzuca, zdradza, wraca i realizuje swoje cele. Zdaje się mówić z uśmiechem: »Widzicie, taka jestem. I co mi zrobicie?«". Siedzę z płaczącą Tiną i mówię, że może przyczyniliśmy się do tego. Kochaliśmy ją i zawsze usprawiedliwialiśmy, że to wyjątkowa sytuacja, że inni są odpowiedzialni, ale nie Róża. „Gdyby ksiądz widział, co ona zrobiła z sekretarzem partii, a facet jak skała. Byliśmy pewni, że on spowoduje, że będzie musiała następny rok prowadzić zespół, bo chciał mieć ją blisko siebie. A on zrobił wszystko, żeby poszła na studia, mocno się narażając. Zdaje się, że mocno nadwyreżył swoją karierę, żeby Róża była zadowolona. Był zdruzgotany, beznadziejnie zakochany. A ona powiedziała: »Cześć«, gdy dostała to, co chciała. Kozak chronił ją przez cały rok, bez niego jej sytuacja byłaby nie do pozazdroszczenia. Maria wiedziała, komu ją powierzyć. Gdy wyjechała z Węgorzewa, od razu zapomniała. Oboje byliśmy zmartwieni, czy straciła wrażliwość i zdolność kochania, czy wręcz przeciwnie: za mocno kocha i się broni. Dlaczego? Ale nas kocha, prawda?" - pytała Tina, patrząc mi w oczy. „Nie powinnaś mieć żadnych wątpliwości".

Róża teraz przebywa częściej w Warszawie niż w Osadzie. Kończy doktorat. Prosi mnie o przeczytanie, chodzi o styl i estetykę. Za radą promotora wprowadza więcej metod matematycznych przy weryfikacji hipotez. Siedzi godzinami w bibliotece i uczy się nowych metod, a potem po konsultacji wprowadza je do rozprawy. Robi to z radością. To w niej podziwiam najbardziej - chętnie uczy się nowych rzeczy, a jej otwartość na to, co najtrudniejsze, i na krytykę jest ogromna. Oczywiście, walczy o swoje poglądy, interpretacje, ale błędy poprawia z pokorą. Ma wszelkie warunki, aby związać swoje życie z nauką, bo rozumie, że postęp w tej dziedzinie polega na dokonywaniu odkryć i poprawianiu błędów. Zawdzięcza to swoim Mistrzom - promotorom pracy magisterskiej i doktorskiej.

I temu, że nie szczędziła czasu na dodatkowe wykłady z filozofii, metodologii nauk przyrodniczych i na przysłuchiwanie się dyskusjom uczonych na otwartych sympozjach.

Przyjeżdża po zdaniu filozofii i języka obcego. Został jej tylko egzamin przedmiotowy, ale ten będzie możliwy dopiero wtedy, gdy zostaną sporządzone recenzje rozprawy doktorskiej. To może potrwać nawet trzy miesiące, więc Róża w tym czasie chce przygotować artykuł w języku angielskim ze swojej rozprawy. Śmieje, że należy ją skrócić o „spowiedź z literatury” i o niektóre akapity, o których jej starsza koleżanka powiedziała, że trzeba je „przykryć ogonem pogardy”. Śmiejemy się. Róża znowu jest sobą. Praca sprawia jej ogromną przyjemność, wręcz daje jej szczęście, więc nie pytam, jak On na to reaguje, przecież był na nie. Nie chcę pozbawiać jej radości. Wieczorem razem wraz z Wojtkiem idziemy na spektakl Niech tylko zakwitną jabłonie. Lubimy teatr Ateneum, a zwłaszcza jej aktorów: Aleksandrę Śląską, Romana Wilhelmię czy Mirosławę Dubrawską. Wojtek przypomina nam, jak po ostatnim spektaklu aktorzy zostali na widowni, aby ich wielbicielom mogli z nimi porozmawiać. Scena była pośrodku, a my wokół. Wojtek zapytał Andrzeja Zaorskiego: „Dlaczego unika pan spojrzenia w oczy?”, a on: „No, z panem nie, ale z pańską towarzyszką to kilka razy wymieniliśmy spojrzenia”. Śmiech i brawa. Wiadomo, że aktor nie spogląda widzom w oczy, bo nie może się rozpraszać. Podziwiamy Andrzeja Zaorskiego za ironię i lekkość humoru.

Siedzimy nad listem Marii i Aleksandra. Cieszymy się, że jeszcze pracują, ale martwią nas słowa: „Z trudem oswajamy się z myślą, że różne dolegliwości, choć jeszcze nie choroby, stają się częścią naszego życia. Jeszcze do niedawna nie przyjmowaliśmy do wiadomości takiego scenariusza. Naiwnie sądziłam - pisze Maria - że mnie to ominie. I rozumiałam tych, którzy za wszelką cenę pragnęli uniknąć chorób i starości. Macieju, wybacz moją zarozumiałość, bo przecież choroba jest częścią życia. I jak mawiała Miriam, trzeba nauczyć się z nią żyć i cieszyć się życiem. Czy nie sądzisz, że to mało atrakcyjna propozycja?”.

Róża otrzymuje kartkę z bardzo ładnym widokiem kwitnącego sadu. Jest na niej słowo „Prośba”. Brakuje podpisu.

Wszystkie moje słowa,
wszystkie moje pieśni
Przyjmij, proszę, w sadzie

pod kwiatami czereśni.

Ona wie, od kogo jest tak kartka. Sady z czereśniami były w Kamiennej Górze, rosły przy drogach do Węgorzewa. Patrzy na mój ogród i mówi: „Tylko jedna osoba mogła użyć tego szyfru: kwitnące czereśnie. Mogłabym do niego napisać: »Rozgrzane i pachnące trawy z macierzanką nad jeziorem«. Nie musiałabym podawać imienia". Nie pytam o nic, teraz Róża jest daleko, bardzo daleko. Biega po ogrodzie, jest bardzo zdenerwowana, może wzruszona. Chodzi w kółko i wciąż ogląda pocztówkę, jakby chciała znaleźć na niej jakiś znak czy ukrytą informację. Dochodzę do wniosku, że to coś lub ktoś jest bardzo ważne. Wraca i mówi bez związku: „Przez tyle lat opłacałam skrzynkę pocztową w Warszawie, całe studia, teraz też". Pytam: „Tylko jedna osoba o tym wiedziała, czy tak?". „Tak" - odpowiada. Jest bardzo wzburzona. Dawno nie widziałem jej tak poruszonej. Tina znalazła wyjaśnienie, bo najwięcej wie o życiu Róży na Mazurach. Piszę o tym i myślę: „Oby znowu nie było jakichś kłopotów, zbliża się termin obrony doktorskiej".

I wreszcie Róża staje przy pulpicie. Rozpoczyna drżącym głosem, a potem zwycięża jej temperament. Mówi swobodnie i z ożywieniem o rzeczach trudnych, a my, jej przyjaciele, podziwiamy, choć może nie wszystko rozumiemy. Przeszła jednogłośnie. Promotor ściska Różę, recenzenci również. A potem kwiaty i kwiaty... On nie przyszedł.

Wyjeżdża do Osady, mówiąc, że teraz będzie rzadziej przyjeżdżać, ale postara się chociaż raz w miesiącu. Rozmawiamy o podróżach, które tak uwielbia, choć po każdej ogarniają ją wątpliwości i nostalgia. Pocieszam ją, że jej miejsce na ziemi to nie to, z którego wyjeżdża, lecz to, do którego zawsze powraca. Wątpi. „To jest konieczność, a nie wybór" - mówi, odwróciwszy się przy furtce.

Znowu jestem osamotniony. Mój Elitarny Kolektyw w nieustannym biegu. Jednak jest i dobra wiadomość: w tym roku będzie mógł przyjechać Janek. Ale Aleksander i Maria - jeszcze nie.

Róża otrzymuje Nagrodę Ministra za pracę doktorską. Cieszy się, lecz wygląda na zagubioną. Jednak to nie z powodu wyróżnienia. Ktoś

znowu zrobił na niej ogromne wrażenie. Przyjeżdża często do Warszawy, ale nie zawsze mnie odwiedza. A jeśli już, to i tak jest nieobecna.

Tina wyjaśnia: „Dygnitarz”. Ją kochają silni i władczy mężczyźni. Jej kruchość, delikatność i to „coś”, co otwiera twarde serca i pociąga władzę, bo ona jej nie pragnie, nie zauważa, a nawet nie rozumie. I oni przy niej czują się bezpiecznie, ona zaś niczego od nich nie chce. Raczej pragnęliby tego, co ona ma: niezależności. Niejeden z nich „zamiast polotu wybrał rozsądek, miał być pegazem, a został wielbłądem” - tak Róża mówiła ze śmiechem o swoich wielbicielach, ale nie o Dygnitarzu. Szkoda, że nie widzi realnego świata tego człowieka. On istnieje dla niej taki, jaki jest w jej świecie.

Dziwne, Róża wspomina, że po habilitacji zamierza przenieść się do instytutu w Krakowie, ale pracownię będzie miała w Osadzie. Jest rozgorączkowana, trudno się z nią porozumieć. Tina wciąż powtarza: „Wszystko przez Dygnitarza. Róża jest nim zauroczona, a on zrobi dla niej wszystko”. Ale nowina - ile razy już to słyszałem. Tina jednak twierdzi, że to fantastyczny człowiek. „Jak wszyscy, którymi Róża jest zauroczona” - pomyślałem. - „Czy ona jest naprawdę mężatką, i to podwójną?” - zastanawiałem się. - „Może dlatego nie traktuje tych związków poważnie? Powinienem jednak zareagować. Wciąż jestem ich duszpasterzem”. „To jest miłość platoniczna” - zapewnia Tina, mówiąc o Dygnitarzu. „Oby wytrwali” - odpowiadam. Tina wątpi: „Kiedy z nimi byłem, myślałem, że zaraz wybuchnie pożar, bo iskrzyło dowcipem, radością i krążącymi między nimi fantomami, zrozumiałymi tylko dla nich. To wspaniały człowiek. Byli u mnie w Paryżu i usłyszałam, jak mówił do niej: »Kocham cię mocniej, niż rośnie drzewo, bardziej, niż słońce wypełnia powietrze. To nie ja napisałem te słowa, ale gdybym był poetą, byłyby moje«. Ale też potrafił ją rozbawić! Kiedyś Róża urządziła w ogrodzie przyjęcie dla jego gości. Bardzo tego nie lubiła, męczyła się wśród »oficjałków«. On napisał jej w podzięce:

Gwałtem przerwała
Towarzyskie męki,
Zbiegła z tarasu,
Wziąwszy nóż do ręki.
Z nożem tym biegnie,

Wreszcie przystaje,
Omija podwórze,
Patrzy ze wzdardą
Na lilie i róże.
Potem pośpiesznie
Wziąwszy się do dzieła,
Nożem ogromnym
Mały goździk ścięła".

- zakończyła Tina. Śmiejąc się, zapytałem: „Ale kwiatek był dla niego?”. „Oczywiście”. -

Opinia Tiny jest mało wiarygodna, bo akurat o nim dużo wiem od zaprzyjaźnionych profesorów. Opinie ich i Tiny dotyczą zupełnie innych osób, choć są o tym samym człowieku. Kiedy on jest prawdziwy? Idę się pomodlić, aby Róża jak najszybciej przeniosła się do Krakowa i postąpiła przyzwoicie.

Dar lata. Cały dzień spędzam w ogrodzie na pracy i modlitwie, a potem pod lipą i jabłonią pozostaję ze swoimi myślami wśród ulubionych książek. Niespodziewanie wpada Róża - prosto z Pragi. Opowiada mi, że było wspaniale. Na jej ręce mienią się różnymi odcieniami zieleni kamyczki - zupełnie jak jej oczy, kiedy opowiada o interesujących dyskusjach, wycieczkach i tańcach. A potem gawędzimy o życiu, pracy, przyjaźni. Nie muszę pytać, od kogo jest ta bransoletka. Martwię się. Wróciła z jakiegoś sympozjum, na którym była rutyna i nuda, aż wreszcie jakiś uczoney wstał i powiedział:

Mówimy za dużo,
piszemy za dużo,
myślimy za mało.

Szczerze się śmiejemy z takiego zakończenia sympozjum. Mądrego.

Dzisiaj w programie Król Lear z Gustawem Holoubkiem w roli głównej, prawdziwa uczta dla ducha. Tina, Wojtek, Róża, ja oraz Janek - który wreszcie może przyjeżdżać - jesteśmy oczarowani. Po spektaklu idziemy do restauracji koło teatru, aby coś zjeść i pogadać, bo jutro każdy pofrunie w inną stronę. Przede wszystkim cieszymy się, że jesteśmy znowu razem i możemy porozmawiać o sztuce i

wartościach, które warto wyznawać, choć wszyscy wiemy, jakie to trudne.

Dowiaduję się z Wiadomości, że Dygnitarz wraz z delegacją wyjechał do Francji, aby podpisać umowy o współpracy z innymi uczelniami. Dziwne, Róża jest od dwóch dni w Paryżu na sympozjum. Przypadek czy zaplanowane terminy? Modłę się, żeby Róża wytrzymała w swoim postanowieniu o nieromansowaniu z nim. Boże, miej ją w swojej opiece, bo ma w sobie tyle dobroci i radości.

Przez kilka miesięcy odwiedza mnie tylko Wojtek. Pokazuje mi dwa obrazy, które zostaną pokazane na wystawie w Paryżu. Cieszy się z sukcesu i z tego, że razem z Tiną i Różą zobaczą Janka w operze. Może przyjadą Maria i Aleksander. Żałuję, że nie będzie mnie z nimi.

Odwiedzają mnie Róża i Tina. Opowiadają o swojej pracy. Róża mówi o swoich planach przeniesienia się do instytutu w Krakowie. Już wcześniej o tym wspominała. Etat w Krakowie, a pracownia w Osadzie. Trudno to zrozumieć, ale w jej przypadku to prawie reguła. Właściwie się cieszę, bo Kraków to moje miasto. Mój ojciec był profesorem na UJ. Mówię jej, że będzie musiała pamiętać, że:

W Krakowie nie mogę,
W Krakowie się wstydzę,
Gdy tylu uczonych
Wokół siebie widzę.

Moi podopieczni wciąż gdzieś wędrują. Wpadają do mnie między jednym samolotem a drugim. Idą zmiany polityczne, powstaje Solidarność, a wkrótce będzie stan wojenny. O Dygnitarzu mówi się dużo i źle. Wysłuchuję jego przemówienia w telewizji o dobroczynności stanu wojennego i nie mogę uwierzyć, że Tina i Róża mówiły o tym samym człowieku. Róża go broni, ale nie spotyka się z nim. Pokazują go w telewizji przy boku Jaruzelskiego. Straszne. Widzę, że to ponad jej siły, więc milczę.

Siadamy w ogrodzie. „Będzie o przeszłości” - pomyślałem. Róża rozpoczęła spowiedź pod malwami: „Jednak nie dotrzymałam słowa babci Miriam, ale jej już nie ma, a ja nie mogę sobie z tym poradzić,

zwłaszcza teraz". Od razu wiedziałem, o kim będzie mowa. „Byliśmy w Gdańsku na konferencji, gdy odbywał się festiwal w Sopocie. Zapowiedziano noc z kabaretem. Oboje lubimy się śmiać, więc się wybraliśmy...". „Róża śmiech podnosi do rangi sztuki, a właściwie filozofii życia" - myślę i słucham dalej. „...Nie mogliśmy zostać rozpoznani, choć prawdopodobieństwo, że pojawiłby się tam ktoś ze świata uniwersyteckiego, jest małe. Chyba że studenci. On jest rozpoznawalny. Wkładamy džinsy, kolorowe koszule, śmieszne kapelusze i okulary słoneczne, choć była noc. Jesteśmy nie do rozpoznania w tłumie, tym bardziej że on po zrzuceniu garnituru jest kimś zupełnie innym. To naprawdę fajny facet. Sama jestem tym zaskoczona. Po kolacji z winem udajemy się na kabareton. Zaśmiewamy się z dialogu Fronczewskiego i Pszoniaka, zwłaszcza gdy padają słowa: »No wiesz, ten docent, taki kurdupel«. A ja niedawno dostałam tytuł docenta z jego rąk, choć w przykrych okolicznościach. Zapominamy o tym, więc zabawa jest przednia. Monolog Jana Pietrzaka z wyraźnymi podtekstami politycznymi także doprowadza mnie do łez, oczywiście, ze śmiechu. Ale i on dobrze się bawi, zapomina o polityce, gdy dowcip jest dobry. Otacza mnie ramieniem, a ja wsparta na tej żywej, ciepłutkiej poduszce, doskonale się bawię. Przed zakończeniem wymykamy się po angielsku, aby ktoś go nie rozpoznał, kiedy rozbłyszczą światła. Nie chce nam się wracać do hotelu, choć zaczyna świtać. Idziemy nad morze. Jest pięknie. Wiem, że wypiliśmy za dużo wina, że za dobrze się bawiłam i że z nikim mi się tak dobrze nie śmiało. Jeszcze przez moment przywołuję babcię Miriam. Ale już za późno. Wymazałam to z pamięci - tego nie było. Ale przyrzekłam sobie, że to się nie powtórzy. Unikałam wszelkich, nawet bardzo oficjalnych spotkań. Kiedy przyjechał do Osady z oficjalną wizytą, uciekłam do Krakowa, zaciskając zęby. A potem zmiany w moim życiu i w polityce zachodziły tak szybko, że było mi łatwo dochować przyrzeczenia. Choć nie do końca". Rozgniewałam się: „Milcz! Czy nie sądzisz, że kapłanowi powinnaś wyznać to w konfesjonale, a nie pod malwami?". Chciałam ją zapytać, skąd w niej to zamiłowanie do malw, dla niej to jakiś kwiat mistyczny. Tylko tam mogła wyznać grzechy przeszłości. Idę się pomodlić. Kiedy ona się wreszcie odnajdzie? To wszystko bardzo mnie boli. Klęcząc, szukam odpowiedniej modlitwy i w sercu, i w głowie.

Róża wyjeżdża na jakiś czas za granicę. I dobrze. Dla wszystkich. Dla mnie też. Tylko nie wiedziałem wówczas, że oni zmylili wszystkich i wyjechali razem. Różo, nie tego cię uczyłem, choć wiem, że jesteś szczęśliwa. Pierwszy raz powiedziała: „Jestem taka szczęśliwa”. Ona nie używała takich słów jak „szczęście”, „miłość”, „kocham”. Lubię Dygnitarza, bo dzięki niemu Róża poznała siebie. Może naprawdę jest dobrym człowiekiem, tylko zagubionym, jak Róża?

Przez prawie dwa lata nasze kontakty są ograniczone wskutek utrudnienia podróży przez rygorystyczne przepisy stanu wojennego.

Wiem, że Róża pracuje nad książką z kilkoma kolegami. Chcą uniknąć marazmu, jaki wszystkich ogarnął. Niektórzy uważają, że to kolaboracja. Ona tłumaczy, że właśnie IM chodzi o to, abyśmy byli bierni. Oddają książkę do wydawnictwa po zakończeniu stanu wojennego. Ostatecznie przeleżała tam jeszcze przez rok, bo sami musieli się starać w różnych instytucjach o papier, aby można było ją wydrukować. Wbrew obawom wydano ją bardzo ładnie i uzyskała kilka świetnych recenzji. Róża zadowolona rusza w świat.

Spełniają się jej marzenia: wyjeżdża do Londynu, do Mistrza, który jest twórcą dziedziny będącej przedmiotem jej zainteresowania. Przygotowuje się merytorycznie i wpada tylko na chwilę. Jest bardzo zadowolona. Do tej pory mogła wyjeżdżać tylko do krajów z bloku wschodniego. Przez kilka dni była tylko w Holandii i w NRF - ie. Na sympozjum wyjechała, pokonując piętrzące się trudności. Chwila otwarcia na świat przez Gierka umożliwiła jej to, no i oczywiście Dygnitarz, ale paszport trzeba było za każdym razem oddawać w Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, w Pałacu Nauki i Kultury. Teraz, w latach osiemdziesiątych, jest inaczej, czyli gorzej, chyba że jedzie się w jedną stronę. Przed wyjazdem do Anglii wpadła, żeby zjeść obiad i obejrzeć mój ogród, który wciąż się rozrasta. Chwaliła bogactwo i różnorodność gatunków oraz wyhodowanych przeze mnie odmian. Najbardziej zachwyciły ją malwy, miała sentyment do tych kwiatów. „Co za kolory, niesamowite” - śmiała się i tańczyła wokół nich. Dawna Róża. Czuję, że nauka daje jej wiele satysfakcji i koncentruje się tylko na tym. Dużo dyskutujemy o tym, że najpierw

należy zrobić to, co naprawdę chcemy, to, co jest najważniejsze dla każdego z nas. Wiem, że dla niej jest to nauka.

Zmienia się ustrój. Planujemy odwiedzić Marię i Aleksandra. To teraz bardzo proste. Tina i Janek zajmują się całą logistyką podróży, która będzie wiodła do Izraela przez Egipt. Ja dojadę od razu do Jerozolimy. W pobliżu mieszkają nasi przyjaciele. Dzwonimy do siebie. Piszemy. Komu to kiedyś przeszkadzało, że ludzie utrzymywali kontakty? Róża jest smutna i jakaś nieobecna. Jej najlepszy przyjaciel odszedł i nie doczekał tych istotnych zmian.

Jestem pierwszy u Marii i Aleksandra. Elitarny Kolektyw przyplynie dopiero za dwa dni. Jestem przerażony. Gaga od kilku miesięcy mieszka w Jerozolimie, jest choreografem w operze. Mówię Marii, że Róża wreszcie odnalazła drogę w swoim życiu, choć popełniła wiele błędów i dotknęło ją wiele niesprawiedliwości. „Ale czy jest szczęśliwa?” - pyta Maria. „Nie wiem, ale się odnalazła. Jej serce może tego nie wytrzymać, ona jest po zawale”. Należało ją uprzedzić. „Wtedy by nie przyjechała” - tłumaczy Maria. Idę do kościoła - już nie umiem się modlić. Biorę udział w jakiejś manipulacji, której wrażliwa i uczuciowa osoba może nie wytrzymać. Nie powinienem brać w tym udziału. To nieuczciwe. Róża osiągnęła spokój, w czym pomogła jej wymarzona praca. Dlaczego oni to robią? Nie będzie mnie w operze, kiedy oni będą oglądać balet z choreografią Gagi. Biedna Róża.

Czekałem w hotelu, bo dopiero jutro pojedziemy do domu Marii i Aleksandra. Siedziałem w holu. Róża blada weszła szybko i pobiegła do swojego pokoju, zostawiając wszystkich parę metrów za sobą. Zapytałem w recepcji, czy mają lekarza w hotelu. Mieli. Poszedłem za Różą. Miała potworną migrenę. Pomagam jej, nikogo nie wpuszczam.

Nie wiem, jak oni to zrobili, ale Róża i Gaga wyjeżdżają na dwa tygodnie do Portofino. To podobno było ich marzenie. Wracam do Warszawy. Jestem rozgoryczony. Nie chcę z nikim rozmawiać. Uważam, że zdradzili Różę. Nie wolno bawić się ludzkim losem.

Róża wraca sama. Wszyscy udali się do swoich miast i krajów, w których pracują. Gaga do Nowego Jorku. Róża rzuca się w wir pracy,

aby zakończyć różne zobowiązania, bo planują z Gagą wspólne życie. Czyją ona jest naprawdę żoną? Gaga twierdzi, że jego. Mówi, że ma papiery. Nie wierzę. Dziwne, kiedy Róża była w Londynie, mogła się z nim zobaczyć, ale uciekła. Dlaczego tego nie uszanował? Nawet do mnie przyjechał, żebym mu pomógł, ale ja nie bawię się w Pana Boga. I wiem, z jakim trudem Róża osiągnęła równowagę psychiczną. Żyje prawie normalnie. Jeszcze nie przeżyła żałoby po tak bliskim jej Dygnitarzu, Martwię się, ale Gaga już jej go nie zastąpi.

Gaga zginął w wypadku samochodowym, gdy jechał na lotnisko, w głupi i lekkomyślny sposób. Róża jest w Osadzie. Nie odbiera telefonów. Próbuje skontaktować się z nią przez jej sekretarkę. Wciąż słyszę: „Pani profesor pracuje z zespołem przy redakcji książki, nie może podejść”. „Czy jest zdrowa?” - pytam. Usłyszałem tylko: „Czego, do cholery, wciąż wisi pan przy telefonie?”. I koniec.

Przychodzi Wojtek. „Losowe zdarzenia rozstrzygają nasze problemy i weryfikują życiowe plany” - wzdycha. - „Wiesz, Macieju, według mnie Róża i tak by z nim nie została. Jak coś osiągnie, zaraz przestaje być tym zainteresowana. Portofino - i owszem. Ale wspólne życie - chyba nie. Zaraz wyruszyłaby na jakąś ekspedycję, a on pofrunąłby na jakiś inny kontynent, żeby opracowywać nową choreografię baletu. Ona nie jest zdolna do stworzenia trwałego związku. Cieszy ją tylko to, co jest przed nią - i w nauce, i w życiu” - spojrzał na mnie z wyrzutem. - „To wszystko przez ciebie. Jedyne, co jest stałe w jej życiu, to ty”.

Idę na spacer przez łąki w stronę domu Miriam - z przyzwyczajenia, bo jej już nie ma. Dożyła do habilitacji Róży. Uspokoiła się, bo wiedziała, że teraz jej wnuczka może wybierać pracę w kraju lub zagranicą, już nie będzie niczyją niewolnicą. „To wszystko przez tę Osadę. To nie miejsce dla niej. Gdyby tam nie pojechała, jej życie byłoby inne, zupełnie inne” - wciąż to powtarzała. Tina potakiwała. Wojtek miał inne zdanie, a ja byłem przygnębiony.

Róża znowu miała zawał. Jest w „rządowym” szpitalu w Warszawie. Przyjaciele przylatują z różnych części świata. Kiedy dojechałem, byli już na korytarzu. Otoczyli kardiologa. „Już wszystko

zrobiliśmy. Teraz możemy liczyć tylko na jej organizm" - pocieszał. „Może wejść jedna osoba. Maciej" - decyduje Wojtek. Oni potwierdzają. Idę, choć nie wiem, czy moje serce to wytrzyma. Biorę lekarstwo i przywołuję wiersz księdza Twardowskiego. Ileż ich czytałem z Różą...

Pokochać człowieka by stać się
samotnym
być przy najbliższym
by znaleźć się dalej
to nic
tak trzeba
bo taka jest droga
właśnie to szczęście
otworzą się oczy
miłości ludzkiej stacyjka uboga
kochać człowieka by zdążyć do Boga.

Budzi się i uśmiecha. Jaki wiersz usłyszę? Na pewno nie ten, o którym myślałem na korytarzu. Wyręcza mnie:

Obłoki przyjaźnie rozstania
udane nieudane
to o czym jeszcze nie wiesz
wszystko darowane.

Uśmiecha się. Na tę okazję chyba lepszy będzie ten:

Nie godzina - bo to za dużo
kwadrans nawet nie trzeba
jedna chwila prowadzi do nieba
wiosną, latem, jesienią i zimą.

„Może czas mnie nawrócić?" - pyta. „Zdążę" - odpowiadam i wychodzę. To ponad moje siły. Starzeję się.

Róża powoli wraca do zdrowia. Potem ze swymi przyjaciółmi jedzie do Tunezji na rekonwalescencję, bo u nas listopad. Przysyłają kartkę i dużo słońca. Dzięki Ci, Boże, że przetrwała. Tak niewiele brakowało, a nie byłoby jej wśród nas.

Wraca. Rzuca się na pracę jak zgłodniały człowiek na kawałek chleba. Kiedy jest w Warszawie przejazdem (w drodze do Krakowa),

odwiedza mnie i opowiada o swoich badaniach, artykułach i pomysłach na nową książkę. O życiu osobistym ani słowa. Często jest w Osadzie sama. On w długich wyjazdach. Może to dobrze. Trzeciego zawału już nie przetrwa

Muszę mieć zmieniony rozrusznik, stary już nie wspiera mojego słabego serca. Elitarny Kolektyw zwiera szeregi.

Róża załatwia mi wizytę u jej kardiologa. Rzeczywiście, jest znakomity, wiem to po kwadransie. Lekarz z powołania. Nic dziwnego, że wyprowadził Różę z dwóch zawałów. Poleca zmianę rozrusznika. Niestety, nie mają takiego w klinice. Tina postanawia sprowadzić go z zagranicy. Janek wspiera ją w tym. Po tygodniu mam nowy rozrusznik i wypoczywam w domu otoczony opieką całej czwórki. Zjechali ze wszystkich stron świata. Kardiolog zazdrości: „Chciałbym mieć takich przyjaciół”. Niedawno w tym samym szpitalu mówił to Róży, kiedy stawiliśmy się w komplecie. Coraz częściej myślę o przeniesieniu się do domu seniora. Tam też będę mógł uprawiać kwiaty - jest tam duży ogród. Ale coraz bardziej potrzebuję opieki, przekroczyłem osiemdziesiątkę. Choć nie choruję i jestem sprawny fizycznie, serce ogranicza moją aktywność. Muszę dużo odpoczywać. Na moje miejsce przyszedł młody ksiądz. Źle się czuję jako lokator na swojej plebani.

Zorganizowali mi sprawnie przeniesienie do domu seniora w podwarszawskiej miejscowości. Wojtek nawet pomyślał, by przewieźć moje pianino, które towarzyszy mi od dziecka. Tina zajęła się książkami, Janek płytami, a Róża segreguje nasiona moich ulubionych kwiatów. Umieszcza je w torebkach, opisuje gatunek i dołącza komentarze, na przykład: „Wyjątkowo piękny kolor. To moje ulubione malwy. Są niezbędne w każdym ogrodzie...”. Numeruje torebki i robi spis - naukowiec. W ciągu jednego dnia jestem już, dzięki nim, zdomowiony. Wszystko jest na swoim miejscu. Razem zjadamy pizzę i popijamy moim winem. Zapewniają mnie, że będą mnie odwiedzać. Kiedy ratowałem Różę w Jerozolimie, gdy cierpiała na migrenę, obiecała mi, że będzie do mnie wpadać. Teraz śmiejąc się, mówi: „Ja nie mam wyjścia, przyrzeczenie w takim miejscu zobowiązuje”.

Odjechali, zostałem sam. Jutro zajmę się ogrodem, a dzisiaj zagram sobie na pianinie. Wiem już, dlaczego malwy nie są dla niej tylko kwiatami, które otaczały dom babci Miriam. Właśnie wśród nich powiedziałem jej: „Jesteś wyjątkowa. Nie zmarnuj tego”. Nie zmarnowała.

Róża wpada niespodziewanie. Opowiada mi o świetnie wystawionej Elektrze w operze i zachwyca się Ewą Podleś. Bardzo trudna muzyka, ale niezwykła. Przez chwilę słuchamy jej z płyty, którą mi zostawia.

Wojtek odwiedza mnie często. Róża co dwa tygodnie - jest zmęczona i smutna. Zawsze miała w sobie radości i entuzjazmu, że wszystkich nas nimi obdarowywała. Wojtek wreszcie mi wytłumaczył: „On za rok ma iść na emeryturę i nie chce się z tym pogodzić. Jest zestresowany i to odbija się na jego zdrowiu. Róża próbuje go zachęcić do zakończenia monografii, którą przygotowuje drugi rok. Siedzi godzinami nad pustką kartką. Nie pomaga tłumaczenie, że jako profesor może pracować nawet po osiągnięciu wieku emerytalnego, tylko nie może być dyrektorem. I oto chodzi. On nie chce z tego zrezygnować. Róża pomaga mu przejść przez tę trudną dla niego drogę. Ochrzaniłem ją, czy już nie pamięta, że On nie tylko jej nie pomagał, a wręcz przeszkadzał w pracy. On pracę ma, pozbawiają go tylko władzy” - był naprawdę oburzony. „Ona czyni to, co musi” - tłumaczyłem mu. - „Tak trzeba. Taka jest Róża. Gdy są trudności, stara się pomóc, zapomina o krzywdach” - próbowałem przekonać Wojtkę do aktu miłosierdzia. Bezskutecznie. Kiedy odjechał, myślę: „Biedna, czy ona nigdy nie zazna spokoju?”. Pójdę się pomodlić.

Przy herbacie zaczęliśmy rozmawiać o jej małżeństwie. Choć jestem przeciwko rozwodom, w tej sytuacji trudno nie przyznać Wojtkowi racji, że Róża mu powinna powiedzieć: „Idź w cholerę”. Pozornie to ona jest tą, która zdradza, a jej ekstrawagancje budzą i złość, i zazdrość. A są i tacy, którzy mu współczują, bo sprawia wrażenie dobrego męża, a tu taka lekkomyślna, niesforna żona nie docenia jego wielkości. Ona jest za ambitna, żeby opowiedzieć, jak cierpi w samotności i chorobie, a przez pierwsze lata jeszcze żyła w

biedzie. Tymczasem On systematycznie i planowo niszczy jej marzenia. My, jej przyjaciele, wiemy o tym, ale dlaczego tak bardzo się stara, by w jej środowisku wyglądało to inaczej? Babcia Miriam mówiła jej: „On wypełnia całą przestrzeń. Nie wiem, czy wywalczysz dla siebie kawałek miejsca”. Wywalczyła. Ale jako jedyna, mimo że przez jego zakład przewinęło się wielu naukowców. Wytrzymali rok, czasem dwa - i koniec, nie znaleźli w sobie siły, by walczyć o swoje zdanie i o własne miejsce w nauce, choć traktował ich łagodniej niż Różę. Im rzadziej się ktoś z nim spotykał, i to tylko w sprawach naukowych, tym lepsze miał o nim zdanie. Natomiast dłuższa i bezpośrednia współpraca kończyła się klęską. Nie wychował żadnego następcy, ucznia, który zostałby i współpracował z nim, a teraz, kiedy zbliża się czas emerytury, mógłby komuś przekazać to, co z taką pasją tworzył przez całe życie. Teraz dopiero wszyscy pytają: „Dlaczego?”. Inaczej też patrzą na Różę, przypominając sobie, w jakiej sytuacji pracowała, jak zdobywała kolejne stopnie, wyróżnienia i nagrody. Gdzie On wtedy był? Gdzie był, gdy chorowała na zapalenie płuc, leżała sama z wysoką gorączką w zimnym mieszkaniu? Gdzie był, gdy wykrwawiała się na śmierć? Nikt nie zna odpowiedzi. Róża milczy. Wojtek mówił: „To takie proste. Ona krucha i lekkomyślna, a w środku skała. On wymagający, praca ponad wszystko, uznawany i szanowany, a w środku zakompleksiony. Kiedyś został przez kogoś porzucony i skrzywdzony, a teraz wydaje mu się, że wyrównuje rachunki ze światem. Różę lubi się lub kocha za nic - za to, że po prostu jest. On musi się mocno napracować i zabiegać, by go szanowano i lubiano, a potem często okazuje się, że było to interesowne. Nawet jego przyjaciel z lat szkolnych, gdy korzystniej było zawrzeć przymierze z koleżanką, która od lat będąc przy władzy, „kopała dołki” pod każdym, kto był od niej lepszy, z wielką łatwością się do niej dołączył, a nawet okazał się w tym lepszy od „jego mistrzyni”. To nieszczęśliwy człowiek. Nie miał szczęścia do ludzi. Róża chociaż miała w życiu szczęśliwe chwile, była kochana - i to jak, a przy tym umiała się cieszyć życiem wbrew wszystkiemu. Ileż w niej radości, pomyśl, Macieju: cieszy się twoimi kwiatami, cieszy się, kiedy pracuje nad książką, i cieszy się, że słońce wschodzi i zachodzi”. „To naprawdę dar Boży” - wzdycham. „Albo natury” - Wojtek musi mieć ostatnie słowo w dokonanej psychoanalizie.

Spędza u mnie popołudnie przy herbacie pod malwami. Jest smutna. „Brak mi śmiechu” - żali się. Wieczorem idzie na benefis Jana Pietrzaka. Na drugi dzień opowiada mi dowcipy, ale najbardziej zapamiętała słowa piosenki Ewy Dałkowskiej, które właściwie są jej dewizą: „Aby Polak robił systematycznie to, co czyni spontanicznie, metodycznie, to sporadycznie...”. Zostawia mi płytę z piosenkami z czasów Solidarności. Słucham sam, bo Róża śpieszy się na dworzec. Myślę, że bardzo brak jej śmiechu, a dla niej jest on ważniejszy od jedzenia. Jednak coś ją gnębi, lecz ona się nie pożali, bo nie wie, co czemu zakłada, że musi sobie poradzić sama, cokolwiek by się działo. Pomodłę się. Może ma poważne kłopoty.

Nie wiedziałem, jak bardzo było jej to potrzebne. On odszedł nagle, nie doczekawszy emerytury. Zabił go stres. Rozdzwoniły się między nami telefony. Chcieliśmy pomóc Róży. Ona niczego nie chce. To będzie oficjalny pogrzeb, Nikt z nas nie jedzie do Osady - takie jest jej życzenie. Elitarny Kolektyw martwi się o nią, lecz nie zdobywa się na wybaczenie krzywd, jakich doznawała w Osadzie przez jego ekstrawagancje. Nawet w takiej chwili On nie może oczekiwać od nich przebaczenia. Ja się modlę, by ta zbłąkana dusza znalazła spokój.

Róża jedzie do sanatorium. Nie może patrzeć, jak porządkują i likwidują jego gabinet, pakują prywatną bibliotekę, a jej mówią, że ma się przygotować do opuszczenia pracowni i mieszkania, które jest funkcyjne, choć wszyscy wiedzą, że nie ma dokąd pójść. Jedni się dziwią, a drudzy uważają, że mogła pomyśleć o tym wcześniej. „Kiedy miała się tym zajmować?” - zastanawiam się. - „Przy tych marnych pensjach... A jeszcze trzeba było inwestować w rozwój naukowy: kupować książki, jeździć na sympozja, odbywać naukowe podróże. Inaczej zostaliby prowincjonalnymi naukowcami. On pozostawił po sobie coś, co zauważono w świecie nauki. Znowu Róża będzie ponosiła konsekwencje jego wyboru Osady jako miejsca życia”. Wojtek odwiedza mnie. Klnie, aż muszę go mitygować. „Dlaczego choć raz nie zrobił dla niej czegokolwiek? Przecież wiedział, że to mieszkanie funkcyjne. Ten zarozumialec myślał, że wszystkich przeżyje!”. „Wojtku, przecież On nie żyje” - upominam, chociaż we mnie też się gotuje. - „Teraz musimy pomóc Róży” -

„Zrób coś, żeby zmartwychwstał, a ja go skopię i uduszę. Potem niech już spoczywa w pokoju. Żałuję, że nie dałem mu w mordę, jak się wydzierał na Różę, kiedy mu tam czegoś odmówiła” - denerwuje się. Przypomniałem sobie, jak przyjechali wcześniej do Augustowa, niż zamierzali. Wtedy Wojtek opowiedział mi, że uczonym to może On jest, ale człowiekiem - nie. „Wiesz, Macieju, ktoś, kto zajmuje się udoskonalaniem ludzkości, nie widzi cierpienia człowieka żyjącego obok”. Nic nie odpowiedziałem, ale pomyślałem, że ma rację.

Róża przysłała kartkę z sanatorium i pociesza nas wszystkich, że z jej zdrowiem coraz lepiej. Czekamy na jej powrót. Wojtek wiedząc, że czeka ją przeprowadzka do Warszawy, wysłała jej złośliwą fraszkę:

Hej, rodaku, do Warszawy,
Złapać stołek, łyknać sławy.
Tam bez znoju czeka wszystko:
Grosz, uciechy, stanowisko.

Przyjeżdża Tina. Dzięki Bogu. Ona jedna wie, co trzeba zrobić dla Róży. Ta ostatnia dowiedziała się już, że przyjaciele wynajmują jej kawalerkę na Starym Żoliborzu. Przy pięknym parku, blisko metra i opery. Z Wojtkiem jadą do Osady, aby zabrać jej ulubione książki, płyty i osobiste rzeczy. Tina dokona selekcji, bo wie, bez czego Róża nie może żyć. Przewożą rzeczy do jej nowego mieszkania, już umeblowanego na nowo. Nie ma w nim niczego z Osady, absolutnie niczego. Oni wszystko ustawiają i wieszają na właściwych miejscach. „Tina cały czas płakała” - opowiada Wojtek po powrocie z Osady. - „To było straszne uczucie, kiedy stanęliśmy przed półką z książkami jej autorstwa, przed pudłem artykułów, które napisała. Ile tego jest... Biedna Różyczka, straszna niesprawiedliwość. Ani zdolności, ani pracowitość, ani zamiłowania dydaktyczne nie zapewniają jej spokojnej starości. Macieju, gdzie jest twój Bóg?” - Wojtek traci panowanie nad sobą. - „W dupie mam taki świat!” - krzyczał. Nie reagowałem, bo też czułem, że Róży dzieje się krzywda. To po prostu niesprawiedliwe. .. Żeby choć miała dostęp do pracowni i biblioteki, bo o resztę dorobku życia nie dbała. Ja pójdę się pomodlić, a Wojtek musi się wykrzyzczyć. Tina odleciała. Wszystko jest gotowe na

przyjazd Róży. Nie będzie musiała dokonywać wyboru. To by ją zabiło.

Róża wraca z sanatorium. Wygląda świetnie: policzki się zaokrągliły, jest opalona, a jej oczy znowu błyszczą radością i entuzjazmem. Wojtek podrzuca ją i woła: „To znowu nasza Różyczka!”. Ja też tak myślę. Cieszę się, że znowu wszyscy będą mieszkać w Warszawie, bo Tina i Janek też niedługo wracają do kraju, choć mają domy w Paryżu. Tłumaczą, że się starzeją i chcą jeszcze pobycć razem, jak dawniej. Czytam Wojtkowi księdza Twardowskiego:

Spieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą
i ci co nie odchodzą nie zawsze powrócą
i nigdy nie wiadomo mówiąc o miłości
czy pierwsza jest ostatnią czy ostatnia pierwszą.

Wojtek znajduje wytłumaczenie dobrego samopoczucia Róży. Sanatorium - owszem, ale w takich chwilach potrzebny jest drugi człowiek. Okazuje się, że powrócił do kraju muzyk, który jako początkujący artysta pomógł jej wydostać się z Osady. Dzięki temu mogła rozpocząć pracę naukową wbrew temu, co On wyprawiał. „Czy to ten od piosenek Zielonooka i Baletnica w jeziorze?” - pytałem. „Tak, i nie tylko. Napisał też fraszkę:

Gdy zimno ci będzie
w małżeńskiej pościeli,
Jam gotów cię ogrzać
I z tobą grzech dzielić.

Dzięki Róży, a właściwie nieodwzajemnionej miłości komponował piękną muzykę i śpiewał... śpiewał, aż znalazł się w Nowym Jorku. Chciał dla niej wrócić, ale ona realizowała swoje marzenia. Już nie był jej potrzebny. Teraz wrócił i opiekuje się niewdzięczną Różą. Ma szansę, bo jest podwójną wdową” - Wojtek interpretuje tę nową sytuację. „Mityguj się, Wojtku” - strofuję go, ale lubię jego szczerść, choć nieraz jest bolesna.

Róża często mnie odwiedza i znowu tańczy wokół malw i dali. Jest taka lekka i radosna. Cieszę się, bo część jej zadowolenia spływa na mnie, dzięki czemu starość nie jest tak dokuczliwa.

Przez parę dni Róża nie przychodzi. Kiedy w końcu się pojawia, jej twarz jest rozświetlona, a oczy zielone i szczęśliwe. Opowiada mi o Wiedniu, o koncertach, na których była, o przejażdżce Dunajem. Wreszcie mówi, że była tam z przyjacielem z młodości. Myślę sobie: „Jak ona łatwo odradza się, jak lekko zmienia życie. Niedawno wszystko straciła: pracownię, bibliotekę, mieszkanie, no i męża, niezbyt dobrego, ale jednak... Teraz już przygotowuje nową książkę, rozpoczyna nowe badania i wędruje po świecie. Lekko, radośnie, jakby to wszystko było naturalne, zdarzało się codziennie i wszystkim, a przecież znacząca część jej życia została jej odebrana losowym zdarzeniem. O Osadzie w ogóle nie wspomina. Czy nie tęskni za miejscem, w którym przeżyła trzydzieści lat i tyle osiągnęła? Boże, miej tę zagubioną duszę w opiece" - modlę się. - „A jeśli Wojtek ma rację, że to przeze mnie Róża nie może się odnaleźć w żadnym związku i wszystko traktuje jako zdarzenia przejściowe, nic nie jest dla niej trwałe, a tylko ja zapewniam jej stabilizację? Boże, nie chciałem jej skrzywdzić. Wierzyłem tylko, że jest wyjątkowa, dawałem jej poczucie bezpieczeństwa". Kłeczę i modlę się. Za siebie i za nią.

Nawet nie wiem, kiedy zaczynam się modlić wierszem księdza Twardowskiego:

Czy stworzyłeś serce przez grubszą pomyłkę
czy dajesz miłość żeby ją odebrać
czy kochających od nas oddalasz na zawsze
czy to co rozłącza nie łączy
czy to co dzieli nie każe się spotkać
czy nie odchodzimy by być naprawdę
gdzie trwałość i kruchość mówią o wieczności
gdzie rzeki wracają z chmur
gdzie niebo niesie pompę
i morze nie wysycha.

Wojtek wyruszył w świat w poszukiwaniu natchnienia. Uznał, że jego talent się wyczerpał. Przeżywa kryzys.

Przyjeżdżają Tina, Janek i Róża. Decydują, że lato spędzimy w domku w Augustowie, że naszym sercom i nogom dobrze zrobią

wycieczki i pobyt nad jeziorami, bo lato jest upalne. A poza tym będziemy korzystać z zabiegów w sanatorium.

Rzadko sięgam po notatnik, tak mi dobrze. Pływamy gondolą, statkami, chodzimy na koncerty i wylegujemy się w sadzie pod jabłoniami. Powracają nam siły, a ilość ryb, które zjadamy, na pewno polepszy krążenie moje i Róży, z którym mamy kłopoty. Choć gdy na nią patrzę, wydaje mi się, że chyba znalazła lepszy sposób na poprawę kondycji. Tina jej dokucza: „A gdzie twój Gitarzysta? To znaczy, że wolisz być z nami?”. Śmieją się. Ja i Janek też, choć nie wiemy z czego. Po prostu jest nam razem dobrze - od pół wieku.

Wracamy. Opaleni, silniejsi i młodszy. Jednak Janek i Tina wracają do Paryża. Janek będzie miał operowane nogi. Róża przyjeżdża często, tak jak obiecała w Jerozolimie. Czyta mi wiersze, a ja czasem jeszcze gram na pianinie. Niekiedy oglądamy nasze ulubione opery.

Wreszcie opowiada mi o swoim sentymencie do malw. Dom babci Miriam był otoczony bardzo wysokimi malwami. Zabawy kota Rumcajsa i pieska Figi nie zagrażały im. Dopiero kiedy pojawiła się śliczna kózka Mulatka, doszło do katastrofy. Róża zostawiła otwartą furtkę w płotku, który chronił malwy. Kózka zniszczyła ponad połowę malw. Róża przeproszała babcię, która naprawdę się na nią gniewała, co było rzadkością. Przypomniała mi także, że kiedy byłem na obiedzie u jej babci, powiedziałem jej, że jest wyjątkowa, jednocześnie upominając ją, by nie zmarnowała daru Bożego. Wtedy Miriam wychyliwszy się z okna, poprzez malwy wołała: „Natury!”. To było pod malwami.

Zimę zniósłem źle. Róża poświęca mi dużo czasu. Tylko ona z moich przyjaciół jest w Warszawie. Biedna. Przpracowana, przygotowuje nowe wydanie podręcznika. Ponieważ ma bardzo ograniczony warsztat w swojej kawalerce, musi dwukrotnie więcej pracować. Opowiada mi o nowych rozdziałach, o zmianie szaty graficznej. Już nawet nie mam siły pójść do opery. Róża mi opowiada, na czym była, czasem przynosi płytę. Komu ona będzie opowiadać o tym, co przeżywa, czując muzykę? Z kim będzie się śmiać? Czy będzie miała komu czasem się pożalić na swój los, bo przecież jest uznawana za kobietę sukcesu... Czy w ogóle ktoś z jej otoczenia wie - poza Elitarnym Kolektywem, jego resztką - jakim kosztem to

wszystko osiągnęła i jak bezgranicznie jest od lat samotna? Boże, wybaczone mi, ale żałuję, że Dygnitarz nie żyje. On umiał wywołać u niej łyzy i śmiech, bez czego ona nie umie żyć. Każdy z nas coś jej dawał, ale gdy on brał ją za rękę i mówił: „Wszystko będzie dobrze”, to po prostu było, w jednym pakiecie - opieka, ciepło i śmiech. Teraz jestem jej tak potrzebny, a czuję, że odchodzę. Jestem coraz słabszy, ale nie chcę iść do szpitala. Przygotowuję ją na nową sytuację, która będzie dla niej trudna. Jednak zawsze będę nad nią czuwał. „Musisz sobie poradzić, jak zawsze. Pamiętaj” - powtarzam jej, kiedy kończy wizytę. - „Chcę odejść godnie, niepodłączony do rur”. Mam nadzieję, że Róża będzie mnie trzymać za rękę i zanuci mi swoją ulubioną piosenkę: „A jeśli drugi widać brzeg, muzyka to najlepszy lek...”. Modlę się, żeby tak było.

Bibliografia

Borys Russko Odczytywanie znaków. Sentencje i aforyzmy, Wydawnictwo Książkowe IBiS, 2004. Nikos Chadzinikolau Aforyzmy - Haiku, Poeticon, 2001. Jan Twardowski Wiersze, ŁUK, 1996. Wisława Szymborska Widok z ziarnkiem piasku, Wydawnictwo a5, Poznań 1996. Dawna Poezja Gruzjińska, PIW, 1974. Na Nowe Tysiąclecie, Exley, 2000